

POWIEŚĆ NOMINOWANA DO NAGRODY BOOKERA

# DNI BEZ KOŃCA

SEBASTIAN BARRY

w  
ydawnictwo  
ab

Sebastian Barry  
DNI BEZ KOŃCA

przełożył Jędrzej Polak



Tytuł oryginału: *Days Without End*  
Copyright © Sebastian Barry, 2016

All rights reserved  
First published in Great Britain by Faber & Faber Limited, 2016  
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIX  
Copyright © for the Polish translation by Jędrzej Polak, MMXIX  
Wydanie I  
Warszawa MMXIX

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

*Dla mojego syna Toby'ego*

Zdrożonego wędrowcam zoczył  
W łachmany odzianego

John Matthias

## Rozdział 1

Wystawianie trupów w Missouri, jak powiadają, niezawodnie przechodzi ludzkie pojęcie. Jakby stroili nieszczęsnych zabitych żołnierzy do ślubu, a nie do pochówku. Wyczyszczone naftą mundury wyglądają lepiej niż wtedy, gdy żyli. Golą ich starannie, że niby balsamiście przeszkadza każdy najmniejszy włos. Nikt, kto znał kawalerzystę Watchorna, nie poznałby go po śmierci bez tych sławetnych zrosniętych wąsami bokobrodów. Śmierć tak czy siak zmienia ludzkie oblicza. Ale faktem jest, iż wkładali chłopaków do tandetnych trumien, tyle że nie o to przecież chodzi. Kłopot w tym, że jak podniesie się taką trumnę z trupem, to dno galancie się wyrzusza. Bo drewno na nie pocięli w tartakach tak cienko, że wyglądało jak opłatek, a nie deska. Ale chłopakom, co polegli, wcale to nie przeszkadza. Bo chodzi o to, że jak się na nich patrzyło, to wyglądali anielsko.

Mówię teraz o końcu mojego pierwszego angażu w wojenny interes. Najpewniej było to koło roku 1851. Jak tylko straciłem pierwszy chłopięcy blask, w wieku lat siedemnastu zaciągnąłem się do wojska w Missouri. Brali wszystkich, co mieli po dwie ręce i nogi. Jakby człowiek nie miał oka, też by go pewnie wzięli. Jedyna płaca gorsza od najgorszej płacy w Ameryce to żołnierski żołd. I fasuje się byle jakie żołnierskie racje, a jak się je wysrywa, to strasznie śmierdzi. Ale człowiek się cieszył, że dostał jakąś robotę, bo jak się nie ma w Ameryce roboty za parę dolarów, to się głoduje – tyle się przedtem nauczyłem. No i miałem już dosyć głodowania.

Uwierzcie mi, powiadam, że są tacy, co uwielbiają wojaczkę, choćby najpodlej płatną. Po pierwsze, dostaje się konia. Może nawet i szpotawą chabetę, może nawet i taką, co ją kłuje kolka albo ma wole wielkości globusa, ale prawdziwego konia! Po drugie, dostaje się mundur. Może nawet i taki, co się ździebko pruje w szwach, ale prawdziwy mundur! Granatowy jak dupka muchy plujki.

Klnę się na Boga, że w wojsku żyło mi się dobrze. Gdy zaczynałem,



miałem siedemnaście lat albo coś koło tego, nie jestem całkiem pewny. Nie powiem też, że lata przed pójściem do wojska były łatwe. Ale od tańczenia wyrobiłem sobie mięśnie i byłem, jak to się mówi, giętki. To nie przytyk do moich klientów, wypowiadam się raczej w ich imieniu. Jak się płaci dolara za taniec, człowiek liczy, Bóg mi świadkiem, że za swoje pieniądze odtańczy parę niezgorszych odsibek na parkiecie.

Tak, wojsko, stwierdzam to z dumą, mnie przygarnęło. Dzięki Bogu John Cole był moim pierwszym przyjacielem w Ameryce, w wojsku też, i przyjacielem ostatnim, skoro już o tym mowa. Towarzyszył mi przez niemal całe, wiele dające do myślenia i, by tak rzec, jankeskie życie, dobre pod każdym względem. Był takim samym chłopięciem jak ja, ale mając szesnaście lat, wyglądał już na prawdziwego mężczyznę. Poznałem go jako czternastolatka czy coś, jak był zupełnie inny. Tak twierdził potem właściciel szynku. Już na was pora, chłopaki, już nie jesteście dziećmi, powiada. John był śniady na twarzy i miał czarne oczy – indiańskie, jak wtedy mówili. Lśniące. Starsze chłopaki z plutonu gadały, że Indianie to diabły wcielone o kamiennych twarzach, gotowe człeka zabić, gdy tylko nań spojrzą, i że trzeba ich zmieść z powierzchni ziemi, i że to najprawdopodobniej najlepsza polityka. Żołnierze lubią wypowiadać się górnolotnie. Niechybnie zagrzewają się tak do walki, mówił John Cole, który we wszystkim się rozeznawał.

Ma się rozumieć, do wojska zgłosiliśmy się z Johnem Cole'em razem. Oddawaliśmy się, by tak rzec, hurtowo i tak samo jak mnie zajrzeli mu w gołą dupę. Jak bliźniakom. No bo jak skończyliśmy w szynku, nie mieliśmy się w co odziać. I wyglądaliśmy pewnie jak dwaj mali żebracy. John urodził się w Nowej Anglii, gdzie ojcowizna przestała rodzić. Miał dopiero dwanaście lat, jak się puścił w drogę. Jakżem go tylko zobaczył, pomyślałem: mam towarzysza. Tak to wyglądało. Choć widział mi się na lalusia. Wychudłego z głodu na twarzy. Spotkałem go pod krzakiem w cholernym Missouri. Siedzieliśmy pod tym krzakiem, albowiem niebiosa rozwarły się i ułały. Daleko na tych błotnych równinach za starym St. Louis. Bardziej spodziewałem się ujrzeć uciekającą przed deszczem kaczkę

niż żywego ducha. Niebiosa się rozwarły. Daję drapaką pod krzaki i nagle go widzę. Inaczej w ogóle bym go nie spotkał. Przyjaciela na całe życie. Osobliwe i doniosłe spotkanie, rzecz by można. Szczęsne. Ale najsampierw wyciąga na mnie mały ostry kozik z rozbitego na płask hufnala. Miarkował nadzieć mnie na ten kozik, jakbym chciał zrobić mu coś nie tak. Wyglądał, jak mnie się zdaje, na bardzo skrytego w sobie trzynastolatka. W każdym razie zaczęliśmy gadać pod wspomnianym krzakiem, a on mnie objaśnił, że jego prababka była Indianką z takiego dawno temu wypędzonego ze Wschodu plemienia. Co teraz jest na terytoriach indiańskich. Nigdy ich nie spotkał. Nie wiem, dlaczego opowiedział mi o tym wszystkim prosto z mostu, ale byłem wobec niego przyjazny i może pomyślał, że straci ten wybuch przyjaźni, jeśli nie dowiem się rychło o nim najgorszych rzeczy. No. Powiedziałem mu, jak sobie najlepiej z tym radzić. Ja, syn ubogich, tak samo przeklętych przez los sligończyków. No, bo my z McNultych nie mamy się czym przechwalać.

Może z szacunku dla wrażliwej duszy Johna Cole'a zrobię wielki krok w przód i nie będę opisywał naszych pierwszych lat. Tyle tylko, że on sam mógłby przyznać, iż lata te były na swój sposób ważne, a ja też nie powiem, że wycierpiałem się przez nie wyjątkowo podle, i to pod każdym względem. Mamy się ich wstydzic? Tak bym nie powiedział. Nazwę je naszymi roztańczonymi latami. Bo dlaczego, do cholery, nie? Przecież byliśmy tylko dziećmi chcącymi przetrwać na niebezpiecznym terytorium. I przetrwaliśmy, a ja, jak słyszycie, przeżyłem, żeby to opowiedzieć. Zapoznawszy się pod anonimowym krzakiem, naturalną i prostą kolejną rzeczą połączyliśmy siły, by przetrwać. Znaczą się, małegoletni John Cole i ja ruszyliśmy ramie w ramie błotnistym gościńcem, żeby dojść do następnego miasteczka w tej pogranicznej okolicy, gdzie pracowały setki awanturniczych górników i gdzie stało z pół tuzina szynków, wzniesionych przy tej grząskiej arterii, by dostarczyć im rozrywki.

Nic o tym, rzecz jasna, nie wiedzieliśmy. W tamtych czasach, jak się starałem to zilustrować, John Cole był drobnym chłopcem o czarnych jak noc oczach i chudym, spiczastym jak u myśliwskiego psa pyszczku. Ja byłem sobą, tylko młodszym. Bo choć skończyłem

może z piętnaście lat, to po mych irlandzkich, kanadyjskich i amerykańskich przypadkach wyglądałem na tyle co on. Ale nie miałem pojęcia, jak wyglądałem. Dzieciom wydaje się, że są imponująco duże, a dla innych to chucherka.

Dosyć błędzenia po omacku. We dwóch będzie nam rażniej, powiedział.

Wtedy wpadliśmy na pomysł znalezienia roboty przy opróżnianiu nocników czy czymś równie ohydny dla przyzwoitych ludzi. Nie wiedzieliśmy za wiele o dorosłych. W ogóle niewiele wiedzieliśmy. Byliśmy gotowi robić cokolwiek i się tym zadowolić. Byliśmy gotowi zejść do kanałów, żeby przerzucać szuflą gówna. Bylibyśmy kontenci, mogąc popełnić sekretne morderstwo, pod warunkiem że by nas nie pojmano i nie ukarano, kto wie. Byliśmy dwoma strużynami ludzkości we wrogim świecie. Byliśmy przekonani, że gdzieś czeka na nas sporo jedzenia i musimy je tylko znaleźć. Niebiańska strawa, jak mówił o niej John Cole, który po upadku ojca odwiedzał takie miejsca, gdzie karmiono go po równo religijnymi pieśniami i podporą chleba.

Nie było wielu takich miasteczek jak Daggsville. A nawet żadnego. Daggsville to był zgiełk, upaprane konie, trzaskające drzwi, osobliwe wrzaski. Dotarłszy tak daleko w mym biograficznym zapale, wyznać muszę, że w tamtym czasie miałem na sobie stary, związany w pasie sznurkiem worek po pszenicy. Trochę przypominał odzienie, ale nie za bardzo. John Cole wyglądał lepiej w znoszonym kościelnym czarnym garniturku, który sądząc po dziurach, miał już ze trzysta lat. Z tego, com widział, miał galancie przewietrzone przyrodzenie. Wystarczyło sięgnąć, żeby zmierzyć mu męskość, więc było lepiej odwracać od niej wzrok. Wymyśliłem dobry sposób, żeby sobie z tym radzić, a mianowicie wślepiałem się w jego gębę, co też na niewiele się zdało, bo gębę miał miłą dla oka. W które rzucił się nam nowusienki budynek, cały ze świeżego drewna, a nawet pobłyskujący niedawno wbitymi gwoździemi. Stało na nim napisane „Szynk”, ni mniej, ni więcej. A pod spodem wisiała na sznurku mniejsza tabliczka: „Potrzebni czyści chłopcy”.

Popatrz się, widzisz, powiada John Cole, który nie miał mojego wszechstronnego wykształcenia, ale umiał składać litery. No, mówi

dalej, na kochające serce mej matki, pasujemy jak ulał do połowy tego zapotrzebowania.

Prosto do środka, a tam przyjemnie wysoki współczynnik dobrego ciemnego drewna, ciemnej boazerii od podłogi do sufitu i długi bar, śliski i czarny jak wyciek ropy. Więc poczuliśmy się jak pluskwy w dziewczynskim czepku. Obco. Obrazki tych pięknych amerykańskich scen chwały, na które lepiej się patrzy, niżli w nich uczestniczy. Za barem człowiek w komplecie z irchą, filozoficznie polerujący blat, którego nie trzeba było polerować. Było jasne, że to całkiem nowy interes. Na schodach prowadzących do górnych pokoi cieśla kończył jeszcze robotę, dopasowując ostatni kawałek poręczy. Barman miał zamknięte oczy, bo dostrzegłby nas wcześniej. I pewnie wywalił na zbity pysk. Wszak gdy otworzył oczy, nie cofnął się i nie obrzucił nas, jak się spodziewaliśmy, wyzwiskami, wcale nie; ten wyrafinowany człek uśmiechnął się tylko z zadowoleniem, widząc nas przed sobą.

Szuka pan czystych chłopców? – pyta go John Cole dosyć zadziornym tonem, wciąż wężąc kłopoty.

Jesteście mile widziani, mówi barman.

Naprawdę? – zapytał John Cole.

Naprawdę. Pasujecie idealnie, zwłaszcza ten mniejszy, powiada, mając mnie na myśli. A potem, jakby obawiając się, że John Cole poczuje się urażony i da nogę, mówi: Ale ty też się nadasz. Płace pięćdziesiąt centów za wieczór. Pięćdziesiąt centów za wieczór dla każdego oraz tyle picia, ile dusza zapragnie, jeśli umiecie grzecznie pić, a spać możecie w stajni za domem, właśnie tam, i będzie wam przytulnie i wygodnie, i ciepło jak kociętom. Pod warunkiem, że się sprawdzicie.

A co mamy robić? – pyta podejrzliwie John.

To najprostsza robota pod słońcem, pada odpowiedź.

Znaczy się jaka?

Jak to jaka, taniec, taniec i nic więcej. Tylko taniec.

Z tego, co wiem, nie jesteśmy tancerzami, odpowiada zbity z tropu i bardzo rozczarowany John.

Nie musicie być tancerzami w powszechnie akceptowanym,

słownikowym znaczeniu tego terminu, odpowiada barman. Nie będziecie tańczyć kadryla.

W porządku, mówi zupełnie zdezorientowany John. Ale nie mamy żadnych ciuchów do tańczenia, to pewne, dodał, prezentując się w pełni swego opłakanego stanu.

Cóż, o wszystko zadbaliśmy, o wszystko zadbaliśmy, odpowiada tamten.

Cieśla przerwał robotę i usiadł na schodach, susząc zęby.

Pójdźcie za mną, panowie, odzywa się barman i najpewniej właściciel, pyszniąc się przy tym, a ja wam pokażę stroje robocze.

Pomaszerował po nowiuteńkiej podłodze w skrzypiących głośno trzewikach i otworzył drzwi do biura. Na drzwiach wisiała tabliczka „Biuro”, stąd wiedzieliśmy. No cóż, chłopięta przodem, powiedział, przytrzymując drzwi. Mam dobre maniery i nadzieję, że i wy je macie, gdyż nawet awanturniczy górnicy uwielbiają, ma się rozumieć, maniery.

Więc weszliśmy jeden za drugim, wytrzeszczając gały. A tam stoi wieszak z odzieniem i wygląda jak szubienica z powieszonymi damami. Bo to damskie odzienie. Suknie. Nic innego tam nie było, a rozejrzeliśmy się naprawdę dobrze.

Tańce zaczynają się punkt ósma, mówi. Wybierzcie coś, co będzie wam pasować. Pięćdziesiąt centów na głowę. I napiwki, które możecie zatrzymać.

Ale panie, odzywa się John Cole takim tonem, jakby mówił do budzącego litość obłąkanego, nie jesteśmy kobitami. Nie widzi pan? Ja żem jest chłopiec i tak samo ten tutaj Thomas.

Ależ nie jesteście kobietami, sam to widzę. Udało mi się to stwierdzić w chwili, gdy weszliście. Jesteście ładnymi chłopiętami. Na tablicy stoi, że szuka się chłopców.

Z przyjemnością zatrudniłbym niewiasty, ale w całym Daggsville nie ma ani jednej, prócz żony sklepikarza i córki stajennego. Wszyscy inni to mężczyźni. A mężczyźni bez kobiet marnieją z tęsknoty. Jakiś smutek zakrada im się do serc. Zamierzam go wyplenić, a przy okazji zarobić parę groszy, tak, moi panowie, w ten wspaniały amerykański sposób! Tutejsi spragnieni są tylko iluzji, iluzja słabej płci w pełni im

wystarczy. Zostaniecie nią, jeśli weźmiecie tę pracę. Będziecie tylko tańczyć. Żadnego całowania, przytulania, macania czy gmerania. Tylko, powiadam, najelegantszy i dystyngowany taniec. Nie uwierzycie, panowie, jak elegancko i subtelnie potrafią tańczyć awanturniczy górnicy. Czasem łyzy same płyną do oczu. Jesteście na swój sposób subtelni, jeśli wolno mi tak powiedzieć, zwłaszcza ten mniejszy. Ale ty też ujdiesz, też ujdiesz, powiada, widząc wzbierającą w Johnie Cole'u nowo nabytą zawodową dumę. Potem pytająco unosi brwi.

John Cole zerka na mnie. Mnie jest wszystko jedno. Lepsze to od głodowania w worku po pszenicy.

W porządku, mówi.

Nastawię dla was w stajni balię z kąpielą. Dam wam mydła. Dam wam czyste kalesony, *muy importante*. Przywiozłem je z St. Louis. Będą w sam raz, panowie, miarkuję, że będą w sam raz, a po kilku kieliszkach nikt się nie pozna. Nowa era w dziejach Daggsville. Osamotnieni mężczyźni dostaną dziewczyny do tańca! A wszystko przystojnie jak trzeba, przystojnie jak trzeba.

Wyszliśmy jeden za drugim, wzruszając ramionami, że niby świat oszalał, choć czasem trafia się na nim szczęśliwy los. Pięćdziesiąt centów na głowę. Ileż to razy, gdyśmy zasypiali w wojsku w alkierzach, na prerii, na pustych skarpach, powtarzaliśmy sobie z Johnem raz po raz, nigdy nie przestając się śmiać: Po pięćdziesiąt centów na głowę.

Tamtego konkretnego wieczoru z zapomnianej historii świata pan Titus Noone, bo tak się zwał szynkarz, pomógł nam włożyć suknie z męską, rzec by można, powściągliwością. Ale trzeba mu oddać, że znał się na zapinkach, wstążeczkach i różnych takich. Był nawet na tyle przewidujący, by spryskać nas perfumami. A ja byłem najczystszy od trzech lat, może nawet od zawsze. Mówiąc szczerze, nie słycałem w Irlandii z czystości, zresztą ubodzy farmerzy się nie kąpią. Jak nie ma co jeść, wpieryw rezygnuje się z resztek higieny.

Szynk prędko się zapełnił. W całym mieście wywieszono pośpiesznie afisze, a górnicy stawili się na wezwanie. Siedziałem z Johnem Cole'em na krześle pod ścianą. Bardzo po dziewczynsku,

grzecznie, spokojnie i ładnie. Nawet nie spojrzeliśmy na górników, bo gapiliśmy się prosto przed siebie. Nigdy nie widzieliśmy grzecznych dziewczynek, ale coś nas natchnęło.

Miałem na głowie jasnowłosą perukę, a John rudą. Od szyi w górę wyglądaliśmy na siedząco jak flaga jednego państwa. Pan Noone wypchał nam zmyślnie staniki watą. W porządku, ale byliśmy bosi, bo jak powiedział, zapomniał kupić pantofelki w St. Louis. Zrobi to później. Powiedział, żebyśmy uważali, jak górnicy stawiają kroki, odrzekliśmy, że będziemy. Zabawne, ale jak tylko przebraliśmy się w te suknie, wszystko się zmieniło. Nigdy przedtem nie czułem się tak kontent.

Odeszły mnie wszystkie troski i zmartwienia. Stałem się nowym człowiekiem, nową dziewczyną. Zostałem wyzwolony, jak ci niewolnicy, co ich oswobodzili w przyszłej wojnie. Byłem gotów na wszystko. Czułem się pysznie, silnie, jakby mnie ulepszyli. To prawda. Nie wiem, jak przyjął to John Cole, bo nigdy mi nie powiedział. Trzeba go było kochać i za to, czego nie mówił. Choć mówił wiele pożytecznych rzeczy. Ale nigdy nie złorzeczył naszej pracy, nawet gdy szło nam źle, co to, to nie. Byliśmy pierwszymi dziewczynami w Daggsville, w dodatku niezgorszymi.

Każdy obywatel wie, że górnictwa mają się najprzeróżniejsze typy. Zjeżdżają się w jakąś okolicę – widziałem to tysiące razy – i rabują kraj z całego piękna, zamieniając rzeki w czarne rynsztoki, a drzewa w uschnięte, znieważone panny. Lubią ostre żarcie, ostrą whisky i ostro poczynają sobie nocami, a jeśli jest się, na ten przykład, młodą Indianką, można wpaść im w oko ze wszystkich niestosownych powodów. Górnicy zjeżdżają się do miasteczek z namiotów i robią tam piekło. Nikt nigdy tak nie gwałcił jak górnicy, przynajmniej część z nich. Bo inni górnicy to nauczyciele, profesorowie z bardziej cywilizowanych krain, upadli księża i zbankrutowani sklepikarze, mężczyźni rzućeni przez kobiety jak nieprzydatne narzędzia. Wywodzą się z każdego gatunku i rodzaju szkodników, jak mógłby powiedzieć – i kiedyś powie – jakiś ekonom. Właśnie tacy ludzie zjawiali się w szynku Noone'a, by przejść następnie potężną doprawdy przemianę. Bośmy stali się ślicznymi dziewczuszkami,

ulubienicami ich niecnych dusz.

No a poza tym stojący za barem pan Noone miał w zasięgu ręki i na widoku gości obrzyna. Aż trudno uwierzyć, że amerykańskie prawo zezwala szynkarzom na bezkarne zabijanie górników w tak szerokim zakresie, że stało się to całkiem powszechnym procederem.

Może budziliśmy w nich wspomnienia skądinąd. Może byliśmy dziewczętami z czasów ich młodości, ich pierwszymi miłościami. Człowieku, byliśmy tak czyści i mili, że sam żałowałem, że nie mogę się ze sobą zapoznać. Może byliśmy dla niektórych pierwszymi dziewczynami, w których się zakochali. Przez dwa lata tańczyliśmy z nimi każdego wieczoru i nigdy nikt nas nie tknął. To prawda. Może byłoby zabawniej, gdybym powiedział, że przyciskali się do nas krocem, wpychali nam języki do gąb czy łapali nas sękatymi łapami za wyimaginowane cycki, ale nie. W tym szynku stawali się dżentelmenami z pogranicza. O świcie padali na ryj od whisky, ryczeli świńskie piosenki, a zdarzało się też, że strzelali do siebie przy kartach albo rzucali się na siebie i okładali stalowymi kułakami, ale gdy przychodziło do tańca, byli czarujący jak d'Artagnan z takiego starego romansu. Wielkie świńskie brzuszyska spłaszczwały się i przywodziły na myśl bardziej eleganckie bestie. Golili się dla nas, myli się dla nas, wkładali najlepsze ubrania, jakie tylko mieli. John był Joanną, a ja Thomasiną. Tańczyliśmy i tańczyliśmy. Wirowaliśmy i wirowaliśmy. W rzeczy samej okazało się, że jesteśmy dobrymi tancerzami. Umieliśmy tańczyć walca, wolnego i szybkiego. Założyłem się, że w Daggsville nigdy nie było lepszych chłopców. Ładniejszych. Czy czystszych. Wirowaliśmy w sukniach, a żona sklepikarza, pana Carmody'ego, z nazwiska, ma się rozumieć, pani Carmody, jako krawcowa przerabiała nam wraz z upływem miesiący suknie. Może to błąd, żeby karmić włóczęgów, ale rośliśmy przeważnie w górę, a nie wszerz. Może się zmienialiśmy, ale w oczach naszych klientów wciąż byliśmy dziewczętami. Dobrze o nas mówili, a mężczyźni zjeżdżali się z całej okolicy, żeby nas obejrzyć i kazać się zapisać do małych karnecików.

No cóż, panienko, czy zaszczyci mnie panienka tańcem?

Ależ tak, drogi panie, za kwadrans dwunasta mam wolne dziesięć



minut, jeśli ma pan ochotę je wypełnić.

Będę wielce zobowiązany.

Dwa nikomu niepotrzebne małe gnojki nigdy się tak nie bawiły. Proszono nas o rękę, obdarowywano powozami, zaprzęgami, jeśli tylko zgodzimy się pójść z takim to a takim do obozowiska, obsypywano nas podarunkami, których nie pożałowałyby rozglądający się za żoną Arab z pustynnej Arabii. Ale, rzecz jasna, wiedzieliśmy, co się za tym wszystkim kryje. Oni najprawdopodobniej też, jak mi się teraz wydaje. Byli gotowi zakuć się w okowy małżeństwa, bo wiedzieli, że to na niby. Taka odmiana wolności, szczęścia i uciechy.

Brudne i podłe życie górnika jest ponure, bo prawdę mówiąc, tylko jeden na dziesięć tysięcy znajduje złoto. W Daggsville kopali, jak wiadomo, ołów, więc to tym bardziej prawda.

Ich życie składało się przede wszystkim z błota i wody. Ale w szynku pana Noone'a czekają na nich dwa diamenty, powiadał pan Noone.

Wszelako natura ma swoje prawa i nasz blask gasł dzień po dniu, i stawaliśmy się bardziej chłopcami niżli dziewczętami, mężczyznami, a nie kobietami. Przez te dwa lata zmienił się zwłaszcza John Cole. Co się tyczy wzrostu, mógł iść w zawody z żyrafami. Pan Noone nie miał już dla niego sukienek, a pani Carmody nie mogła ich bez końca przesywać. Kończyła się pewna epoka, Bóg mi świadkiem. Najszczęśliwsza, zda się, robota, jakiej kiedykolwiek się imałem. I nadszedł dzień, kiedy pan Noone musiał przemówić. Uścisnęliśmy sobie dłonie o brzasku, popłynęły nawet łzy i pozostaliśmy wspomnieniem diamentów z Daggsville. Pan Noone obiecuje, że na każdego Świętego Tomasza i Świętego Jana będzie do nas pisał, by przekazać nowiny. A myśmy mieli robić to samo. I puściliśmy się w drogę z dolarami ciułanymi z myślą o kawalerii. Osobliwym zbiegiem okoliczności Daggsville było tamtego ranka jak wymarłe i nikt nas nie żegnał. Wiedzieliśmy już, że jesteśmy legendą i tak naprawdę nigdy nie było nas w tym mieście. Trudno o coś lepszego.

## Rozdział 2

W taki oto sposób wstąpiliśmy do wojska. Cóż, nasz pierwszy interes padł za przyczyną tego, co natura robi z ludzkim ciałem. A zaraz po przeszkoleniu popędzili nas oregońskim szlakiem do Kalifornii. Mieliśmy spędzić wiele tygodni w siodle, żeby w jakimś miejscu, którego nazwy nie pomnę, skrócić w lewo, bo inaczej dojechalibyśmy prosto do Oregonu. Tak miało być i tak było. W Missouri, które właśnie przemierzaliśmy, widywało się mnóstwo Indian w najbardziej opłakanym stanie: pływali rzekami, włóczyli się w tę i z powrotem, najpewniej po to, żeby dostać od rządu wycug, bo złazili się nawet z Kanady. Smutni, brudni ludzie. Mrowie Nowoangielczyków zmierzało na zachód, byli wśród nich i Skandynawowie, ale przeważnie sami Amerykanie: pakowali manatki i ruszali w drogę. Trzymaliśmy się z daleka od jadących do Utah mormonów, nie można było ufać tym pomyślncom. Cieszyli się złą sławą. Jak się z nimi walczy, trza ich od razu pozabijać, mawiał nasz wachmistrz, choć nie wiem, czy kiedykolwiek tego popróbował. Potem trafiliśmy na pustynię, co nie była prawdziwą pustynią. Ale wałało się po niej wiele kości bydląt pielgrzymów, a od czasu do czasu widziało się wyrzucone z wozu pianino albo kredens, których woły nie miały siły ciągnąć. Susza była najgorsza. A czarne pianino na półprawdziwej pustyni to najosobliwsza rzecz pod słońcem. Hej, Johnie Cole, co w imię faryzeusza robi to pianino w tym pyle?

Może idzie do szynku, powiada.

Ależ się śmialiśmy! Wachmistrz rzucił nam groźne spojrzenie, ale major nie zwrócił na nas uwagi, bo pewnie rozmyślał o tej pustyni. Skąd za kilka dni, gdy osuszemy manierki, wziąć wodę? Mieliśmy nadzieję, że jest jakaś mapa, gdzie ktoś coś zaznaczył, taką mieliśmy nadzieję.

Ludzie jeździli tędy już od kilku lat, mówili, że szlak robi się coraz szerszy i wygląda jak szeroka na milę brudna smuga na prerii, którą wojsko odnajdywało za każdym razem. Połowa naszego szwadronu

składała się ze zręczliwych starszych żołnierzy i zastanawialiśmy się często, czy część z nich zdoła osiąść jeszcze konia. To niezdrowe dla jaja i dla krzyża, niech to szlag. Ale jak mieli inaczej żyć? Albo się jechało, albo się umierało. Droga zawsze jest niebezpieczna. Jeden z młodszych żołnierzy, takich jak my, wspomniany wcześniej Watchorn, widział poprzedniego roku wielkie stado bizonów pędzących na oślep, prosto przez pielgrzymów, przewracających wozy, traktujących na śmierć setki ludzi. Tym razem, jak miarkował Watchorn, bizony trzymały się z daleka, choć nie wiadomo dlaczego. Może nie lubią takiego gatunku człowieka. Bo Indianie specjalnie im nie przeszkadzali. Białe chłopaki to hałaśliwe, śmierdzące mędy, zawyrokował Watchorn. Snują się z zaryczanymi, drącymi się wniebogłosy, zasmarkanymi gówniarzami do Kalifornii albo wyżej, do Oregonu. Ale tak czy siak, mówił kawalerzysta Watchorn, chcę któregoś dnia mieć taką bandę dzieciarów. Miarkował, że chce mieć czternaście, jak jego mamusia. Był katolikiem, co rzadko się zdarza w Ameryce, nie licząc Irlandczyków, no ale Watchorn też był Irlandczykiem, jak dawno temu jego tatuś. Tak mówił. Watchorn miał szlachetne oblicze, piękne oblicze, wyglądał jak prezydent na monecie, tyle tylko, że był wzrostu siedzącego psa, może z pięć stóp i jeden niepełny cal, choć na koniu nie było tego widać, bo cwałował w skróconych strzemionach i tyle. Był wyjątkowo miłym człowiekiem, naprawdę taki był.

Jechaliśmy tędy i owędy, potem przez dłuższą trawę, bliżej gór, przemierzając okolicę. Mieliśmy gdzieś dojechać, żeby zewrzeć szyki. Major już wie gdzie, mówił John Cole, bo słyszał, jak rozmawiali o tym w nocy. A co się tyczy nocy, to sypialiśmy na ziemi, tak jak staliśmy, mundury nam śmierdziały, warta strzegła koni, a konie mamrotały coś aż do świtu, rozmawiały z Panem Bogiem, jak mawiał John Cole. Nie znał ich języka. Czekał nas jeszcze tydzień w siodle, nas, czyli trzystu kawalerzystów, i wtedy wrócili nasi zwiadowcy, dwóch młodych Szaunisów, porozumiewających się z nami na migi: pokazali nam, że widzieli bizony siedem mil na północny wschód, więc następnego dnia mieliśmy wybrać drużynę, która pojedzie na północ i upoluje kilka sztuk. A jeśli nie strzelałem najlepiej ze

wszystkich trzystu kawalerzystów, to jestem kłamcą. Nie wiem, skąd mi się to wzięło, bo do przeszkolenia nie miałem muszkietu w rękę. Masz celne oko, mawiał wachmistrz od musztry. Wkrótce bez kłopotu zabijałem zająca z odległości stu stóp kulą w sam środek głowy. Lepiej się najeść przed robotą.

Wiedzieliśmy w głębi serca, że nasza robota to Indianie. Ci z Kalifornii chcieli się ich pozbyć. Chcieli ich wykurzyć. Żołnierze z mocy prawa nie biorą nagród, ale ktoś wysoko postawiony zgodził się pomóc. A wtedy cywilom płacili dwa dolary od skalpu, na rany Chrystusa! Ciekawy sposób na zarabianie pieniędzy na karty, nie ma co. Ochotnicy wsiadali na konie i odstrzelili głowy za jakieś sześćdziesiąt dolarów, po czym zwozili ciała.

Major mówił, że Indianie wcale mu nie przeszkadzają, i nie widział nic złego w tych Maidusach czy Kopaczach, jak na nich mówiono. Są inni od Indian z równin, mówił. Kopacze nie mają nawet koni, mówił, i o tej porze roku gromadzą się w jednym miejscu, żeby się pomodlić. Opowiadał o tym z dosyć smętną miną, jakby powiedział o wiele za dużo albo o wiele za dużo wiedział. Przyjrzałem mu się uważnie. Wachmistrz, a nazywał się Wellington, parsknął na to przez zapiaszczony nos. Cholerne Indiańce, pokażemy im, mówił niemal do siebie i uśmiechał się pod nosem, jakby znajdował się pośród kumpli, choć wcale tak nie było. Bo nikt nie kochał jegomościa o tak ciętym języku. Nienawidził Irlandczyków, mówił, że Anglicy to cioty, a Niemcy jeszcze gorsze. Skąd on się wziął, do cholery? – chciał wiedzieć John Cole.

Z dziury, o której żeś nigdy nie słyszał, powiedział. Jak on to mówił? Detroit? Zazwyczaj nie mieliśmy pojęcia, co wachmistrz wygaduje, bo gadał tak, jakby się śmiał, choć nie przy wydawaniu komend, bo wtedy mówił wyraźnie. Naprzód! Za broń! Stępa! Z koni! Bolały nas od tego nasze irlandzkie, angielskie i niemieckie uszy.

Więc następnego dnia ja i John Cole, Watchorn we własnej osobie i taki miły sukinsyn, co na niego wołali Pearl, pojechaliśmy ze zwiadowcami na poszukiwanie stada. Trafiliśmy zrazu na jakieś bagnisko, ale Szaunisi wiedzieli, jak przez nie przebrnąć, więc przedostaliśmy się zakosami, całkiem kontenci. Kucharz nakarmił nas

pieczonymi wróblami. A tropiliśmy coś znacznie większego. Szaunisi, pomnę, że na jednego wołali, tak się akurat złożyło, Śpiew Ptaka, to opanowane, jakby koroskóre chłopaki: gadali między sobą o tym i owym w swoim języku, bo już poprzedniego wieczoru spakowali bandolierę z amuletami. To takie przynoszące szczęście talizmany, które włożyli do starego mieszka z wora na jajca bizona. Przywiązywali je do końskiej szyi, a jeździli na oklep. Zanim się zorientowaliśmy, że coś się dzieje, zwolnili, wiedzieli, że stado jest blisko, a powiedli nas jakąś milę w bok, żebyśmy zaczęli robotę pod wiatr. Przed nami rozciągał się długi i niski sierpowaty pagórek porośnięty brunatną trawą, okolica była cicha, prawie bezwietrzna, choć coś szumiało jak morze. Ale wiedzieliśmy, że nie ma tu żadnego morza. Zrównaliśmy się ze szczytem pagórka i ujrzelśmy przed sobą widok rozciągający się na jakieś cztery mile, aż po sam horyzont, a ja, zdumiony, wciągnąłem gwałtownie powietrze, bo tuż pod nami pasło się mrowie dwóch albo i trzech tysięcy bizonów. Tamtego ranka musiały złożyć śluby milczenia. Szaunisi puścili koniki spokojnym kłusem, a my poszliśmy w ich ślady: mieliśmy zjechać tak blisko bizonów, jak się tylko da bez wzbudzania wśród nich paniki. Bizon nie jest pewnie najbystrzejszym kogucikiem z kurnika. Ale wiało w naszą stronę, tak to wyglądało. Wiedzieliśmy, że jak tylko nas wyczują, zaczną się fajerwerki. No i tak było, najbliższy tuzin coś zwietrzył. Bizony nagle się zachybotwały, niemal uklęknęły. Musieliśmy im cuchnąć śmiercią. Mieliśmy taką nadzieję. Śpiew Ptaka spał konia, więc i my spięliśmy konie, John Cole pięknie się prezentował w siodle, wyprzedził Indian i pogalopował za największą krową, jaką wypatrzył. Ja też miałem na oku wielką krowę, bo pewnie obaj woleliśmy krowie mięso. Teren znów opadł, najbliższe bizony wprowadziły stado w ruch, dziesięć tysięcy kopyt załomotało o twardą ziemię i cała kawalkada wlała się w jar. Który pochłonął bizony, co do ostatniego, ale dalej wyrosła przed nimi skarpa i znów je ujrzelśmy, rzekę bizonów albo idący do góry wrzątek czarnej melasy w rondlu. Cholera, były czarne jak jagody. Moja krowa skręciła ostro w prawo, chciała się przedrzeć przez stado, nie wiem, jakby dobry duch szeptał jej do ucha, że mam na nią chrapkę. Bizon jest jak rezun,

jak grzechotnik na czterech nogach, co chce cię zabić, zanim go dopadniesz. Bizon wabi śmiałka, potem bodzie go w bok, przewraca konia w pełnym cwale i wreszcie wraca od czoła, żeby człowieka stratować na śmierć. Jak się poluje na bizona, nie można spaść na ziemię, jeśli mogę coś poradzić. Moja krowa nie wychodziła z roli, a ja musiałem się do niej zbliżyć, strzelić jej prosto w łeb najlepiej, jak umiałem, ale niełatwo unosi się strzelbę gotową do strzału, gdy koń, zda się, celowo wpada w każdą króliczą norę.

Modliłem się, żeby się nie przewrócił. Cwałujemy z chyżością trzydziestu albo i czterdziestu mil na godzinę, może pędzimy jak wiatr, może stado grzmi jak burza nadciągająca z gór, ale jestem jak w uniesieniu i nie dbam o to, co się stanie, póki nie wpakuję kuli w tę krowę.

W głowie wybucha mi obraz kawalerzystów piekących bizona na ruszcie, wykrawających wielkie steki z półtuszy. Po mięsie spływa krew. No dobra, wydzieram się na całe gardło i widzę drugiego Szaunisa, którego imienia nie pomnę, jak goni wspaniałego byka, siedzi na koniku po indiańsku i szyje do byka z łuku, a ten byk to nic innego jak wściekła galopująca bryła mięsa i sierści. W ułamku sekundy tracę ich z oczu. Sam mam co robić, bo moja krowa, jakżeby inaczej, robi błyskotliwy unik, gdy jestem gotów strzelić. Na szczęście mój koń nie po raz pierwszy goni za bizonami i skręca w prawo niczym wytrawny tancerz, więc celuję w tę krowę i strzelam: piękny pomarańczowy płomień wypycha kulę i piekąca czarna stal więźnie jej pod łopatką. Ta dziewczyna to same łopatki. Prujemy razem przez trawę, stado skręca gwałtownie w lewo, jakby chciało uniknąć przeznaczenia krowy, a ja znów strzelam i strzelam trzeci raz, a potem widzę, że prawy zad jakby opada jej o jakieś pół stopy, no dobra, chwała niech będzie Najwyższemu, bo to dobry znak, a mnie serce rośnie, duma mnie rozpiera, a krowa pada, pada w chmurze pyłu i kurzu, i szoruje przez jakieś piętnaście stóp po ziemi, zanim przystaje.

Musiałem trafić w serce. Więc bizon jest martwy. Ale nie mogę zwolnić, muszę cwałować dalej, w prawo, bo stado zawróci i stratuje mnie na śmierć. Zwalniam do galopu, galopuję i wrzeszczę, i drę się

wniebogłosy, jakbym oszalał, i chyba płaczę z radości. Czy ktoś kiedyś się tak cieszył?

Odjechałem jakieś ćwierć mili, koń pada z nóg, ale czuję, że i on się raduje z triumfu, więc zawracam go i staję czujnie na niskim pagórku. Koń łamie sobie żebra, próbując złapać oddech, ale dzielimy się chwilą wspólnej szaleńczej chwały. Mija nas stado, w mgnieniu oka znika za horyzontem, ale John Cole, Śpiew Ptaka i ja zabiliśmy razem sześć sztuk, leżą jak trupy po bitwie na długiej spłaszczonej trawie, która przypomina teraz kudły wściekłego psa, Śpiew Ptaka się śmieje od ucha do ucha, widzę to dobrze, a John Cole, jak to ma w zwyczaju, śmieje się cicho, bezgłośnie, nawet bez skrzywienia ust, przezabawny kundel, a po chwili wiemy, że trzeba będzie uklęknąć i zabrać się do skórowania, bo zabierzemy najlepsze kawałki mięsa od kości, przywiążemy je wielkimi mokrymi schabami do koni i zostawimy olbrzymie łby, żeby tu gniły, tak wspaniałe z wyglądu, tak zdumiewające, żeby sam Pan Bóg mógł się nimi zachwycić.

Błyskają noże. Śpiew Ptaka wycina najlepsze kawałki. Pokazał mi na migi ze śmiechem, że to robota dla bab. Silnych bab, jeśli już, odpowiadam mu rękoma, najlepiej jak umiem. Z jakiegoś powodu Śpiew Ptaka uznał, że to doskonały żart, tarza się i ryczy, i myśli sobie chyba: Człowieku, ależ ci biali są głupi. Może faktycznie tacy jesteśmy. Noże otwierały mięso, malując jakby malowidła nowego kraju, bezkresnych równin brunatnego łądu z czerwonymi rzekami wypływającymi wszędzie z brzegów, aż brodziliśmy w Bóg wie czym, a sucha ziemia zamieniła się nagle w chlupoczące bagno. Szaunisi zjedli lekkie na surowo. Mieli usta jak leje ciemnej krwi.

Tylko kawalerzysta Pearl miał minę smutnego pacholecia, bo nic nie zabił. Ale tamtej nocy przy ognisku dostał najlepszy kotlet z surowego mięsa, pryskającego i smażącego się w płomieniach. Kawalerzyści przysiedli wokół, rozmawiając radośnie jak ludzie, którzy zaraz najedzą się do syta, mieliśmy wokół siebie ciemną pustą krainę, na ramiona opadała nam osobliwa tkanina mrozu i marznącego wiatru, a wielkie czarne niebo nad nami wyglądało jak olbrzymia taca pełna klejnotów i diamentów. Szaunisi śpiewali przy swoim ognisku przez całą noc, aż wreszcie wachmistrz Wellington

podniósł się z ziemi, zrzucił z siebie koc i poszedł ich zastrzelić.



## Rozdział 3

W wojsku spotyka się co miesiąc z tuzin Irlandczyków, ale ci mówią niechętnie o tym, skąd są. Każdy z nich ma irlandzkość wypisaną na twarzy, przez co łatwo ich poznać. Mówią jakoś inaczej, nie strzygą się za często, najogólniej rzecz biorąc, a kiedy piją, robią to zupełnie inaczej niż wszyscy inni. Nie mówcie mi, że Irlandczycy są przykładem cywilizowanej ludzkości. Każdy Irlandczyk, nawet jeśli jest aniołem, nosi diabła pod skórą i na odwrót, więc tak czy siak, jak się gada z jednym Irlandczykiem, ma się do czynienia z dwoma. Jak chce pomóc, robi to za dwóch, a jak chce kogoś wystawić, to szukaj wiatru w polu. Irlandzki żołnierz jest najdzielniejszy, ale i najbardziej tchórzliwy w bitwie. Nie wiem, skąd się to bierze. Widziałem i morderczych, i łagodnych Irlandczyków, najczęściej pod jedną postacią, jakby obu trawił jakiś straszliwy płomień, jakby byli zaledwie skorupą pieca. Tak właśnie na człowieka działa irlandzkość. Jak oszwabisz Irlandczyka na pół dolara, spali ci z zemsty chałupę po fundamenty. I będzie ci to pamiętał tak długo, aż padnie trupem z pragnienia poderżnięcia ci gardła. Jestem taki sam.

Opowiem szybko, co mi się przydarzyło i sprowadziło mnie do Ameryki, ale nie chce mi się za dużo o tym gadać. Gadać łatwo, zrobić trudniej, jak powiada stare porzekadło. Cholerna prawda.

Mój ojciec był drobnym kupcem i wysyłał masło w beczkach z portu Sligo do Anglii. Wysyłano tam wszystkie dobra: krowy, woły, świnie, owce, kozy, pszenicę, jęczmień, kukurydzę, buraki, marchew, kapustę i całą resztę rzeczy niezbędnych do istnienia. W Irlandii zostawały tylko ziemniaki, a jak ziemniaki trafiał szlag, w starej Irlandii nie zostawało nic.

Głodowała, że umarł w butach. Ale butów też nie miała. Tylko onuce. Mój ojciec wywodził się z wyższej sfery i nosił czarny cylinder, skądinąd wyświechtany, gdyż wcześniej chodziło w nim wiele możnych angielskich głów. Wysyłaliśmy jedzenie do Anglii, a ona przysyłała nam onuce i wyświechtane cylindry. Choć mogę się nie

znać, bo byłem wtedy dzieckiem. W czterdziestym siódmym zbiory były tak kiepskie, że nawet ojcu nic nie zostało. Umarła mi siostra i matka na kamiennej posadzce w naszym domu w Sligo, co stał przy ulicy Lungey. Po irlandzku Lungey to Luaighne, a ojciec twierdził, że tak się nazywało królestwo, w którym panowali moi przodkowie. Był za życia bardzo żywym człowiekiem. Uwielbiał śpiewać, tańczyć i targować się na nabrzeżu z szyprami.

W czasach głodu nie brakowało masła, ale nie wiem, jak to się stało, że ojciec pożegnał się z życiem; stracił interes, a potem, jak już wspominałem, przepadły moja siostra i matka.

Przepadły jak bezpańskie koty i nikt się tym specjalnie nie przejął. Bo przepadało całe miasto. Na nabrzeżach, tam gdzie był port, ciągle cumowały statki, ale nie dla mojego ojca. Stare łajby wywoziły zrujnowanych ludzi do Kanady, ludzi tak głodnych, że zjadali się czasem nawzajem w ładowniach. Nie mówię, że to widziałem. Ale miałem jakieś trzynaście lat i wiedziałem w głębi serca, że muszę uciec. Wpełzłem na jeden taki statek po ciemku. Opowiadam to najlepiej, jak umiem. Ale to było dawno temu, przed Ameryką. Przez sześć tygodni byłem wśród zrujnowanych, głodujących nędzarzy. Wielu z nich poszło za burtę, tak to wyglądało.

Kiedy dopłynęliśmy do Kanady, sam kapitan umarł na gorączkę, więc byliśmy jak „Latający Holender”. Zamknęli nas do tyfusowych baraków, gdzie ludzie umierali setkami. Ja to tylko spisuję. Chodzi o to, że byliśmy nikiem. Nikt nas nie chciał. Kanada się nas bała. Byliśmy zarazą. Ludzkimi szczurami. Głód odbiera wszystko, czym się jest. A wszystko, czym kiedyś byliśmy, stało się wówczas niczym. Rozmowy, muzyka, Sligo, opowieści, przyszłość, przeszłość zamieniły się w coś na kształt gnoju. Kiedy poznałem Johna Cole’a, nie byłem nikiem lepszym od ludzkiej wszy, pozbywali się mnie nawet źli ludzie, a dobrzy nie mieli ze mnie pożytku. Tak zacząłem. Co daje pewne pojęcie, jakim triumfem okazało się dla mnie spotkanie z Johnem Cole’em. Znów poczułem się jak człowiek, po raz pierwszy w Ameryce. Wystarczy tego, powiadam, nie chcę już więcej wspominać. Cisza.

Opisuję to tylko dlatego, że bez tego nie da się właściwie niczego

zrozumieć. Jak mogliśmy przyglądać się rzeźni, nie mrugnawszy okiem. Bo sami od początku byliśmy nikim.

Wiedzieliśmy, co się robi z nicością, była naszym domem. Nie mogłem tego wykrztusić, ale ojciec też umarł. Widziałem jego ciało. Głód jest jak ogień, jak piec. Kochałem ojca, kiedy sam jeszcze byłem człowiekiem. Potem on umarł, a potem był głód, a potem statek. Potem nic. Potem Ameryka. I John Cole. Kochałem Johna Cole'a, tylko jego kochałem.

Cofnę się do naszych początków w kawalerii. Dotarliśmy w końcu do Fort Kearney, niedaleko nowo powstałej górniczej osady, większość północnej Kalifornii była wtedy odludziem. Dziką pagórkowatą krainą, wypełnioną po brzegi, jak mówiono, złotem. Należała do Indian, do ludu Yuroków. Może ten fort nie nazywał się Kearney, już nie pamiętam, bo Kearney to irlandzka nazwa. Pamięć to przebrzydły kłamca i nie ufam większości tego, co w niej znajduje.

Żeby coś opowiedzieć, muszę jej zaufać, ale jednocześnie jestem zobowiązany wydać ostrzeżenie, tak jak konduktor wydaje bilet na pociąg jadący na zachód przez burze i odludzia, tereny Indian i wyjętych spod prawa. W osadzie było pospolite ruszenie składające się z mieszkańców miasteczka i górników rozrzuconych po swoich działkach. Ludzie ci nie potrafili znieść myśli o Indianach, więc wyprawiali się grupami, żeby przeczesywać wzgórza i zabijać wszystkich, którzy wpadli im w ręce. Mogli ich wyłapywać i zatrudniać przy przepłukiwaniu ziemi czy kopaniu, jeśli mieli na to ochotę, bo takie było wtedy prawo w Kalifornii. Mogli brać kobiety i dzieci na niewolników, jako konkubiny, ale w owym czasie woleli strzelać do wszystkich, których spotkali.

Tamtego wieczoru w Fort Kearney, po kolacji i rozstawieniu prycz, zlecieli się miejscowi i zaczęli nam opowiadać, co takiego straszego zrobili ostatnio Indianie. Na obrzeżach osady, mówili, mieszka taki górnik, a Yurokowie ukradli mu muła. Z ich słów wynikało, że był to najbardziej rasowy muł na świecie. Więc ukradli mu muła, a samego górnika związali i sprali trochę po pysku. Powiedzieli mu, że kopie na cmentarzu i musi przestać. Ci Yurokowie nie byli potężni, mieli raczej plugawą posturę. Ludzie z miasteczka mówili, że nie ma stworzeń

brzydszych od kobiet tych Indian. Był tam jegomość z Nowej Anglii nazwiskiem Henryson i to on tak powiedział, a potem rechotał bez opamiętania. Major słuchał tego wszystkiego cierpliwie, ale gdy Henryson powiedział to o kobietach, kazał mu się zamknąć, nie wiedzieliśmy dlaczego.

Ale Henryson posłusznie się przymknął. I oznajmił, że cieszy się, widząc tu kawalerię. Bo to dobrodziejstwo dla miasta. Poczuliśmy dumę. A jak wiadomo, insza przodkować w rozumie, a insza w wyniosłej dumie.

Wachmistrz milczał do tej pory, siedział na rozkładanym stołku i świdrował wzrokiem ziemię, jakby nie mógł się doczekać końca tego przesłuchania, żeby odtrąbić wsiadanego i zrobić to, po co tu przyjechaliśmy. A jak się zdaje, rzecz polegała na tym, by dokończyć to, co zaczęło pospolite ruszenie. Henryson oświadczył, że chcą oczyścić okolicę z Indian, na co major nic nie odpowiedział. Kiwnął głową na swój zamyślony sposób, a jego oblicze wyglądało jakoś tak dumnie i godnie, zwłaszcza w porównaniu z gębą Henrysona, paskudną i poczerniałą, jakby ten w swoim czasie przegryzł za wiele flejtuchów i patronów. Potem mieszkańcy osady podarowali kawalerzystom beczułkę i piliśmy do samego rana, grając przy tym w karty i tłukąc się raz po raz, jak to bywa w takich przypadkach, a potem żołnierze pochorowali się jak strute psy.

Wracałem chwiejnym krokiem z Johnem Cole'em na twardą pryczę, wiedzieliśmy, że whisky posłuży nam za poduszkę, ale zatrzymaliśmy się na wszelki wypadek przy palisadzie, gdzie wyznaczono miejsce do szczania. Na wale siedział wartownik, ale widzieliśmy tylko jego czarne garbate plecy. Wnosząc po tym garbie, wartownik spał. Major właśnie skończył i wiązał troczki kalesonów.

Dobrej nocy, panie majorze, powiedziałem do jego niewyraźnych w ciemności ramion. Spojrzał na nas. Zasalutowałem jak się należy. Major też był nieźle wstawiony i w tym stanie nie trzymał, jak zazwyczaj, głowy prosto. Był chyba wściekły. Odpowiedział na mój salut jakoś tak niezdarnie, pokręcił głową, a potem zadarł ją ku gwiazdom.

Nic panu nie jest, panie majorze? – zapytałem.

Co za tupet z tym skradzionym mułem! – rzucił wściekle niczym aktor na scenie. A potem zaczął mamrotać coś pod nosem. Usłyszałem nazwisko Henrysona i coś o listach do pułkownika, grabieży, zabijaniu osadników i cholernych kłamstwach. Ale kierował tę przemowę, jak się zdawało, do palisady. Kołysał się niezbornie, przestępując z nogi na nogę na obszczonej ziemi. Trzystu kawalerzystów potrafi zrobić błoto. A smród był straszliwy, dziwne, że wartownik to znosił.

Co za tupet, żeby przychodzić do nas po skradzionego muła i pranie! – powiedział, kładąc nacisk na ostatnie słowo, jakby sam miał ochotę sprać Henrysona.

Odprowadziliśmy majora na kwaterę, a potem ruszyliśmy do naszej. To dobry człowiek, ten major, stwierdził kategorycznie John Cole, jak to po pijanemu. Potem ruchaliśmy się cichutko, a później usnęliśmy.

Wcześniej rano, mimo gwałtu na naszych ciałach, dosiedliśmy koni. Przez późną porę roku było zimno jak w najgorszym koszmarze, bo słońce nie grzało już tak jak wcześniej. Całą ziemię skuł mróz, a na okolicznych sekwojach wisiały wielkie mroźne całuny. Długie niskie pagórki, gdzie nie powiodło się drzewom albo je powalono, trudno orzec, falowały trawami.

Powiedziano nam, że mamy przed sobą czternaście godzin jazdy. Zwiadowcy chyba znali drogę wskazaną poprzedniego dnia przez pospolite ruszenie. Usłyszeliśmy, że pospolite ruszenie pojechało przodem w ciemności, co strasznie rozeźliło majora. Kręcił głową i klął na cywili. Tak, nabiliśmy muszkiety, najedliśmy się i skłanialiśmy ku temu, by być dobrej myśli na temat tego całego przedsięwzięcia. Obolałe plecy po długiej wyprawie na zachód nie zaprzętały nam głowy.

Po takiej jeździe kręgosłup kruszy się na spojeniach, a człowiek, moim zdaniem, wozi w tyłku spory zapas kostnego pyłu. Tak to wyglądało. Każda nierówność i każde potknięcie konia bolały jak jasna cholera. Ale w tamtym czasie dosiadałem smukłego siwka, do którego nie mogłem mieć najmniejszych pretensji. Z kolei John Cole jeździł na przyprawiającej o palpację serca koszmarnej kobyle. Przy każdym

manewrze rozrywał jej pysk wędzidłem. Klacz przegryzła wytok gdzieś na pustyni, więc zadzierła i opuszczała łeb do woli, jak jej się podobało. Ale John Cole miał do niej cierpliwość. Była kara jak kruk, co mu się podobało.

W mroźnym listopadowym powietrzu oddech trzystu koni wyglądał jak tuman mgły. Rozgrzane końskie ciała parowały z wysiłku. Powinniśmy byli jechać w szyku, ale starożytne sekwoje niewiele sobie z tego robiły. Rozdzielały nas i odcinały, jakby to one szły stępa, a nie my. Do niektórych dałoby się przywiązać z pięćdziesiąt koni. Z gałęzi drzew nawoływało się przedziwne amerykańskie ptactwo, zrzucając z odległych koron miliony płatków mrozu. Raz po raz w lesie rozlegał się huk, jakby ktoś strzelał z muszkietu. Drzewa wcale nas tu nie potrzebowały, tak mi się wydawało. Zajmowały się nade wszystko własnymi sprawami.

Hałasowaliśmy uprzężami, ostrogami, orężem, wszystko obijało się o siebie i trzęsło od ruchu, końskie kopyta smyrgały w poszyciu i łomotały w ziemię, ale kawalerzyści przeważnie ze sobą nie rozmawiali i jechaliśmy w milczeniu, jakbyśmy się umówili. Ale to drzewa wymuszały na nas tę ciszę. Major sygnalizował komendy ręką i dłonią, a znaki te przekazywano od czoła do końca kolumny. Wyczuliśmy, że coś się przed nami dzieje, zanim to zobaczyliśmy. Nagle wszyscy stali się bardzo nerwowi, słyszało się niemal chrzęst sztywniejących i tężejących kości, a serca załomotały nam gwałtownie, jakby chciały wyrwać się z piersi. Kawalerzyści odkasływali flegmę strachu z gardeł. Od przodu napływał coraz głośniejszy szum wielkiego ognia, jakby gdzieś zlatywało się dziesięć tysięcy szpaków, a między drzewami błyskały gwałtownie żółtoczerwone płomienie i rozpełzał się czarnobiały dym. W końcu wyjechaliśmy spomiędzy drzew. Ogień płonął na drugim końcu wielkiej łąki. Stało tam z pięć wielkich domostw wzniesionych z pni sekwoi, lecz tylko jedno płonęło, jakby samo z siebie ogarnięte pożogą i dymem. Major rozwinął naszą kolumnę na łące, jakbyśmy mieli szarżować w ogień. Padła komenda „stępa”, „muszkiety w pogotowiu”. Wszędzie aż roило się od osadników, biegali po całym indiańskim obozowisku, raz po raz krzycząc do siebie, a wkrótce

ujrzałem Henrysona we własnej osobie, dzierżącego wysoko dużą płonąca pochodnię. Krzatali się jak kauzyperdzi w sądzie. Zbliżyli się do nas, a Henryson przyszedł rozmówić się z majorem, ale nie usłyszałem, co miał do powiedzenia. Podzielono nas na drużyny i poinstruowano, że w zagajniku z prawej kryją się Indianie. Spięliśmy konie i pogalopowaliśmy po stromym stoku, jakbyśmy nad nim lecieli. Kawalerzyści Pearl i Watchorn trzymali się jak zwykle ze mną, zagajnik zgęstniał, zsiadliśmy z koni i kilkudziesięciu kawalerzystów pomaszerowało pieszo między młode drzewa.

Wtedy rozległy się krzyki i nawoływania, piski i wrzaski. Nasadziliśmy bagnety na broń i popędziliśmy ławą, starając się nie przewrócić w gęstym poszyciu. Dym z płonącego domostwa spływał z łąki i snuł się po zagajniku pod każdym krzakiem i w każdej szczelinie, prawie nic nie było widać i strasznie piekły nas oczy. Dostrzegliśmy cienie Indian i natarliśmy na nich bagnetami. Pchaliśmy i cofaliśmy bagnety w kłębiące się ciała, usiłując zabić każdego, kto ruszał się w tej mgle. Dwóch, trzech, czterech upadło po moich pchnięciach i byłem zdumiony, że nikt do mnie nie strzela, zdumiony chyżością i zgrozą tego zadania, tak ożywczego, przyprawiającego już nie o łomot, ale żar serca, które płonęło mi w piersi jak wielka głównia. Dźgałem i dźgałem.

Widziałem dżgającego Johna Cole'a, słyszałem, jak stękał i kłął. Chcieliśmy zakłuć i zniszczyć wroga, abyśmy mogli wieść własne życie. Przez cały czas spodziewałem się, że moją irlandzką czaszkę rozłupie słynny tomahawk albo że pierś przebije mi lana kula. Ale nic się nie działo, prócz naszego oszalałego sapania i pchania. Baliśmy się strzelać z muszkietów, żeby nie pozabijać się nawzajem. Skończyliśmy robotę, a do naszych uszu dotarł wreszcie płacz ocalonych i straszliwe jęki rannych. Dym rozwiął się w końcu i dojrzeliliśmy ostatecznie rozmiar naszego triumfu na bitewnym polu. Serce o mało mi nie stanęło. Bo wokół nas były same kobiety i dzieci. I ani jednego wojownika. Przedarliśmy się przez kryjówkę squaw uciekających z dziećmi przed pożogą i mordem. Czułem trwogę i dziwną urazę, przede wszystkim do siebie, bom wiedział, jaką niezwykłą radość sprawiła mi ta szarża. Watchorn i Pearl ciągnęli

jakąś kobietę między drzewa. Wiedziałem, że ulżą sobie na niej. Dobrze wiedziałem. Niemowlęta, które wypadły matkom z rąk, dobijano bagnetami z całą resztą. Kawalerzyści dopychali bagnety tak, że bardziej się nie dało, aż ręce odmawiały im posłuszeństwa. Watchorn i Pearl ruchali, rycząc, a potem bezlitośnie zabili Indiankę. Na to przybiegł major, wrzeszczący najgłośniej ze wszystkich, ze zgrozą malującą się na twarzy, wykrzykiwał rozkazy, szaleńczo próbując powstrzymać rzeź. Stanęliśmy wszyscy na baczność, dysząc, z zimnym potem spływającym po zmęczonych twarzach, oczy nam lśniły, łydki drżały jak u psów, które rozszarpały jagnię.

Znużeni wracaliśmy noga za nogą. Osadnicy stali jakieś dwadzieścia stóp od pożogi. Wciąż paliło się wściekle, kłębił się dym i płomień, sypały żywiczne iskry, plując w naszą stronę niczym na starym malunku piekła. Kawalerzyści zbili się w gromadę, jeszcze nie gadając zbyt wiele, przyglądając się tylko płomieniom i osadnikom. Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Nie znaleźliśmy w tamtej chwili własnych imion. Staliśmy się inni, staliśmy się innymi ludźmi. Byliśmy mordercami, jakich nie znał świat. Dach domostwa zapadł się z głośnym i dziwnym stęknieniem. Zapadł się w chmurze popiołu i snopach iskier. Iskry wyskoczyły wysoko, koziółkując nad nami radośnie, migocząc to czarno, to znów czerwono. Wielka burzowa chmura iskier. Potem przewróciły się ściany domu, a z ciemności, z najgęstszych płomieni, wychynęły palące się wściekle ciała, wojownik na wojowniku, ułożeni po sześciu jeden na drugim, widać było ich zmasakrowane twarze, czuło się skwierczące mięso, trupy skręcały się dziwnie w żarze, spadały i toczyły po wypalonej trawie, bo gdy padły ściany, nic już ich nie przytrzymało.

Znów buchnęły iskry, wyglądało to jak prawdziwy koniec świata i śmierć, a w takich chwilach nie da się myśleć, bo cała krew odpływa z głowy, która staje się pusta, chwiejna, zdumiona.

Kawalerzyści łkali, lecz nie takimi łzami, które znałem. Inni podrzucali kapelusze, jakby coś szaleńczo świętowali. Jeszcze inni zwiesili głowy, jakby właśnie usłyszeli o śmierci najbliższych. Wszystko wydawało się martwe, włącznie z nami. Przeobraziliśmy się, nie było nas tam, staliśmy się upiorami.



## Rozdział 4

Osadnicy mieli zamiar wydać wielką ucztę, żeby okazać nam wdzięczność. Miasteczko składało się z jednej krótkiej ulicy i kilku nowych domów po obu stronach. Kawalerzyści Pearl i Watchorn trafili po cichu do ancla w forcie, wsadzeni tam przez majora, fasując czasem przez kratę, co nie ulega wątpliwości. Major oznajmił, że się z nimi policzy w stosownym czasie.

Miasteczko tymczasem żyło przygotowaniami i wytycznymi na następny dzień. Był niedźwiedź do zarżnięcia i dużo jeleniej dziczyzny oraz, jak mówiono, sfera psów. Wyglądało na to, że trzymali je Indianie, a osadnicy zagnali je jak owce i popędzili do miasteczka pośród wściekłych pisków i poszczekiwań.

Major tymczasem posłał zastęp ze szpadlami ze sklepu metalowego do kopania długich dołów w lesie obok pustego już obozowiska; zaciągnęliśmy do nich ciała i je zasypaliśmy. Major nie chciał, żeby trupami żywiły się wilki, choć osadnicy nie mieli nic przeciwko temu. Wyrażali ogromne zdziwienie akuratnością majora, który choć uprzejmy i zrównoważony w mowie, nie dał sobie niczego wpierać. Był zdania, które wyraził przed nami, gdy ze szpadlami staliśmy niechętnie w szeregu w tym nienawistnym i nawiedzonym miejscu, że Indianie mają dusze jak wszyscy inni ludzie. Chciałbym wam opisać, jak się wtedy czułem, tyle że wracam wówczas myślami do Kanady i baraków dla chorych na tyfus, a uważam, że nie ma po co do tego wracać.

Tam też były doły, do których wrzucano ludzi tysiącami, niemowlęta również. Sam oglądałem to jako dziecko. Robi się ponuro, gdy świat nie przywiązuje żadnej wagi do człowieka i jego bliskich, a wtedy zjawia się Śmierć, skradając się w zakrwawionych butach.

Więc kopaliśmy jak przerażeni bohaterowie. John Cole, jak zauważyłem, kopał najlepiej, można się było domyślić, że nie po raz pierwszy obracał ziemię. Naśladowałem go. Bo sam jako malec w Irlandii tylko wyrywałem z ziemi ziemniaki, gdy ojciec okopał je

szpadłem na małym zagonie za naszym domem, a ojciec nie był prawdziwym farmerem. Na ziemi wciąż leżał zamróz, a od niskiej temperatury zamarzał też wąski strumyk wijący się przy obozowisku, które jak przypuszczam, właśnie dlatego tam założono. Trawa była wyschnięta i całkiem obojętna, sięgała aż po horyzont, gdzie drapała niebo ostrymi źdźbłami. A niebo było przejrzyste, bardzo dalekie i niebiesciutkie. Kopaliśmy doły przez cztery godziny. Kawalerzyści śpiewali przy robocie świńskie, dobrze wszystkim znane piosenki. Pociliśmy się jak szyby w oknach zimą.

Major nas poganiał na swój osobliwy, chłodny i obojętny jak te trawy sposób. Umyślił sobie, że musi coś zrobić, i właśnie to robił. W miasteczku przydybał księdza i kazał mu przyjść i się pomodlić, ale osadnicy się temu sprzeciwili. Po godzinach kopania posłał nas po trupy i przyciągnęliśmy ciała kobiet i dzieci do dołów, a potem poszliśmy do wypalonego domostwa, żeby szperać w rumowisku na poczerniałej ziemi i przynieść to, co zostało z kości wojowników, ich głowy i takie tam. Wrzucaliśmy wszystko do dołów. Moglibyście się przejąć, widząc, jak ostrożnie niektórzy żołnierze wrzucali te kości. Inni wrzucali je jak odpadki, w ogóle się tym nie trapiąc. Ale ci delikatniejsi składali kości z godnością. Na przykład John Cole. A co się tyczy rozmów, to słychać było zwykłą gadaninę, która nic nie znaczy, choć jakoś ocala serce i zabija czas. Przekonałem się też, że wiele squaw i dzieci uciekło z młodniaka, bo widziałem jeszcze ich ślady w wydeptanym poszyciu. Miałem nadzieję, że część ich chłopaków też uciekła, ale myśląc w ten sposób, sam prosiłem się o kłopoty. Takie piękne miejsce i tak koszmarna robota! Nie dało się tam wyrugować zwykłych ludzkich myśli. Przyroda sama prosi, żeby cofnąć się odrobinę i zapomnieć. Przenika pod skórę niczym wwiercający się robal. Po wrzuceniu wszystkich ciał zasypaliśmy doły wykopaną ziemią, jakbyśmy polewali lukrem dwa wielkie torty. To było paskudne. Potem stanęliśmy na baczność i na rozkaz majora zdjęliśmy kapelusze, a on rzekł swoje. Boże, zmiłuj się nad tymi ludźmi, powiedział, i wybacz nam to, co uczyniliśmy związani rozkazem. Amen.

Było już ciemno, mieliśmy przed sobą wiele godzin jazdy, ale bez

żalu dosiedliśmy koni, żeby wracać.

Następnego dnia wstaliśmy bardzo wcześnie w forcie, żeby zmyć z siebie brud przy beczkach na deszczówkę i przebrać się na ucztę w galowe mundury. Czyli te same mundury, doprowadzone w miarę możliwości do porządku, a Bailey, nasz cyrulik, podciął tyle łbów, ile zdołał, i ogolił tyle samo gąb. Ustawiła się do niego długa kolejka czekających cierpliwie żołnierzy w kamizelkach. Włosy zmiotano w jutowe worki i palono z powodu hulających po nich gnid. Byliśmy już prawie gotowi i wjechaliśmy do miasta z wdziękiem i elegancją, na tyle, na ile nas było stać. Wspaniale jest podziwiać przejazd trzystu kawalerzystów i chyba wszyscy tę wspaniałość odczuliśmy. Część z nas, choć wciąż byliśmy młodzi, przepiła już w połowie wątroby. Ja sam nie miałem wtedy więcej niż osiemnaście lat. W krzyż uwierały nas twarde łęki siodeł. Po przebudzeniu bolały wszystkie kości. Ale piękno kolumny kawalerii docierało i do nas.

Przyjechaliśmy tu w interesie tych ludzi, coś dla nich zrobiliśmy. Coś takiego. Chcąc nie chcąc, rozpała to ogień w wątpliach. Poczucie słuszności. Niezupełnie sprawiedliwości. Ale wypełniania woli większości, coś w tym rodzaju, nie wiem. Tak było wtedy z nami. Dawno temu, jak mi się wydaje. Choć do dziś mam to przed oczami.

Major wypuścił Watchorna i Pearlę na świętowanie, uznając zapewne, że tak trzeba. Powiedział, że zajmie się nimi później. Nie mieli dokąd uciec. Wokół nas nie było nic, tylko pustka.

Muszę powiedzieć, że miasteczko uroczym przystroiliło się na nasze powitanie. Wzdłuż wąskiej uliczki rozwieszono flagi i zapalono lampiony z pakowego papieru, w którym niczym dusze paliły się świece. Ksiądz wygłosił długą modlitwę dziękczynną na świeżym powietrzu, a wszyscy osadnicy padli na kolana, chwając Pana. Ta cząstka ludzkości rozgościła się na dobre w tym miejscu i Indianie nie mieli tu czego szukać. Anulowano im bilety na przejazd, a boscy strażnicy odebrali paszporty ich duszom. Gdzieś w głębi czułem sączący się z ich powodu smutek. Od siedmiu godzin leżą sobie w dołach, górują nad nimi sekwoje, a ciszę przerywa tylko śpiew ptaków i poszept przechodzących zwierząt. Posępne okropieństwo tego wszystkiego, pewnie tak. Nie pomodlił się za nim w uniesieniu

żaden ksiądz. Chłopakom trafiły się znaczne karty. Uprzejmości dobiegły końca, a miasteczko wstało jak jeden mąż i zakrzyknęło radośnie, po czym wraz z nami zabrało się do ucztowania: jedzono mięswo i odbijano beczki, czemu towarzyszył zwykły w takich razach rozgardiasz. Tańczyliśmy, klepaliśmy się po plecach, opowiadaliśmy sobie stare dzieje. Mężczyźni pilnie nadstawiali ucha, żeby osądzić, kiedy należy wybuchnąć śmiechem. Czas nie był wówczas w naszych oczach czymś, co kiedyś się skończy, lecz czymś, co biegnie nieskończenie i co w tamtej konkretnej chwili przystanąło, by odetchnąć.

Trudno orzec, co chcę przez to powiedzieć. Człowiek przygląda się tym wszystkim nieskończonym latom, kiedy w ogóle o tym nie myślał. Robię to teraz, pisząc te słowa w Tennessee. Myślę o całym życiu takich dni bez końca. Teraz już tak nie jest. Zastanawiam się, jakimi słowy rozmawialiśmy ze sobą beztrosko tamtej nocy, jakie wierutne bzdury sobie opowiadaliśmy, jakie pijackie okrzyki wznosiliśmy i jaką czerpaliśmy z tego radość, jak bardzo John Cole był wtedy młody i najprzystojniejszy na świecie. Młody – to nigdy się nie zmieni. Serca w górę, dusza śpiewa. Żyliśmy pełnią życia, ukontentowani jak jaskółki pod okapem dachu.

Armia umyśliła sobie, że przezimujemy w forcie, a wraz z nadejściem wiosny zmiarkujemy, co jeszcze należy zrobić, żeby spacyfikować okolicę. Choć wspomniałem wcześniej, że Yurokowie byli niedużym i mało skutecznym ludem, słuchając mieszkańców miasteczka, zacząłem wraz z innymi podejrzewać, że Indianie wcale nie są tak znośni. Wszyscy opowiadali o rabunkach i gwałtach, o nagłych, kończących się tragicznie najazdach na położone na odludziu osady. Jak się czegoś nie widziało, nie dało się orzec, co jest prawdą. Tak czy inaczej, usłyszeliśmy w odpowiednim czasie, że na nasze wyżywienie przypędzono z południowej Kalifornii zarekwirowane dla wojska stado kilkuset sztuk bydła. A w Dniu Świętego Jana, zgodnie z obietnicą, dostaję list od pana Noone'a. Najświeższe wieści. Pod coraz grubszą warstwą lodu płynęła świeża woda. Dzięki niskim temperaturom nic nie marnowało się w sklepach. Mieliśmy cały las drewna do spalania. Wypraliśmy koszule i kalesony,

a kiedy poszliśmy je zdjąć z krzaków, na których się suszyły, wszystko zeszywniało od mrozu jak trupy.

Kilka nieszczęsnych krów zamarzło na śmierć na stojąco, jakby spojrzwały w oblicze starej Meduzy. Żołnierze przegrywali w karty żołą za trzy lata z góry. Zastawiali kamasze, a potem błagali zwycięzców o litość. Szczyny zamarzały nam przy kuśkach, a biada temu, co miał zatwardzenie albo srał za długo, bo zaraz robił mu się brązowy sopel przy dupie. Whisky dalej wyżerała nam wątroby. Lecz dla większości z nas było to najwspanialsze życie. Watchorn i Pearl byli wśród nas, jakby major zapomniał o ich przewinie. Żołnierze z Missouri śpiewali pieśni z Missouri, krzepcy żołnierze z Kansas śpiewali swoje, a ci dziwacy z Nowej Anglii śpiewali bez wątpienia tradycyjne angielskie pieśni, kto wie.

Zaczęły się niemożliwe ulewy. Byliśmy wysoko w górzystej krainie, gdzie każda mała rzeczka zamieniała się w grubego muskularnego węża, a lejąca się z nieba woda musiała przekonać się o wszystkim – na przykład o wytrzymałości naszych smętnych dachów, o dzielności naszych prycz, które zamieniały się w małe barki – licząc bez wątpienia na to, że jeśli będzie się lała dzień i noc, żaden żołnierz nie wysuszy munduru. Byliśmy przemoknięci do suchej nitki.

Kretyńska kalifornijska pogoda, jak to się stało, że ktoś tu w ogóle przyjechał? – pytał John Cole głosem kogoś, kto niezupełnie wybrał dla siebie to miejsce.

Leżeliśmy na wspomnianych wcześniej pryczach. Podobno zbliżała się wiosna, ale było nam wszystko jedno, bo i tak nikt nie śmierdział groszem, żeby coś przegrać w karty, z wyjątkiem wachmistrza, który przeważnie zgarniał bank. W innych pododdziałach naszego szwadronu też pływały rekiny, choćby taki Patterson i Wilks, obaj cholernie dobrze grali w karty.

Teraz pewnie pilnowali, żeby wygrane im nie przemokły. Te jankeskie dolary szybko chwytała rdza. Śnieg topniał wysoko w górach i spływał do nas.

Następnego ranka John Cole zbudził mnie, szarpiąc za ramię. Musisz coś zrobić, nie możesz się wylegiwać, powiada. No tak, woda zalała mu pryczę i podchodziła już pod moją.

Wszystko śmierdziało szczurzymi szczynami, jeśli wiecie, jaki to smród. Teraz przypominam sobie, że widzieliśmy, jak dziesiątki tych szkodników ratowało się, pływając. Wylaliśmy się na tak zwany plac apelowy. Żołnierze wychodzili z baraków, dopinając szelki. Nie było dokąd uciec. Skąd ta powódź? – pytaliśmy. Co za geniusz postawił tutaj fort! No bo tak: nie dość, że mieliśmy ulewę, to zalewała nas jeszcze woda z roztopów, co jasno pokazywało, jak zbudowano obóz. Wyobraźcie sobie wielką nieckę, a za nią wzgórza oraz coś, co było kiedyś przyjaznym ruczajem płynącym wzdłuż palisady. Obecnie niewidocznej. Choć stali na niej jeszcze nocni wartownicy, rozglądający się, jakby nie wiedzieli, co robić. Jakiś odważny trębacz odtrąbił pobudkę, ale byliśmy już, do cholery, na nogach. Major całkiem dosłownie płynął w naszą stronę. Trzystu żołnierzy zastanawiało się, jak wleźć na dachy, to był jedyny ratunek, dziesiątki innych włąziło na cieniste drzewa, nie pokazując po sobie, że kręci im się w głowach od wysokości, wspinali się na te pnie jak małpy w mundurach. Brodziłem z Johnem Cole'em przez ciężką jak ołów wodę, a potem, tak jak inni, wspięliśmy się na drzewo.

Nie dotarliśmy jeszcze do korony, gdy z daleka dobiegł nas dziwny szum. Nikt czegoś takiego nie widział. Bo wyglądało to, jakby ktoś wylał ocean na las, smyrgnął nim jak z nocnika, a ten robił teraz to, co nieuniknione i naukowo dowiedzione, znaczy się, spływał, burząc się i wzbierając w naszą stronę. Kiedy to ujrzeliśmy, wydało nam się, że jesteśmy jak trzystu krasnoludków ustawionych to tu, to tam na niskich dachach baraków. Major prawie wywrzaskiwał rozkazy, wachmistrze powtarzali je jako echo, a żołnierze starali się je wykonywać. Tylko co rozkazał major? Co powtórzyli wachmistrze? Dokąd mamy uciec?

Pływaliśmy już po płytkim morzu. A nadciągająca fala powodziowa wyglądała jak dwudziestostopowa śmierć. Spływała tak szybko, że nie dałoby się na nią nic postawić. Nie dałoby się zapisać zakładu. I wtedy ta wściekła woda zwała się na nasz fort i przykryła wszystko, ciągnąc ze sobą połowę lasu. Drzewa, konary i krzaki, niedźwiedzie i jelenie, i Bóg wie co, ptaki i aligatory, choć mówiąc szczerze, nie widziałem nigdzie w okolicy aligatorów.

Wilki i pумы, i węże. Wszystko spływało z powodzią, wszystko, co woda mogła podmyć i ponieść ze sobą. Żołnierzom na dachach przypadły najbardziej gówniane karty z tego rozdania, wyglądało to tak, jakby dłoń natury zmiotła ich ze stołu. Nasze cieniste liściaste drzewo zgięło się pod naporem fali, a miało dwanaście stóp w obwodzie u podstawy. Człowieku, jakżeż ono się zgięło! A potem odgięło w drugą stronę. Byliśmy niemal jak strzały, którymi ktoś praży z łuku.

Trzymaj się, Johnie Cole! Trzymaj się, Thomasie! Więc się trzymaliśmy, ściskaliśmy to wielkie stare drzewo, przywiązaliśmy się do niego, a ono jęczało pośród grzmiącej wody, wątpię, bym kiedykolwiek usłyszał jeszcze takie dźwięki, taką prawie muzykę.

Utopiły się dziesiątki żołnierzy. Watchorn i Pearl pewnie żałowali, że się nie potopili, ale przeżyli. Ja i John Cole też. Dzięki Bogu John Cole też. Major i coś koło dwustu innych. Głównie ci, co wspięli się na drzewa. Dachy okazały się za niskie. Przez następne tygodnie znajdowaliśmy ciała gdzieś niżej, gdy powodziowe wody opadły. Osadnicy pomagali nam przy pochówkach. Nie byli tak nieroztropni, żeby stawiać miasteczko w powodziowej niecce. Dopiero wtedy domyśliliśmy się, co ją wyźłobiło. Niech diabli porwą wojska inżynieryjne.

Potem w naszym obozowisku wybuchła dziwna gorączka. Może to była żółta febra albo coś w tym rodzaju, coś, co lubi dużo wilgoci. Rzecz jasna, szlag trafił nasze bydło, podobnie jak suchy prowiant, który zamókł. Osadnicy dzielili się z nami, czym tylko mogli, ale major zawyrokował, że musimy wracać do Missouri, choć na prerii wschodziła dopiero trawa. Ta krótka wycieczka dobiegła końca, oznajmił oschle. Miał poczucie humoru.

Najoschlejsze w całej okolicy.

Zima znów zaciskała pętlę na szyi świata, a myśmy wracali do Missouri. Gdyby ktoś chciał powiedzieć, że byliśmy pobitym wojskiem, nic by nie powiedział. Może Bóg pokarał nas za nieczne czyny. Tym razem u podnóża gór nie było żadnych zwierząt, a nasze żołądki raz-dwa jął dręczyć głód. Byliśmy już od tygodni w drodze, ale dopiero teraz głód zajrzał nam w oczy.

Taki znawca głodu jak ja bał się bardziej od pozostałych. Widziałem, co głód robi z zimną krwią. Na świecie żyje mnóstwo ludzi, a gdy dochodzi do rzezi lub głodu, gdy gdzieś zapada decyzja, kto będzie żył, a kto umrze, nikt się tym specjalnie nie przejmuje. Świat jest tak ludny, że nie musi się tym zajmować. Mogliśmy umrzeć z głodu na jałowych pustkowiach, na pustyni, co nie była pustynią, czy w podróży, co nie była podróżą, tylko ucieczką na wschód. Ludzie giną tysiącami zawsze i wszędzie. Świata to nie obchodzi, światu specjalnie to nie przeszkadza. Tego się o nim dowiedziałem. Gdzieś słychać zawodzenie i rozpacz, a potem nad wszystkim zamykają się spokojne wody, a stary ojciec Czas umywa w nich ręce. I wlecze się dalej, do następnego miejsca. Dobrze się nam przysłuży wiedza, że trzeba mocno się wysilić, żeby przeżyć. Samo przeżycie jest już zwycięstwem. Teraz nie mogę się już tak wysilać, więc wracam myślą do tego opuszczonego oddziału kawalerii i staram się go przywołać. Zdziesiątkowani i zabiedzeni dostrzegaliśmy w tym jedyne dobro. Coś, czego nie zalała powódź, nie wyrwał głód. Ludzką wolę. Trzeba oddać jej hołd. Widziałem ją wiele razy. Nie jest aż taką rzadkością. Jest tym, co w nas najlepsze.

Modliliśmy się jak księża albo dziewice o spotkanie wozów jadących na zachód. Tyle tylko, że w wozach tych, jeśli je spotkamy, pewnie będzie już krucho z wiktuałami. Ale chcieliśmy ujrzeć jakieś inne ludzkie oblicza. Mila za milą ciągnęły się wyschnięte krzaki Ameryki i poszarpane pagórki. Daleko na południe od nas widywaliśmy, jak nam się zdawało, wielkie sterty ułożonych równo kamieni i wiedzieliśmy, że nie wolno się tam zapuszczać.

Zaczynały się tam ziemie Apaczów albo Komanczów. Te chłopaki zjadłyby nas na kolację bez mrugnięcia powieką. Major znał chudych Apaczów, walczył z nimi, jak mówił, przez piętnaście lat. To najgorsze diabły, o jakich usłyszycie i jakie zobaczycie, powiadał. Mówił, że regularnie najeżdżają Meksyk i wyrzynają farmerów. Zabijają wszystkich, którzy wpadną im w ręce, kradną bydło, konie, kobiety, a częstokroć i dzieci i wywożą na swoje tereny. Można ich tropić miesiącami, bo przemieszczają się jak zjawy po upiornej ziemi. Można ich gonić z wojskiem i bronią, ale nigdy się ich nie znajduje.



Nie da się ich nawet wypatrzyć. Tylko jak człowiek budzi się rano, to nie ma już spętanego wieczorem wierzchowca, bo w jedną noc potrafią ukraść i pięćdziesiąt koni, podrzynając gardła wartownikom siedzącym tam, gdzie siedzieli. Mówił, że ci, co zostali ich jeńcami, gorzko tego pożałowali. Bo jeńców zwożą do wioski do zabawy, a w wiosce zlatują się kobiety z krótkimi ostrymi kozikami i tną jeńców w wąskie paski, a to najstraszniejsza i najpowolniejsza śmierć, jaką można sobie wyobrazić. Takie powolne wykrwawianie się w ciepłym pyle na prerii. Albo zakopują jeńca w piasku po szyję, żeby mrówki wyjadły mu oczy, psy wyżarły uszy i nos, jeśli kobiety jeszcze ich nie obcięły. Chodzi o to, że wojownik nigdy nie wyje. Jak się im pokaże odwagę i nie krzyczy się z bólu, uznają, że człowiek umarł godnie. Ale biali i żołnierze ryczą na sam widok kobiety z nożem. Tak czy siak, jest się już martwym. Chodzi o to, że jak wojownikowi brakuje jakiejś ważnej części, na przykład obetną mu głowę od korpusu, jego dusza wedle panującej wśród Indian opinii nie trafi do szczęśliwej krainy wiecznych łowów. Więc starają się nie obcinać za wiele. Tylko małe kawałki. Ucho i oko, powiedzmy, albo jajka. Dzięki temu wciąż można się dostać do nieba. Kłopot w tym, że meksykańscy bandyci i biali rozbójnicy każdego autoramentu – piekielni banici, mordercze koniokrady i wszystkie te opętane istoty ludzkie, tak powszechne w owych czasach – rozczłonkowywali Indian po ich zabiciu. Najpierw zdejmowali im skalpy, a włosy są dla Indian bardzo ważne. Więc ich skalpowali. Obrzynając długie, sięgające pasa czarne włosy, a wraz z nimi skórę z czaszki. Potem odrąbywali im głowy maczetą. Dalej ramiona. Nie okazywali Indianom żadnego szacunku i nie przejmowali się tym, co stanie się z nimi po śmierci. Ten brak szacunku rozsierzdał Apaczów, Komanczów, którzy ruszali szukać pomsty. A złapawszy białego, obcinali mu palce jeden po drugim. Dalej obcinali mu palce u nóg, potem jaja, potem kuśkę.

Wolno, bardzo wolno. Więc lepiej nie wchodzić im w drogę. Biali nie rozumieją Indian i na odwrót, stwierdził spokojnie major, kręcąc głową.

I dlatego mamy problemy, dodał.

No i teraz baliśmy się Indian nie mniej niż głodu, choć głód brał

jednakowoż górę.

## Rozdział 5

Wyobraźcie sobie nasze przerażenie, naszą zgryzotę, gdyśmy na horyzoncie ujrzeli chłopaków Oglala na koniach. Dwustu, trzystu... Tylko sobie siedzieli. Nasze konie zmieniły się w szkielety. Poiliśmy je i nic ponad to. A te stworzenia muszą regularnie jeść trawę, paszę czy cokolwiek. Mojemu nieszczęsnemu koniowi wszystkie żebra sterczały niczym metalowe lewary.

Watchorn był niegdyś niskim pyzaty młokosem, ale już tak nie wyglądał. John Cole mógłby służyć za ołówek, jakby dało się przepchnąć przezeń ołowiany sztyft. Dzień wcześniej wjechaliśmy na prerię i konie poskubały trochę świeżej jasnozielonej trawy. Nie dłuższej niż na pół cala. Bo było na nią jeszcze za wcześnie. Tęskniliśmy za widokiem wozów albo prześcigaliśmy się szaleńczo w marzeniach o stadzie bizonów, śniliśmy o bizonach, wielu, wielu tysiącach pędzących w naszych snach, a potem budziliśmy się w świetle księżyca, widząc w lodowatych ciemnościach tylko jego cienką i żółtą jak szczyiny poświatę. Temperatura spadała tak bardzo, że trudno było oddychać. Wąskie strumyczki cuchnęły żelazem. Nocą kawalerzyści spali blisko siebie owinięci w koce, wyglądaliśmy jak banda piesków preriowych, zbitych w gromadę, żeby przeżyć. Chrapaliśmy przez zamarznięte nozdrza. Konie przestępowały z nogi na nogę i wydmuchiwały w ciemnościach parę na kształt lodowatych wąsów i kwiatów. W tych przedziwnych okolicach słońce wstawało nieco wcześniej, jakby chętniej, niczym piekarz wsuwający ciasto do chlebowego pieca o świcie, żeby gospodynie z miasteczka miały wcześniej chleb. Boże, to ostre słońce budzące się tak regularnie, mające w nosie, kto je widzi takie gołe, okrągłe i białe. Potem na ziemię spadały deszcze, wyciągając z niej świeżą trawę, krople łomotały i waliły w grunt jak przerażające kule, sypiąc odłamkami i pyłem w oszalałym tańcu.

Nasiona traw puchły od tego z dumy. Po deszczu wychodziło słońce, a nieskończenie wielka preria parowała, unosiły się nad nią

nieskończenie wielkie kłęby pary, w powietrzu kołowały i zawracały stada ptaków, miliony ptaków w jednej nieskończenie wielkiej chmurze, a żeby je zebrać z nieba, wypalić w tę flotyllę małych, czarnych, wędrownych ptaszków, potrzebowalibyśmy garłacza. Jechaliśmy dalej i przez cały czas, przez dziesięć czy piętnaście mil, Oglalowie jechali równo z nami, przypatrując się nam. Pewnie się zastanawiali, dlaczego nie zatrzymaliśmy się na popas. Lecz ani konie, ani my nie mieliśmy co jeść. To kawalerzysta Pearl powiedział, że to Siuksowie. Rozpoznał ich. Nie wiem po czym, bo byli bardzo daleko. Powódź zabrała naszych Szaunisów, zwiadowców, a ci wiedzieliby to na pewno. Byliśmy przetrzebieni, zostało nas z dwustu, może mniej. Major od wielu dni nie zwoływał apelu. Wachmistrz Wellington jako jedyny, jak się zdaje, zachował obojętność. Znał jedną starą piosenkę z gór Wirginii i śpiewał ją ze sto razy. Znał piosenkę o biednej, starej, umierającej matce i jej dzieciach gdzieś daleko i powtarzał ją tysiąc razy. A miał straszny, skrzeczący, schrypnięty, drewniany i złowrogi głos. I wyśpiewywał tak miła za miłą. A ci cholerni Siuksowie Oglala – czy kim tam oni byli – dotrzymywali nam wytrwale kroku. Przyszło mi do głowy, że powitałbym z ulgą, gdyby na nas ruszyli i wyrznęli nas w pień. Wachmistrz przestałby przynajmniej wyć.

W połowie ranka tego straszego dnia wachmistrz wyprostował się nagle, a jego wycie zamarło. Wyciągnął rękę, wskazując na równinie jeźdźca, który odłączył się od odległej watahy Indian. Miał ze sobą długą tyczkę z proporcem powiewającym na zrywającym się raz po raz wietrze. Major zatrzymał kolumnę i rozkazał nam zbić się w szyk zwarty. Pokazał ręką, że mamy uformować dziesięć szeregów po dwudziestu kawalerzystów z muszkietami gotowymi do strzału w zbliżającego się Indianina. Indianin chyba niewiele sobie z tego robił, bo jechał dalej i był już tak blisko, że ujrzelśmy go wyraźniej. Znajdował się tuż za zasięgiem muszkietów. Wachmistrz palił się do oddania strzału, ale major przytrzymał go za rękę. I spina konia, i jedzie naprzód przed szyk, i dalej prosto po mizernej trawie. Wachmistrz przygryza wargę, bo mu się to nie podoba, ale nie może głośno się sprzeciwić. Major myśli, że Indiańce to dżentelmeni jak on, syczy.

Więc stoimy tak w szyku i oczywiście od razu odnajdują nas muchy; my nie mamy co jeść, ale one już tak. Uszy, policzki, wierzch dłoni dostają za swoje. Cholerne czarne diabelstwa.

Ale prawie nie zwracamy na nie uwagi, a wszyscy kawalerzyści pochylają się lekko w siodłach, jakby chcieli usłyszeć negocjacje, do których dojdzie, choć nie ma na to żadnej szansy. Widzimy za to, jak major dojeżdża do Indianina i osadza konia, a Indianin porusza ustami, kiwa głową i pokazuje coś na migi. Panuje takie napięcie, że nawet muchy przestały nas żreć. A na prerii zapadła cisza jak w bibliotece. Szeleszczą tylko wielkie suche trawy, rozwijają się i zwijają, ukazują nam ciemne podbrzusza i chowają je, by znów bezwstydnie się obnażyć. Towarzyszy temu nieustanny cichy szum. Ale i tak przede wszystkim patrzymy na niebo. Ogromne, nieskończone niebo, które bez wątpienia sięga raju. Major rozmawiał z Indianinem przez jakieś dwadzieścia minut, po czym obraca gwałtownie konia i podjeżdża kłusem przed pierwszy szereg.

Indianin przez kilka chwil odprowadza go wzrokiem, a wachmistrz już zaczyna doń mierzyć, ale nie ma takiej potrzeby, bo Indianin odwraca koniowi głowę i jedzie spokojnie tam, skąd się wziął. Major podjeżdża do nas z wdziękiem, bo ma pięknego rasowego wierzchowca, choć obecnie z zapadniętymi bokami.

O co chodzi? – pyta wachmistrz.

Chciał wiedzieć, co tutaj robimy, odpowiada major. Wygląda na to, że zjechaliśmy za bardzo na północ ze szlaku. Z jego plemieniem nie podpisywaliśmy traktatów.

Cholerne skundlone sukinsyny, ot co, rzuca wachmistrz i pluje na ziemię. No cóż, te cholerne skundlone sukinsyny mają, jak powiedział, mięso, którym mogą się z nami podzielić, oznajmia major. Wachmistrz nie ma, jak się zdaje, na to odpowiedzi. Żołnierze są zdumieni, czują ulgę. Czy to może być prawda? Tak, bo ujrzeliśmy na własne oczy, że Indianie zostawiają mięso. Pojechaliśmy po nie, lecz zanim to nastąpiło, Indianie zniknęli. Ot tak, jak mają to w zwyczaju.

Kucharze i wyznaczeni do rozpalania ognia kawalerzyści wzięli się do roboty, a potem jedliśmy pieczonego bizona. Nawet

niedopieczonego bizona, bo zbyt wcześnie porywaliśmy kawałki mięsa znad ognia. Ale to bez znaczenia.

Zwykle jedzenie stało się szaleńczą wprost przyjemnością. Przeżuwanie czegoś nadającego się do jedzenia. Jakbyśmy jedli po raz pierwszy w życiu. Pili mleko matki. Wracało do nas wszystko, czym byliśmy i co odeszło wskutek głodu. Żołnierze znów rozmawiali, a potem wrócił im uśmiech. Wachmistrz udawał, że jest zły i oburzony. Gadał, że mięso jest najpewniej zatrute. Ale nie było zatrute. Więc dodał, że nikt za cholere nie zrozumie Indiańców. Mieli cholerną szansę, żeby nas wytłuc, i z niej nie skorzystali. Cholerne głupie Indiańce, kojoty mają więcej rozumu. Major musiał postanowić, że będzie milczał. Nie odzywał się. Dwieście par zębów żuło mięso. Połykaliśmy wielkie osmolone ogniem kawałki, burczało nam w brzuchach. No, muszę teraz przyznać, odezwał się kawalerzysta Pearl, że od dziś będę myślał dobrze o Indianach.

Wachmistrz piorunuje go wzrokiem.

Muszę przyznać, że myślę o nich dobrze, powtarza Pearl.

Wachmistrz zrywa się z ciężkim westchnieniem, odchodzi kawałek i siada sam nieco dalej na kopczyku trawy.

Był to szczęśliwy dzień.

Miarkowaliśmy, że jesteśmy jakieś cztery czy pięć dni od granicy, do Missouri i tego, co nazywaliśmy domem, został nam tylko kawałek, ale zerwała się burza. Ponura marznąca zamieć, skuwająca lodem wszystko, czego tknęła, w tym odkryte fragmenty naszych ciał. Nigdy nie jechałem w takim mrozie. Nie mieliśmy gdzie się schronić, więc musieliśmy przeć przed siebie.

Po pierwszym dniu zamieć postanowiła się nasilić. Cały świat ogarnęła nieprzebyta noc, a gdy zapadła prawdziwa noc, temperatura spadła pewnie do minus czterdziestu, nie wiedzieliśmy dokładnie. Krew podpowiadała nam, że nie może być zimniej. To przedziwne i szalone uczucie, jak człowiek zamarza. Zasłoniliśmy usta i brody chustami, ale po chwili nic to nie dawało.

Zamarzły nam rękawice, a palce zamknęły się na dobre na wodzach, jakby obumarły nam dłonie, które wywędrowały gdzieś same szukać niebiańskiej nagrody. W ogóle ich nie czułem, co może i

dobrze. Wiatr ciął jak lodowa brzytwa i zgoliłby nam brody i baki, gdyby nie to, że zamarzyły na kość. Byliśmy cali biali, skuci lodem od stóp do głów, a kare, siwe i gniade konie wyglądały jak wyrzeźbione z gipsu. Koc białej mroźnej wydzieliny, który okrył wszystko, wcale nie grzał.

Wyobraźcie nas sobie – dwustu żołnierzy jadących pod wściekły wiatr. Trawa trzaska pod końskimi kopytami. Wysoko na rozrywanych i szarpanym z niewypowiedzianą gwałtownością czarnym niebie ukazuje się na chwilę biała płonąca kula uciekającego księżyca. Baliśmy się otworzyć usta, choćby na sekundę, żeby lodowaty wiatr nie zmroził w nich śliny, nie pozwalając im się zamknąć. Zamieć miała do przejścia całą prerię i mnóstwo czasu. Zajmowała pewnie obszar dwóch krajów. Szła nad nami i przez nas. Gdyby nie mięso od Indian, padlibyśmy trupem już drugiego dnia. A tak mieliśmy tyle paliwa w brzuchu, żeby przedostać się na drugą stronę.

Potem nadeszły inne kłopoty. Po zamieci mocno przygrzało słońce, a nasze mundury zaczęły się rozłazić jak popruty filc. Gdy tylko lód na nich stopniał, wielu żołnierzy poczuło okropny ból.

Kawalerzysta Watchorn miał gębę czerwoną jak burak, a gdy zzuł buty, przekonał się, że stopy wyglądają nie lepiej. Następnego dnia nos poczerniał mu jak sadza. Jakby przylepiło mu się do niego coś parzącego i jątrzącego. Nie mógł na powrót wciągnąć butów i nie był w tym sam.

Dziesiątki żołnierzy miało odmrożenia. Wkrótce dojechaliśmy do rzeki, która w tej okolicy wytyczała granicę, i wjechaliśmy kolumną na bród. Rzeka miała w tym miejscu dwie mile szerokości i stopę głębokości aż do drugiego brzegu. Konie rozpryskiwały wodę i wkrótce byliśmy cali mokrzy. Co nie pomogło kawalerzyście Watchornowi, który zaczął wyć. Bolało go tak bardzo, że żaden człowiek by tego nie zniósł. Innych też bolało, ale ból Watchorna wwiercił mu się głębiej w mózg, a gdy dotarliśmy na drugi brzeg, major kazał zdjąć go z konia i związać, bo Watchorn przestał być sobą i nawet przestał być człowiekiem. Przeraziło nas to jak jasna cholera. Ten wyjący strzęp i ból tak bolesny, że sami go jakoś czuliśmy. Trzeba było go związać, bo walił się pięściami po twarzy, a potem musiał

jeszcze ścierpieć jazdę jak worek rzucony w poprzek siodła. Później Bóg się nad nim zlitował, Watchorn stracił przytomność i w takim stanie, niewiele bardziej opłakanym i znękanym od naszego, dotarł z nami do celu. W lazarecie w forcie przez kilka miesięcy obcinano kawalerzystom paluchy i palce. Odmrożenia, powtarzał felczer, choć były to raczej odgryzienia. Kawalerzysta Watchorn i dwóch innych nie dożyli lata.

Wdała się gangrena, której żaden żołnierz nie prosi do tańca. A potem wystawiono ich w domu pogrzebowym, jak już mówiłem, odzianych w czyste mundury, z uzupełnieniami na gębach: Watchorn miał woskowy nos i był wygolony na glanc dzięki balsamiście. Wyglądał całkiem elegancko. To naprawdę przechodziło, jak powiadają, ludzkie pojęcie.

Nieszczęsnego kawalerzystę Pearlą spotkał chyba jeszcze gorszy los. Bo major jednak nie zapomniał. Sąd wojenny, a choć oficerowie z sędziowskiego składu nie mogli do końca pojąć, na czym polegała jego zbrodnia, zważywszy, że kawalerzysta Pearl wyszedł zwycięsko z potyczki z Indianami, szale przeważyły wysokie moralne tony, w jakie uderzył major podczas postępowania, i Pearl był ugotowany. Mnie i pięciu innym kawalerzystom przypadło w udziale zadanie wyekspediowania go z tego świata. Pearl zachował się godnie do samego końca.

Wyglądał trochę jak Jehowa, bo w areszcie urosła mu długa do piersi broda. Strzeliliśmy przez tę brodę, żeby trafić w serce. Joe Pearl padł. Z Massachusetts przyjechał jego ojciec, żeby zabrać ciało do domu.

John Cole oznajmił, że ma na jakiś czas dosyć wojen z Indianami, ale musieliśmy odśłużyć umówiony kontrakt i zrobiliśmy to nie bez satysfakcji, bo jakżeby inaczej?

Zbiedniejemy jak nic w tym wojsku i się w nim zestarzejemy, ale lepsze to od kuli w łeb, powiedział.



## Rozdział 6

Można mieć czegoś serdecznie dosyć, a Los i tak każe wracać tam, skąd się przyszło, i dalej babrać się w przeszłości. Jak to się stało, że znów opuściliśmy przytulne Jefferson, żeby wlec się zaraz z powrotem tym samym szlakiem, który z takim trudem pokonaliśmy? Oto jest pytanie. Biwakowaliśmy w koszarach przez trzy miesiące, co było dla nas prawdziwym darem.

Mądrzy starzy żołnierze sprowadzili sobie futra. Nie mieli zamiaru zamarzać jak kawalerzysta Watchorn. Wojsko nie dało nam ciepłych ubrań na zimę. Co prawda chcieli nam przysłać wełniane szynele, ale nigdy ich nie ujrzeliśmy. Najpierw cholerny wachmistrz Wellington powiedział, że jesteśmy cipy, co zasługują na śmierć na mrozie. A potem każdy jeden żołnierz dostał mały oleodruk przedstawiający umundurowanie, które mieli pono przywieźć niedługo do koszar. Nigdy, cholera, nie przywieźli. Nie ubiorę się w obrazek, mówi mój piękniś John Cole.

Nadeszła pora, kiedy to wszystkie przepełnione nadzieją duszyczki wyjeżdżały na zachód, żeby szukać w odległych krainach złotych samorodków leżących, jak im się wydawało, na ziemi. W tamtym roku wyjeżdżało ich więcej niż wcześniej. Jak żeście kiedyś widzieli trzy tysiące białych jak lilie chłopaków z rodzinami, to wiecie, o czym mówię. Wyglądali, jakby wyruszali na piknik, ale droga na łąkę zajmowała sześć tygodni, których wielu z nich nie przeżyje. W St. Louis wytyczono nam marszrutę bardziej na północ, bo między Missouri a Fort Laramie nie było ani jednego źdźbła trawy, którego nie wyskubałyby te tysiące tysięcy koni, bydła, wołów i mułów. Dużo nowych chłopaków w szóstym regimencie, dużo zrozpaczonych Irlandczyków, wielkich i przeważnie smagłych. Żartowali sobie, jak wszyscy kpiarscy Irlandczycy, ale gdzieś za tymi żartami w ciemności błyskały wilcze ślepią wygłodniałych wilków wyjących do wygłodniałego księżyca. Mieliśmy wzmocnić garnizon w Fort Laramie, gdzie na pobliskich równinach zbierała się siła Indian. A

major i pułkownik chcieli ich poprosić, żeby przestali mordować cholernych emigrantów.

Pułkownik śle emisariuszy do każdego znanego sobie plemienia, które kiedykolwiek przejechało szlakiem białych. Zjeżdżają się tysiące Indian, gnanych pragnieniem i głodem. Zjazd ma się odbyć kilka mil na północ od fortu, w miejscu nazywanym Horse Creek. Pułkownik rozstawia wojska na niższym brzegu rzeki. Wznosimy rzędy namiotów. Letnie słońce wypala okolicę i piecze brezent, a ci, co śpią w nocy, są bez wątpienia martwi. Przed nami ładna spokojna rzeka, niezbyt trudna do sforsowania, a pułkownik sprowadza urzędników rządowych i rozglądających się za szybkich zyskiem kupców i wskazuje, żeby plemiona rozstawiły wigwamy po drugiej stronie wody. Więc wznieśli jakieś trzy czy cztery tysiące ostro zakończonych szałasów pokrytych malowanymi skórami i płótnami. W południe, w słonecznym żarze, piekli się w najświetniejszych strojach sławetni Szoszoni, wynieśli Siuksowie, zarówno Teton, jak i Oglala, dalej Arapahowie oraz Assiniboinowie z Kanady. Major zna Oglalów, bo to ta sama wataha, która nas nakarmiła w potrzebie. Z tym samym wodzem o imieniu Najsampierw Schwytał Konia. Hałas, jaki wznieca to indiańskie miasto, jest muzyką samą w sobie, budzącą do tego grozę. Stawiamy przewiewne zadaszanie, a oficerowie w galowych mundurach rozsiadają się na krzesłach. W pewnej odległości dało się widzieć w cieniu okryte opończami plecy wodzów, a spieczone od słońca twarze oficerów wyzierały niemrawo spod rond kapeluszy; wszyscy zeszywnieli w paroksyzmie powagi. Rozlegają się donośne przemowy, dosiadająca koni piechota oraz kawaleria stoją z szacunkiem w pewnej odległości, a na drugim brzegu plemiona sadowią się w ciszy, jaka nastaje przed burzą z piorunami, gdy ziemia wciąga powietrze i wstrzymuje bezgraniczny oddech, a doliną płynie głos pułkownika. Oferuje się rokoczne wypłaty i dostawy żywności w zamian za wolną drogę dla emigrantów. Tłumacze tłumaczą i dochodzi do porozumienia. Pułkownik wygląda na bardzo zadowolonego. Wszystkim nam się wydawało, że nad równinami wstaje nowy dzień, i byliśmy uszczęśliwieni, myśląc, że tak będzie. Ci Indianie są zmęczeni rzezią, tak jak i my.

Starling Carlton, jeden z chłopaków z naszego szwadronu, mówi, że pułkownik nałykał się tyle gorącego powietrza, że dziwne, iż jeszcze nie odleciał. Ale żołnierze lubią mieć o kimś złe zdanie. To ich rozwesela. Nie przytoczę, co na to wszystko mówił wachmistrz – jedyny prawdziwie nieszczęśliwy człek w całym tym zgromadzeniu.

Fioletowiejące, wniebowzięte, jak przypuszczam, wzgórza i długi dzień z każdym kolejnym pociągnięciem pędzla kryją się w ciemności, a potem na czarnych równinach rozkwitają ogniska. Podczas przepięknej granatowej nocy było mnóstwo wzajemnych odwiedzin, a wojownicy z dumą i odwagą oferowali samotnym żołnierzom swoje squaw na czas trwania namiętności. Ja i John Cole znaleźliśmy sobie zagłębienie z dala od wścibskich oczu. A potem ze swobodą ludzi, którzy pozbyli się zmartwień, spacerowaliśmy pośród indiańskich namiotów, wsłuchując się w oddechy śpiących dzieci, aż trafiliśmy na tych, których Indianie nazywają *winkte*, a biali *berdache* – wojowników przebranych odświętnie za kobiety. John Cole wbija w nich wzrok, lecz nie na długo, żeby ich nie urazić. Ale jest jak oderwany od pługa koń, co naźarł się bielunia. Pobudzony tak bardzo, jak jeszcze nie widziałem. Wiem tyle, że gdy *berdache* idą na wojnę, wkładają męskie odzienie. A po skończonej wojaczce znów przebierają się w jaskrawe sukienki. Idziemy dalej, a John Cole drży jak osika. Dwaj żołnierze pod błyskającymi gwoździami gwiazd. Pociągła twarz Johna Cole'a, jego długi krok. Księżyc nie może mu pochlebiać, bo i bez niego jest piękny.

Następnego ranka nadeszła pora na ostateczne obdarowywanie Indian prezentami. Przyjechał pewien człowiek, niejaki Titian Finch, który miał ze sobą maszynę do robienia dagerotypów, żeby upamiętnić ten przyjemny dzień. Finch fotografuje plemiona w wielkich zgromadzeniach, a major każe się zdjąć z Najsampierw Schwytał Konia, jakby byli starymi przyjaciółmi. Całą okolicę zalewa delikatne jak pierś dziewczicy słońce. Najsampierw Schwytał Konia i major stają blisko siebie. Goły Indianin i major w szamerunku. Stoją obok siebie poważnie, acz poufale, bo Indianin ściska prawą ręką haftowany srebrną nicią rękaw majora, jakby chcąc ostrzec go przed jakimś niebezpieczeństwem albo go przed nim osłonić. Titian Finch

uprasza obu, aby znieruchomieli jak posągi, i przez jedną wieczną chwilę są jak obraz ludzkiego opanowania i wspaniałomyślności.

A potem święto dobiegło końca, Indianie się rozjechali, a my wróciliśmy do zwykłych obowiązków. Do Johna Cole'a i do mnie zbliżyli się wówczas w regimencie tacy chłopcy, jak Nathan Noland, Starling Carlton czy Lige Magan, strzelec wyborowy. W tamtym czasie objawiły się też pierwsze oznaki trawiącej Johna Cole'a choroby. Musiał leżeć całymi dniami, bo był słaby jak dziecko. Felczer nie wiedział, co mu dolega. Po piersi Johna Cole'a mógłby pełznąć grzechotnik, a on nie kiwnąłby nawet palcem. Wspomniani wyżej chłopcy okazywali mu pomoc i szacunek w tych krytycznych chwilach. Nazywali go Przystojnym Johnem Cole'em. Chodzili do kucharza, żeby ugotował mu bulion, i tak dalej. Przynosili mu wszystko, jakby był cesarzem.

Co nie znaczy, że Lige Magan i cała ta reszta nie byli przetrąconymi, zrzedliwymi, cierpiącymi na trypra kretynami, jakby co. Byli jak cholera. Najbardziej z nich lubiłem właśnie Lige'a Magana. Naprawdę nazywał się Elias, więc chyba był cudotwórcą. Był miłym czterdziestopięcioletnim chłopakiem z Tennessee o gębie wołu. Jego rodzina trzymała świnie, aż wszystkie padły. W Ameryce, o ile zdążyłem się zorientować, zawsze coś padało albo przestawało rodzić. Tak samo zresztą jak i na całym niespokojnym i najczęściej brutalnym świecie. Który wciąż pędzi. Nie czeka na człowieka. Potem Johnowi Cole'owi się polepszyło i wyglądał tak, jakby nic mu nie dolegało. Potem znów było gorzej. I znów lepiej. Można było oszaleć.

Powoli zbliżała się jesień i związani traktatami Indianie musieli wrócić do wiosek, gdzie czekał na nich stary skrytobójca Głód. Ten plugawy kościsty rezun o kamiennym sercu, biorący okup z ludzkich żywotów. Bo te dostawy jedzenia, co obiecał Indianom rząd, ciągle się spóźniały albo w ogóle nie nadchodziły. Major chodził zły i udęrczony. Złożył tym ludziom szczerą obietnicę, tak to widział.

Wraz z niepewną pogodą pojawiły się pierwsze kłopoty. Wyjechaliśmy im na spotkanie. Burze z piorunami rozrywały niebiosa i rzucały całe wiadra błyskawic nad krainą, która nie miała końca ani granic. Bóg w farmerskim fartuchu wysiewał wielkie jaskrawożółte

nasiona. Z głębin łądu za górami wiał ognisty biały oddech. Nathan Noland o wrażliwym słuchu, przytępionym przez lata strzelania z muszkietu, przez trzy dni chodził potem głuchy. Jechaliśmy w poszarpanej spokojnej szczelinie między tym żarłocznym pokazem sił przyrody a nadciągającym łomoczącym deszczem. Ulewa przyginała żdźbła trawy do ziemi jak niedźwiedzi smalec włosy squaw do czaszki. Wachmistrz Wellington był uszczęśliwiony, bo Siuksowie z jakiejś wioski na zachodzie napadli na zabłąkanych emigrantów i pozbawili ich życiowych nadziei na zawsze.

Więc pułkownik przydzielił wachmistrzowi pięćdziesięciu kawalerzystów i kazał mu z tym skończyć. Wyglądało na to, że tymi Siuksami byli Oglalowie, przyjaciele majora, ale rozkaz to rozkaz.

Najpierw porucznik dzieli nas na dwa szwadrony, zabiera dwudziestu ludzi i skręca ostro na zachód, kierując się kompasem, a my z wachmistrzem jedziemy szukać wąskiego wąwozu ze strumieniem, gdzie podobno mieści się ta indiańska wioska. Wygląda na to, że strumień płynie przez dziesięć mil na północny wschód. Cała okolica zaczyna parować, bo słońce wypala deszcz.

Trawy się podnoszą, co widać nawet nieuzbrojonym okiem. Wielkie poruszenie. Jakby trzysta tysięcy niedźwiedzi zrzuciło zimowe futra. Sam strumień pędzi jak zraniony byk między zalanymi do połowy skałami. Wszędzie drą się zadowolone z siebie skowronki, wszędzie fruwią całe chmury komarów. Nam nie jest do śmiechu, bo skały nad głowami faworyzują wroga. Tak piszą w książkach. W każdej chwili spodziewaliśmy się, że gdzieś wysoko wychyną łby tych dzikusów wachmistrza. Ale przejechaliśmy tak cały dzień i znaleźliśmy się na płaskowyżu, gdzie nie było strumieni, tylko paląca cisza równin. Niepoczyszony sierżant wydaje rozkaz odwrotu i klnie, że oddał nowych zwiadowców Paunisów porucznikowi. Są to bardzo elegancyjcy chłopcy w dopasowanych mundurach, lepszych od mojego. Ale zabrał ich porucznik.

Biali nie nadają się do tropienia w takiej krainie jak ta, oznajmił wachmistrz, czym nas zaskoczył. Bo zabrzmiało to jak pochwała.

Rozbiliśmy obóz w miejscu, gdzie się rozdzieliliśmy, i spaliśmy najlepiej jak się dało w szlafmocy z komarów. Z radością

wydostaliśmy się z koców bladym świtem. Schłodziliśmy pokąsane gęby w strumieniu, który nie był już tak rwący jak poprzednio. Deszcze poszły dalej nad rzekę Platte i niedługo zaleją Missouri. Dziwne, że myślimy o takich rzeczach, próbując ogolić się stępałymi brzytwami w przejrzystej wodzie. Przystojny John Cole pogwizduje walca, którego zapamiętał jeszcze w Nowej Anglii.

Potem rozchodzimy się po okolicy, czekając na powrót porucznika. Wachmistrz każe nam dobrze wysuszyć szable, żeby nie zardzewiały. Później karmimy konie najlepiej jak się da. Nie ma takiego kawalerzysty, który nie kochałby swojego konia. Te szpotawe bydłota naprawdę są kochane. Potem znów nie mieliśmy co robić. Lige ponownie pokazuje, jak gra się w karty, i ogrywa Starlinga Carltona do czysta. Ale gramy tylko o źdźbła trawy, bo nie mamy pieniędzy aż do końca miesiąca, o ile wtedy wypłacą nam żołd. Poprzedniego miesiąca Paunisi chcieli rzucić wszystko i odejść, bo nie nadszedł ich żołd, a uspokoili się dopiero wtedy, gdy się przekonali, że i my nie śmierdzimy groszem. Jak się służy daleko od miejskich dzwonów, trudno na coś liczyć. Człowiek ma wrażenie, że o nim zapomnieli. Cholerni chłopcy w granatowych mundurach.

W końcu wachmistrz każe nam wsiadać na konie, więc najpierw zakładamy im ogłowie, siodłamy je, a potem ruszamy w stronę, w którą pojechał porucznik i jego ludzie, podążając ich śladami, najlepiej jak umiemy, bo deszcz niemal je zmył. Deszcze dbają o dyskrecję, nie wskazują drogi. Ale jakoś jedziemy, a wachmistrz klnie na czym świat stoi. Ma teraz wielkie twarde brzuch, mówi, że to przez wątrobę. Ponieważ chla whisky jak wodę, to może być prawda. Nie jest już młody i wygląda jak starzec. Ciekawe, ile twarzy mamy w życiu do założenia jedną po drugiej – dziesięć?

Po dwóch milach daje się nam we znaki czyhający na nas żar, jest tak gorąco, że ziemia migocze i drga jak na pustyni. Słońce świeci nam w plecy z jednej strony, od południa, co da się jakoś znieść. Nie ma pośród nas takiego żołnierza, któremu po raz setny nie zeszlaby skóra z nosa. Niedźwiedzi smalec jest na to dobry, ale śmierdzi jak dziura w dupie, a poza tym i tak od dawna nie widzieliśmy tu niedźwiedzi.

Jezu Chryste, odzywa się Starling Carlton, ale gorąco.

Więc zrobiło się jeszcze goręcej. Przysmażały się nam plecy. Wystarczyłaby szczypta soli, parę gałązek rozmarynu i obiad gotów. Boże Wszechmogący, co za upał. Mojemu koniowi też się to nie podoba i zaczyna się zataczać. Wachmistrz dosiada ładnego, kupionego w St. Louis muła; powtarza, że muły są najlepsze, i wcale się nie myli. Więc wlecemy się po tej równinie, a słońce wali w nas jak młotem i nikt nie jest w stanie go powstrzymać. Można by je aresztować za próbę morderstwa. Jasna cholera. I właśnie wtedy Starling Carlton zwyczajnie spada z konia.

Gdyby wiedział, kiedy się urodził, i miał na to dokument, nie byłoby na nim zbyt wielu lat. Spada jak się patrzy z siodła i uderza w pokrytą pyłem ziemię. Więc wachmistrz i jeszcze jeden żołnierz wsadzają go z powrotem na konia i poją wodą z manierki, a Starling rozgląda się zaskoczony i zawstydzony jak dziewczica, co pierdnęła w kościele. Ale w tej spiekocie brakuje nam sił, żeby się z niego wyśmiewać. Jedziemy dalej. I wtedy wachmistrz woła, że chyba coś widzi w oddali.

Prawdę mówiąc, wachmistrz jest dobrym zwiadowcą i umie wypatrzeć różne rzeczy, ale nikt mu tego nie powie. Więc zsiadamy z koni i prowadzimy je za uzdę, trzymamy się najbliżej jak się da niskich krzaków i skalnych występów, które wiją się szczęśliwie w stronę tego, co widzi wachmistrz. Stopy spuchły nam w butach, pot zalewa nam ciała, w tym, jak się wydaje, oczy.

Wachmistrz staje po przebyciu ćwierć mili i miarkuje, co dalej. Nie widzi nic, co by się ruszało, mówi, ale widzi w oddali mnóstwo wigwamów, my też je dostrzegamy: czarne cienie skierowane prosto w zdumiewająco białe niebo. Nie podoba mu się to, co widzi. A potem wyszczekuje komendę, a my znów jesteśmy w siodłach i nie czujemy już żaru. Wachmistrz rozwija nas w linię harcowników, a potem, na rany Chrystusa, daje sygnał do szarży! Każe nam szarżować na milczącej prerii, gdzie jedyną muzyką jest wiejący nieustannie wiatr! Gdzieś kiedyś słyszałem o jegomościu, co walczył z wiatrakami. Ale spinamy boki koni, aż pokazują się kropelki krwi. Konie budzą się z otępienia i chwytają w mig, o co chodzi. Wachmistrz drze się:

„Do natarcia” i wyciąga szablę, więc i my wyciągamy trzydzieści szabel na słońce, a słońce rozświetla każdy ich cal. Do tej pory wachmistrz nigdy nie wydawał takiego rozkazu, bo w tej oślepiającej jaskrawości wyciąganie na pokaz szabli zdałoby się na tyle samo co rozpalanie ognia. Coś go jednak nakręca. A w nas wstępuje tchnienie życia, o którym już zapomnieliśmy.

Powietrze wypełnia nas odwagą. Niektórzy nie mogą się powstrzymać i wrzeszczą, a wachmistrz pruje się, żeby trzymać szereg. Zastanawiamy się, co sobie myśli. Raz-dwa wpadamy na skraj miasteczka wigwamów, przedzieramy się przez nie przez sekundę niczym jeźdźcy apokalipsy, zagarniający wszystko na swej drodze. I nagle jesteśmy już w samym środku. I nagle ściągamy mocno wodze. Konie są płochliwe, parskają rozbudzone i kręcą się w kółko, więc trudno nam zoczyć to, co zoczyć trzeba. A trzeba zoczyć dwudziestu kawalerzystów położonych trupem.

Wszyscy są martwi i leżą mniej więcej w środku wioski, jakby zbryleni, jakby zabito ich bardzo szybko, tak szybko, że wszystkie głowy wskazują jeden kierunek. Głowa porucznika jest do tego oberżnięta od korpusu. Nie ma kapeluszy, pasów, broni, szabel, butów i skalpów. Nathan Noland z rudą brodą i oczami wpatrzonymi prosto w słońce. Wysoki krzepki młodzieniec z Nowej Szkocji. Odpoczywaj w pokoju. Aureola z czarnej krwi. Przy naszych jest tylko dwóch Indian, martwych jak kamienie. Dziwne, że Indianie nie zabrali ze sobą swoich zmarłych. Kryje się za tym jakaś tajemnica. Poza trupami w wiosce nie ma żywej duszy. Widać ślady po tych, którzy odeszli. Musieli się śpieszyć, skoro nie spakowali wigwamów. Tu i ówdzie stoją kociołki, a pod niektórymi jeszcze pali się ogień. Wachmistrz zsiada i puszcza muła luzem. Może iść do diabła, jeśli chodzi o wachmistrza. Ściąga polową czapkę i drapie się po łysinie prawą ręką. Ma łzy w oczach. Boże, zlituj się.



## Rozdział 7

Włóczyliśmy się po obozowisku noga za nogą, próbując zmiarkować, co się stało, i szukając wskazówek. Nie mamy pojęcia, gdzie są Indianie i czy przypadkiem nie wracają. Potem w jednym wigwamie znajdujemy żołnierza, który musiał się tam ukryć. To wygląda na cud i w piersiach wzbiera mi radość. Ma kulkę w policzku, ale wciąż dycha. Caleb Booth żyje, woła ten, co go znalazł. Tłoczemy się w wejściu do namiotu. Przynosimy wodę, a wachmistrz podnosi mu głowę i chce go napoić, ale woda ucieka przez dziurę w policzku. Znaleźliśmy ich wcześniej rano, mówi Caleb Booth. Jest młody jak ja i John Cole, więc nie zna się na umieraniu. Myśli pewnie, że nic mu nie będzie. Chce nam wszystko opowiedzieć. Mówi, że Paunisi odjechali z jakiegoś powodu, a porucznik wjechał na czele szwadronu do wioski i spytał wodza, czy zabili tych emigrantów. Na to wódz odpowiedział, że owszem, bo jechali po ziemi wyłączanej ze szlaku na mocy traktatu, więc o co chodzi, przecież ma święte prawo zabijać tych, co wkraczają na jego ziemię. Dalej Caleb Booth stwierdził, że gdy porucznik usłyszał o świętym prawie, wpadł we wściekłość i zastrzelił Indianina stojącego tuż obok wodza. Na to wódz zwołuje swoich i z namiotów wypadają dziesiątki ukrytych wojowników i zaczynają strzelać, nasi zdążyli trafić jeszcze tylko jednego, a potem sami padli trupem. Caleb leżał na brzuchu w trawie i udawał nieżywego. Potem Indianie odjeżdżają w wielkim pośpiechu, a Caleb wpełza do namiotu, bo słońce jest coraz wyżej i piecze. Wiedział, że przyjedziemy, mówi, po prostu wiedział. Cholernie się cieszy, że nas widzi. Na to wachmistrz maca ranę i patrzy, gdzie poleciała kula, a wygląda na to, że przeszła którąś na wylot. Pofrunęła jak klejnot nad równiną. Wachmistrz kiwa głową, jakby ktoś go o coś zapytał.

Kopanie grobów dla dziewiętnastu poległych w nietkniętej pługiem ziemi to ciężka praca.

Ale trupy już puchną, a nie mamy wozu, żeby zawieźć je z powrotem do fortu. Zbieramy wszystkie wigwamy i wszystkie resztki,

i rzucamy na stertę, którą podpalamy. Lige Magan mówi, że ma nadzieję, że Indianie zobaczą dym i rzucą się ratować śmierdzące szmaty. Mówi, że najlepiej będzie pochować zabitych, a potem ruszyć w pościg za mordercami. Wyciąć wszystkich w pień dla odmiany, proponuje. Myślę, choć nie mówię tego na głos, że nie mamy wystarczających zapasów, a poza tym co zrobić z Calebem Boothem. Indianie są już o dzień drogi od nas, ale co ważniejsze, kawaleria nie umie ot tak wytropić Indian, bo są podstępniejsi od wilków. Lige wie o tym nie gorzej ode mnie, ale dalej się rzuca, żeby to zrobić. Opowiada nam, co jego zdaniem powinniśmy im uciąć, jak ich znajdziemy. Ma w związku z tym mnóstwo planów. Wachmistrz pewnie słyszy to wszystko, choć stoi sam nieco dalej za wigwamami. Trawa jest tak spieczona przez słońce, że wygląda na siną, i lśni sino sinymi źdźbłami obok starych butów wachmistrza. Stoi odwrócony od nas plecami i nie komentuje pomysłów Lige'a. Ten kręci głową i kopie dalej. Starling Carlton zrobił się brązowo-fioletowy na gębie i dyszy jak zgoniony stary kundel, ale wymachuje saperką. Krążą plotki, że Starling Carlton zabijał w swoim czasie ludzi niezgodnie z prawem, ale nikt nie wie tego na pewno. Niektórzy mówią, że był porywaczem dzieci; porywał małych Indian i sprzedawał w niewolę w Kalifornii. Umiałby spuścić manto, gdyby ktoś spojrzał nań wilkiem. Trzeba go traktować z odpowiednią przezornością. Nie przeszkadza mu przegrywanie w karty i czasem lubi się pośmiać, ale nikt nie chce się przekonać, co go naprawdę wnerwia, bo mogłaby to być ostatnia rzecz, o jakiej ten ktoś przekonałby się na tym świecie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby go dobrze wychowanym człowiekiem. Jest wielki i nikt nie wie, jak daje sobie z tym radę w tej robocie, ale nie jada więcej od innych, za to przez cały czas poci się jak przecięty kaktus. Teraz też pot spływa mu po twarzy, więc ściera go brudnym łapskiem. Kopie prawie tak dobrze jak John Cole, ma prawdziwy talent do saperki, na co przyjemnie się patrzy, mimo żałoby. Nie wiemy za bardzo, co zrobić z trupami Indian, więc zostawiamy je na ziemi. Ale wachmistrz podchodzi do nich nagle i obcina im nosy, bo nie chce, jak mówi, żeby Indianie trafili do krainy wielkich łowów. Wyrzuca nosy daleko na prerię, jakby trupy mogły

się podnieść, iść po nie i przytwierdzić je sobie na powrót do twarzy. Z kieszeni zabitych chłopaków wyjmuję papiery, kieszonkowe Biblie i tym podobne. Wyśle to żonom i matkom. Zaczynamy: wkładamy z szacunkiem ciała do dołów, przysypujemy je ziemią i każdy z chłopaków ma nad sobą kopczyk tej samej ziemi niczym puchową pierzynę w wytwornym hotelu. Wachmistrz budzi się z zamyślenia i wypowiada kilka stosownych słów, a potem rzuca rozkaz do wsiadania na koń i Lige sadza za sobą Caleba Bootha, bo ma najmocniejszego wałacha, i odjeżdżamy. Nikt nie ogląda się za siebie.

Najsampierw Schwytął Konia i jego wataha wiszą na ogłoszeniu w koszarach jako najbardziej poszukiwani przestępcy. Wachmistrz wiesz go osobiście. Pułkownik podpisuje rozkaz. Zgroza i żałoba zostają, ale obok nich pojawia się jak siostra zemsta. To jak popijanie piwa whisky. Pauniscy zwiadowcy w końcu wracają, ale nie potrafią się wytłumaczyć z ucieczki z podkulonym ogonem, więc pułkownik uznaje to za dezercję i zostają rozstrzelani. Majorowi nie bardzo się to podoba, mówi, że zwiadowcy nie składali żołnierskiej przysięgi, więc nie można ich rozstrzeliwać. Nikt nie mówi po ichniemu, jeśli nie liczyć pożytecznego słowa *nahwah*, które oznacza „jak leci”, a z kolei na migi nie da się wszystkiego pokazać. Indianie wydają się zdziwieni, zaskoczeni i urażeni, że się ich rozstrzeluje, ale trzeba im przyznać, że stają pod ścianą z godnością. Nic dobrego nie wynika z okazywania łaski winnym w czasie wojny, oznajmia kategorycznie wachmistrz i nikt nie śmie mu się sprzeciwić. John Cole szepcze mi do ucha, że wachmistrz przeważnie nie ma racji, ale niekiedy, tak jak teraz, zdarza mu się słusznie prawić. To chyba prawda, myślę. Potem się upijamy, wachmistrz przez cały wieczór trzyma się za brzuch, a potem wszystko się urywa, aż człowiek się budzi o brzasku, bo musi się wyszczać, i do głowy wraca wszystko, co się wydarzyło i od czego chce się wyć.

Ale przynajmniej Caleb Booth dochodził do siebie w lazarecie, co zawdzięczał pewnie niewinnej wierze w cholerną trwałość życia.

Lecz ja wspominałem zwłaszcza Nathana Nolanda, z którym przyjaźniliśmy się razem z Johnem Cole'em. I pamiętam, że John Cole wrzucił do dołu Nathana gałązkę jakiegoś cholernego zielska, na które

mówił tojad, na co mu powiedziałem, że to piekielny mordownik i czy w tej Ameryce niczego go nie nauczyli? Powiedział, że zna się na zielskach o niebo lepiej ode mnie, bo wychował się na farmie, ale jesteśmy teraz w obcym kraju i wszystko inaczej się nazywa. W Nowej Anglii tojadem truje się schwywane wilki, oznajmił John Cole. Uciera się gałązkę i wkłada do mięsa. Odpowiedziałem mu, że może sobie ucierać tyle tojadu, ile tylko chce, i karmić nim wilka, i czekać, aż ten odgryzie mu rękę, bo wilków nie truje się tojadem, tylko mordownikiem. Potem tarzaliśmy się ze śmiechu. Było nam strasznie żal Nathana Nolanda, a gałązka z fioletowymi kwiatkami – gałązka tojadu, mordownika czy jak to się tutaj nazywa – pasowała do jego zakrwawionej twarzy. Przypominała wąski komin, z którego snuje się fioletowy dym, który łagodził nieco wygląd okropnie napiętej skóry na twarzy Nathana. John Cole zamknął oczy i obaj pogrążyliśmy się w żalu, widząc, jak skończył Noland.

Wraca straszna zima i znów biwakujemy w forcie, mając nadzieję, że obudzimy się wiosną jak niedźwiedzie. Żołnierze na przednówku mają załzawione i zaropiałe oczy pijaków.

Do tego bladą cerę od kiepskiego jedzenia: niekończących się obrzydliwych jardów suszonego mięsa z długich piwnicznych chłodni, a co jakiś czas przywożonych na wielkich wozach ziemniaków z Nowego Jorku czy Maine, a nawet pomarańczy z leżącej po drugiej stronie Kalifornii. Ale przeważnie śmierdzących resztek, których nie tknęłyby nawet psy, chyba że umierałyby z głodu. Ale Indianie też warują przy ziemi i Bóg jeden wie, jak wystarcza im żarcia od jesieni do wiosny, bo powszechnie wiadomo, że Indianin niczego nie umie zaplanować. Jeśli ma stertę jedzenia, zjada ją całą, a jeśli trafi mu się baryłka whisky, wypija ją jednym haustem.

Pije, póki nie padnie, bardziej pijany od opitego pyłkiem trzmiela. Mamy nadzieję, że Najsampierw Schwyczał Konia jest tak samo morderczo wygłodniały jak my. Tylko wachmistrz chodzi z wielkim brzuszyskiem, jakby był w szóstym miesiącu, a Starling Carlton też specjalnie nie schudł. Po forcie włóczą się inni Indianie, przesiadują na dachach jak cesarze, a ich kobiety zabiegają o względy żołnierzy. Żołnierze mają od tego czerwone kuśki, a squaw Bóg wie co. Ci

żołnierze, których nie stać nawet na squaw, zlegają z innymi żołnierzami, co kończy się jeszcze gorzej dla ich ekwipunku. Ale zajmowanie się tym niczemu dobremu nie służy. Major założył szkołę dla latających po forcie indiańskich bachorów oraz potomstwa żołnierzy, którzy wzięli sobie indiańskie żony. Większość oszukujących w trzy karty szulerów, naganiaczy, trumniarzy, sprzedawców lekarstw na ukąszenie węża, znachorów, ochotników z pospolitego ruszenia i handlarzy nie wiadomo czym, słowem, najlepszych kandydatów na najgorszych przedstawicieli ludzkości i tym podobnych, dała nogę na wschód, gdy tylko się rozniosło, że będą świstać kule.

Major też pojechał na wschód, niemal sam, bo tylko z dziesięcioma żołnierzami, gdyż jak mówili, miał się ożenić z jakąś piękną z Bostonu, tak nas zapewniał Lige Magan, ale skąd to wiedział, trudno orzec, o ile nie wyczytał tego w którejś z tych przedpotopowych gazet, co je zwożą pielgrzymi. Trębacze i nasz dobosz zagrali mu przy odjeździe, a my wznieśliśmy radosny okrzyk, życząc mu szczęścia. W forcie zimuje też pełno pielgrzymów, którzy nadwierzają nasze racje, sam nie wiem, ilu z nich postanowiło wracać na wschód, bo wcześniej niemal wszyscy byli w Kalifornii albo w Oregonie, a nie znalazłszy tam nic godnego uwagi, cofnęli się do nas przed zimą. Wygląda na to, że ziemię obiecaną zasnuwają w ostatecznym rozrachunku odcienie szarości. Nie jest łatwo zrobić coś z niczego, o czym może zaświadczyć sam Pan Bóg. Ja, strzelec wyborowy Lige Magan, zmartwychwstały Caleb Booth, Starling Carlton oraz Przystojny John Cole trzymaliśmy się razem z mocy niepisanej przyjacielskiej umowy, choć głównie z powodu kart. Starling, któremu tłuszcz zapierał oddech w samym środku zimy, kiedy ludzie jedliby ze smakiem szczury, oszukiwał, jak podejrzewaliśmy, wbrew sobie. Oszukiwał albo przestawał mieć tak szczęśliwą rękę. Ale nasza nieduża gospodarka toczyła się dalej tak czy inaczej, drobne kwoty lub fanty przechodziły z ręki do ręki, żeby wrócić najczęściej do właścicieli, lecz najlepiej zapamiętałem z tej zimy nasz gromki śmiech. Byliśmy ze sobą najbliżej jak się da, bo razem widzieliśmy rzeźnię. Caleb miał między żołnierzami status niemalże świętego. Mógłby co niedziela

zbierać na tacę albo do kapelusza. Człowiek, który przeżyje własną śmierć i inne okropieństwa, jest zupełnie wyjątkowy, ludzie się na niego patrzą, kiedy przechodzi, i mówią o nim to czy tamto – o, idzie Caleb Booth, ten szczęściarz. Szczęściarz to taki żołnierz, obok którego chce się walczyć, bo dzięki niemu świat nabiera tak potrzebnej mu tajemniczości i cudowności. Które są większe od każdego z nas, większe od całej tej kupy gówna i krwi. Które wskazują, że za tym wszystkim może kryć się wyglądający nas Bóg. Kawalerzyści to rogate dusze i księża nie mają z nas specjalnego pożytku. Ale to nie znaczy, że nie ma dla nas niczego świętego. Opowieści opowiadające inną opowieść przez cały czas, gdy są opowiadane.

Sprawy, których nie da się dotknąć. Każdy żyjący człowiek pytał się kiedyś, po co jest tutaj, na ziemi, i jaki to ma cel. A jak się patrzyło na Caleba Bootha, wracającego z progu śmierci ze śmiertelną raną, to człowiek wiedział, że chociaż nic nie wie, wie jednak to czy tamto. Nie mówię, że wiedzieliśmy, co wiedzieliśmy, nie mówię, że Starling Carlton czy Lige Magan zrywali się i krzyczeli wszem wobec, że coś wiedzą, nie mówię, że robił to ktokolwiek inny.

Niczego takiego nie mówię.

O nie.

Późna wiosna sprowadza pierwsze kawalkady wozów oraz majora i jego młodą żonę. Nie dosiada konia na damskim siodle. Jest natomiast odstrzelona w damskie bryczesy. Wjeżdża w bramę jak wiadomość z odległego świata, gdzie wszystko wygląda inaczej, a ludzie jedzą z eleganckich talerzy. Kraina otwiera się na naszych oczach jak olbrzymia paczka, a równiny skrzą się dziesiątkami tysięcy kwiatów i w powietrzu da się wyczuć pierwszy od wielu dni powiew ozdrowieńczego ciepła. I przez ten wielki kolorowy dywan nadjeżdża major z młodą żoną. Boże Wszchemogący. Wnosi ją przez próg, jak nakazuje zwyczaj, a cały szwadron stoi w dwuszeregu przed jego kwaterą, pozdrawia ich radośnie i wyrzuca kapelusze w górę. Bo nie wiemy, co z tym fantem zrobić. Jesteśmy szczęśliwi za majora, jakbyśmy sami ożenili się z tą panną. John Cole mówi, że nigdy nie widział równie urodziwej damy. Ma rację. Major nie odezwał się ani

słowem, ale w księdze rozkazów dziennych w formie zapisano, że przed ślubem jego żona nazywała się Lavinia Grady, więc musi płynąć w niej, czy tego chce, czy nie, irlandzka krew. Major nazywa się Neale, więc jego żona jest chyba teraz panią Neale. Z tej samej księgi z zaskoczeniem dowiedziałem się, jak major ma na imię, bo wcześniej, jak mi się zdaje, nie miałem o tym pojęcia. Tilson. Jasna cholera. Tilson Neale. A to ci dopiero! Człowiek uczy się chyba przez całe życie.

No tak, major jest jak nowy, wesolutki jak skowronek, nie kłamię. Dobrze wiedzieć, co małżeństwo może zrobić z takim człowiekiem jak on, kimś, kto uważa, że dźwiga samodzielnie cały świat na barkach. Następnego dnia jego żona nie wychodzi w sukience, więc chyba miarkuje zostać na stałe przy bryczesach. Dopiero teraz zauważam, że te bryczesy to taka jakby spódnica podzielona na dwie części. Nigdy czegoś takiego nie widziałem i domyślam się, że wschód idzie naprzód i pojawiają się tam zupełnie nowe pomysły. Pani Neale lubi też, jak się zdaje, takie kuse meksykańskie wdżianka, ma ich pewnie z dziesięć, bo każdego dnia pokazuje się w innym kolorze. Ponieważ swego czasu trudniłem się zawodowo udawaniem dziewczyny, nie mogę przestać się zastanawiać, z czego składa się jej bielizna. W moich czasach składała się z samych falbanek i satynowej bawełny. Pani Neale jest wymuskana i zgrabna jak pstrąg płynący w strumieniu. Ma lśniące jak sosnowe igły kruczoczarne włosy, a nosi je w takiej spajanej diamencikami siatce, jakby jej przeszkadzały w interesach. Za pasem ma nowego kolta. Jest uzbrojona lepiej od nas. Pani Neale jest naszym zdaniem pierwszorzędną. Robi mi się ciepło na duszy, kiedy widzę, jak jest wpatrzona w majora. Chodzą po forcie pod rękę, a pani Neale gada jak najęta. A wszystko, co mówi, brzmi gramatycznie, jakby była biskupem. Widziałem, jak pułkownik spotkał ją po raz pierwszy i jąkał się przy niej niczym uczeń. Trudno go winić. Bo już od samego patrzenia na nią człowieka trawi pożoga, a co dopiero od całowania w rękę!

Spotkanie z nią jest jak wyjście naprzeciw wichury. Wiejącej prosto w twarz. Jest skarbem pośród kobiet, zapewne. W forcie mieszkają inne żony oficerów, nawet wachmistrz ma za swoje grzechy wiedźmę

za żonę, ale pani Neale jest zupełnie inna. Odrębna w swojej własnej klasie, bez wątpienia.

Dziwne, że tak uważnie się jej przyglądam. Ale chcę się czegoś dowiedzieć. Chcę się przekonać, jak trzyma ręce, jak porusza nogami, chcę poznać takie drobiazgi, do których nikt nie przywiązuje wagi. Chyba byłem nią zafascynowany. Tym, jak zadziera podbródek, gdy mówi.

Jak błyska oczami, nawet o tym nie wiedząc. Jakby miała w nich świece. Ma piersi jak małe szanice. Uklepane, obronne. Te meksykańskie wdzianka są sztywne od haftów wzdłuż i wszerz.

Wygląda w nich jak coś pięknego i kruchego, odzianego w zbroję. W czasach, kiedy udawałem dziewczynę, zastanawiałem się nad znaczeniem wyrażenia „niewieścia tajemnica”, bo byłem zmuszony nią emanować. A teraz miałem przed sobą cholerne ostatnie słowo w tej niewieściej tajemnicy.

Cholerna dama, mówi John Cole. Chyba tak.

Najsampierw Schwytalem Konia musial pojechać do Meksyku albo Teksasu, bo przez długi czas nie było o nim żadnej wieści. Życie toczyło się dalej. Życie często tak wygląda. Patrząc za siebie na pięćdziesiąt lat życia i zastanawiam się, gdzie podziały się te wszystkie lata. Minęły ot tak i nic nie zauważyłem. W ludzkiej pamięci zostaje nie więcej niż sto wyraźnych dni, choć przeżyło się ich tysiące. Nic się na to nie poradzi. A mamy za sobą spory bagaż dni, które spędziliśmy jak w pijanym widzie. Nie dyskutuję z tym, mówię tylko, że tak jest. Mijają dwa lata, trzy, a jedyna zmiana, jaką pamiętam, to pojawienie się dwóch dziewczynek majora.

Córeczek urodzonych przez panią Neale. Urodziła je, a potem, już następnego dnia, krzątała się w forcie niczym squaw, na którą czeka robota. Urodziła bliźniaczki, ale wcale nie były takie same, bo jedna miała czarne włoski, a druga piaskowe, jak major. Nie pamiętam nawet, jak im dali na imię, takie były małe. Tę z czarnymi włoskami przewaliśmy później Srocza, bo lubiła kraść wszystko, co się błyszczało. Nie, no przypominam sobie, jak im dali na imię, oczywiście, że tak. Hephzibah, tak nazywała się czarnulka, a tej jasnowłosej było Angel. Nie zapomnę tej Angel. Major siadywał na



ganku i kołysał je, i gruchał do nich obu. Bo niby dlaczego nie, były jego córeczkami.

Nadeszły wieści od naszych nowych zwiadowców, Wron, sprawdzonej drużyny Indian pochodzących gdzieś znad rzeki Yellowstone, że Najsampierw Schwytał Konia był widziany na północny zachód od Laramie. Więc Wrony za nim jadą, a po dniu jazdy wódz staje, nie wiedząc, że depczą mu po piętach, w nowej wiosce – jakieś trzydzieści wigwamów, jak policzyły Wrony.

Wachmistrz musiał tylko na to czekać, bo już rok wcześniej spisał zamówienie na działo polowe, więc teraz zanoszą je do zbrojmistrza artylerii, człeka łagodniejszego od Cezara, żeby nie turbować tym majora, i przed świtem następnego dnia wyruszamy w dobrych nastrojach na poszukiwania tej wioski, a smukła armata turkocze radośnie przez całą drogę.

## Rozdział 8

Cięciwa łuku napięta, łucznik odciąga ją najmocniej, jak umie, a gdy zwierzyna znajdzie się w odpowiednim miejscu, wypuszcza strzałę. Następuje wtedy taki przedziwny moment, gdy ramię nie może już utrzymać naciągniętej cięciwy i nic nie da się zrobić, trzeba wypuścić strzałę, więc łucznik musi doskonale znać kolejne etapy napinania łuku albo zająć się wytwarzaniem cholernych chomąt. O tym właśnie myślałem, gdy jechaliśmy hen daleko śladem końskich kopyt zostawionych przez naszych zwiadowców z plemienia Wron. Najsampierw Schwytałem Konia był przebiegłym wojownikiem, więc znalezienie go i sprowadzenie pomsty na jego duszę nie będzie łatwe. Wachmistrz słusznie postąpił, zabierając ze sobą na poszukiwania indiańskiej wioski ludzi ze starego szwadronu, który znalazł zabitych przed wieloma porami roku. Był wśród nas Caleb Booth niczym zmartwychwstały Jezus. Caleb zapuścił wąsy i spłodził syna z ładną Indianką z Siuksów, do tego Siuksów Oglala, więc jego obecność była trochę dziwna. Ale miłość chyba drwi sobie z przeszłości.

Miniony rok dał się we znaki wachmistrzowi, a choć byliśmy młodzi i na niczym się nie znaliśmy, wiedzieliśmy, że gnębi go nie tylko wiek. Bo wachmistrz strasznie schudł i wyglądał jak sterczący z ziemi pień suchego drzewa, stracił mnóstwo ciała, a nawet, choć nie do końca, ochotę na bluźnierstwa. Człowiek, którego brałem za potwora i na swój sposób za nikczemnika, zmieniał się na moich oczach. Pozostał szorstki jak skały Black Hills, a w głowie miał wyłącznie rozkazy, picie i tytoń. I gdy tylko otwierał usta, padało jakieś przekleństwo. Ale był taki jedynie po wierzchu. Pod spodem chował coś zupełnie innego, nie powiem, że różany ogród, ale dziwny spokój, który z czasem zacząłem podziwiać. A nawet doceniać do tego stopnia, że sam szukałem jego towarzystwa. Musztrował nas na parzącej od słońca ziemi, jakby chciał, żeby żar z amerykańskiego nieba spalił nas jak suche liście w ognisku. Był surowy i okrutny, gdy źle wykonywało się rozkazy i skręcało, powiedzmy, w prawo zamiast

w lewo. Sam widziałem, jak lał kawalerzystów szablą na płask, i sam widziałem, jak strzelał w ziemię przy obcasach głupkowatego żołnierza, który tańczył od tego i wył, żeby przeżyć. Ale wachmistrz miał w głowie traktaty o wojnie i prowadzeniu wojny i nigdy nie poprowadził szwadronu na pewną śmierć. A choć nie odpowiadał za masakrę naszych towarzyszy sprzed roku, brał po części winę na siebie, a myśl o zemście była kalkulacją przywracającą porządek w jego ówczesnych szacunkach.

Mówiłem już, że był śpiewakiem od siedmiu boleści, ale pamięć o tym, jak fałszował, zmusza mnie do powtórzenia tego raz jeszcze, przy czym modlę się, żeby w niebie śpiewały tylko same anioły.

Mija dzień i noc, a wachmistrz każe nam jechać i nie zatrzymywać się na noc. Uważa, że jedziemy tak daleko na północ, że cholerne Wrony prowadzą nas do domu nad Yellowstone. To osobliwa kraina, o której często nam opowiadano. Rankiem drugiego dnia wjeżdżamy w las, teren zaczyna się podnosić, a wachmistrz bez przerwy klnie na Wrony. Jesteście najgłupszymi szakalami, za którymi jechałem, woła. Jak mam wciągnąć armatę na te skały? Więc działo polowe zostaje razem z tuzinem żołnierzy, którzy będą musieli wciągać je stopa po stopie na krążkach i wyrywać sobie rękawy przy największym mozole pod słońcem. Zostaje z nimi Murzyn, co nazywa się Boethius Dilward i jest poganiaczem mułów ciągnących armatę, mówią, że jest najlepszym poganiaczem mułów w całym cholernym regimencie, ale co z tego. Muły lubią chodzić po płaskim, tak jak ludzie. Boethius Dilward też kręci głową, gdy słyszy o Wronach. Zrób, co się da, Boethius, mówi mu wachmistrz, a ja przepraszam cię za to kretynstwo. Wciągnę tę armatę na górę, odpowiada Boethius, pan się nie boi, panie wachmistrzu.

Ale pilnuj się, żebyś nie robił rumoru, słyszysz mnie, Boethius? Tak jest, panie wachmistrzu, rozkaz! Jasna cholera, klnie wachmistrz.

Po jakichś czterech czy pięciu godzinach otwiera się przed nami widok na krainę tak piękną, że przechodzą nas dreszcze aż do kości. Kiedy mówię piękną, mam na myśli piękną.

W Ameryce często można oszaleć od brzydoty okolicy. Trawa, co rośnie przez tysiąc mil, a pod nią nie ma nawet pagórka, żeby coś

wyglądało inaczej. Nie twierdzę, że równiny nie są piękne, bo są. Ale jak jedzie się przez równiny, po jednym dniu można zwyczajnie skończyć jako *loco*.

Od tej surowej i nieubłaganej monotonii można unieść się nad siodłem i spojrzeć na siebie na koniu jak na umarłego, potem przywróconego do życia i znów umarłego. Mózg topi się w misce z kości, bo wszędzie widzi się przerażające cuda. Komary zżerają człowieka na obiad i zaczynają się szalone halucynacje. Ale teraz daleko przed nami rozciąga się kraina, która wygląda tak, jakby namalował ją malarz szerokim pędzlem. Oddał wzgórza błękitem jasnym jak woda w wodospadzie, a lasy zielenią tak zieloną, że dałoby się wydobyć z niej dziesięć milionów klejnotów. Płyną przez to rzeki jak niebieska emalia. Olbrzymie ogniste słońce stara się wypalić te wspaniałe kolory i udaje mu się znakomicie na dziesięciu tysiącach akrów nieba. Niedaleko nas z zielonej powodzi wyrasta ostra czarna skała. Na niebie pojawia się szeroka czerwona smuga, a ta czerwień jest jak kolor pantalonów żuawów. Potem znów smuga błękitu jak skorupka ptasiego jajka. Boże dzieła! A cisza tak wielka, że aż rani uszy, a kolory tak jaskrawe, że aż kłują w oczy. Żli, zrozpaczeni ludzie mogliby zapłakać na ten widok, który mówi im, zda się, że ich życie jest nic niewarte. Choć w ich piersiach niczym odprysk słońca tli się resztką niewinności.

Lige Magan odwraca się ku mnie w siodle. Śmieje się od ucha do ucha.

Cudna kraina, mówi.

I owszem, odpowiadam.

Dlaczegoś nie powiedział tego do mnie? – pyta Starling Carlton, siedzący na koniu po drugiej stronie Lige'a Magana. Umiem podziwiać widoki tak samo dobrze jak kawalerzysta McNulty.

Więc powiedz, Starling, czy to nie wspaniały widok, sam powiedz? – pyta Lige, jakby nie zauważył wcześniej stojącego obok Starlinga. Ale zauważył. A Starling się poddaje i gawędzi z nim w imię przyjaźni.

Człowieku, mówi, wspaniały. Najwspanialszy.

I wygląda na uszczęśliwionego. Podobnie zresztą jak Lige.

Jasna cholera, wrzeszczy wachmistrz, zamknijcie mordy tam z tyłu, niech was szlag.

Rozkaz, odpowiada Starling.

Zapada zmrok i ten sam Pan Bóg zaciąga powoli poszarpaną czarną zasłonę na swoje dzieła. Wrony wracają pośpiesznie w kłębach pyłu, od wioski dzieli nas zaledwie ćwierć mili, wachmistrz każe nam zsiadać z koni i znów znajdujemy się w niezbyt godnym pozazdroszczenia położeniu hałaśliwych, niezdarnych Europejczyków, którzy buszują w pobliżu wioski geniuszy tropienia i czuwania. Przez całą noc musimy być lepsi niż zazwyczaj, konie powinny być cicho, tylko jak to powiedzieć koniom, co więcej, modlimy się z nadzieją, że działo nadjedzie bezszelestnie w ciemności i nie robi rabanu jak rydwan z pierwszej wizji Ezechiela. Kucharz rozdziela między nas suchy prowiant i kucamy jak bezdomni, jedząc racje i nie śmiać rozpalić rzucającego wyzwanie nocy ognia. Nikt się za wiele nie odzywa, a jeśli już, to drwiąco i niezbyt poważnie, bo chcemy zachować przewagę nad strachem. Który jest jak niedźwiedź w jaskini z przekomarzań.

Nie śpimy już od dwóch nocy i gdy tylko nad horyzontem regularnie jak w zegarku pojawia się kula słońca, zaczynają boleć nas wszystkie kości, a w głowach, jakby nie swoich, mamy lodowatą watę. Koło czwartej nad ranem, według kieszonkowego zegarka wachmistrza, turkocząc i łomocząc, nadjeżdża działo, a wachmistrz posyła cały szwadron, żeby przenieść je na stanowisko. To była cholernie pokręcona robota. Trzeba rozmontować koła i lawetę, zdjąć działo i przenieść ciężar dziesięciu trupów przez skały i kolczaste krzaki. Potem proch, wielkie kule i kapiszony, podobne do tych, których używamy w muszkietach, choć wielkością nadawałyby się dla olbrzymów z Brobdingnag. Boethius ciągnie muły i konie przez milę. Potem idziemy na nogach jak piechota. Słyszymy cholernych Siuksów, śpiewają i nawołują się jak setka zagubionych sierot. I nie są to kojące głosy. Zastanawiam się, jak prawie wszyscy, co my tutaj robimy. Zemsta, ma się rozumieć, ale czy to dobry sposób na szukanie pomsty? To cholerna głupota, jakkolwiek by na to patrzeć. Ale nikt nic nie mówi. Pamiętamy, jak wachmistrz stał samotnie na miejscu

masakry, i pamiętamy, jak obcinał nosy. Caleb Booth pamięta też bez wątpienia inne rzeczy, bo był w obozowisku Indian i wszystko widział. Ukrył się w wigwamie, a pozostali padli trupem, ale wiedział, że nadjedziemy. Powtarzał, że to wiedział, a my przyjechaliśmy. Coś nas w tym wszystkim łączy. Więc pracujemy w ciemności, potykając się jak pijani przy armacie, a wachmistrz wydaje szeptem rozkazy, że mamy się ustawić w półksiężyc, żeby pokryć ogniem niemal całą wioskę, jak działo wykona najgorszą robotę. Wrony mówią, że za namiotami jest głęboki ciemny jar, więc miarkujemy, że pokryjemy też ogniem drogi odwrotu na lewej i prawej flance. Squaw będą chciały uciec z dziećmi, a wojownicy będą je osłaniać, póki nie znajdą schronienia. Jeśli Najsampierw Schwytał Konia jest taki, na jakiego wygląda, będzie walczył wściekle jak puma. Nic nie pójdzie łatwo. A jak Siuksowie nas rozbiją, staniemy się karmą dla dzikich świń. Nie będzie żadnego zmiłuj się, bo tak samo było wcześniej.

Wachmistrz nie jest w ciemność bity i ustawił działo trochę wyżej, kierując się zdrowym rozsądkiem nawet w ciemności, co wydaje się jak najbardziej słuszne, gdy pierwsze złote promyczki brzasku rozświetlają ziemię. Jej uroda wydaje się teraz zdradziecka, a serca przepelnia nam strach. Nie możemy się rozgrzać, choć ruszamy się żywo, a chuda postać wachmistrza pojawia się to tu, to tam, by szeptać nowe polecenia, sygnalizować coś ręką i dłonią – wachmistrz nie ustaje w wysiłkach. Nad obozowiskiem Indian unosi się dym z rozpalanych ognisk i nagle wydaje się, że jesteśmy wysłannikami piekieł, którzy zaszli do raj.

Więc czymże jest ten nagły smutek, ten smutny ciężar? Który nas przygniata. Działo jest załadowane, kula dopchnięta, wszystko gotowe do strzału. Działonowy nazywa się Hubert Longfield i pochodzi z Ohio. Połowa jego pociągłej twarzy jest sina po dawnym wypadku na polu walki. Armaty wybuchają, jak chcą, nigdy się tego nie wie. Obsługuje to działo, jakby przy nim tańczył. Celuje, dopycha, otwiera i zamyka. Stoi z linką spustową w sinych pazurach. Czeka na rozkaz, chce, żeby padł. Dwóch kanonierów czeka w gotowości, by ponownie załadować działo. Wpatrują się w nich wszyscy rozrzuceni w długi półksiężyc kawalerzyści. Pewnie dochodzi szósta i w obozie budzą się

niemowlęta i dzieciaki, a squaw wstawiają wodę. Widzimy wyraźnie przypominające wycinanki dwie skóry bizona rozciągnięte sztywno na drewnianych ramach. Bóg jeden wie, skąd wzięli te bizona, bo stada odeszły bardzo daleko jak dla nich. Skóry suszą się z szybkością suszących się skór, czyli wolniej, niż płynie strumyk czasu. Wigwamy są bogato zdobione i nie ma w nich ani śladu nędzy, jaką widuje się w wigwamach na wschodzie.

Tutaj nie dotarło jeszcze zbyt wielu z nas. Wojownicy z przyjemnością piją whisky, jak im się trafi, ale wypijają wszystko na jedno posiedzenie. Siuks leży pijany w trupa przez jeden dzień, a potem znów staje się homeryckim Hektorem. Ci ludzie przed nami podpisali traktat z pułkownikiem, ale gdy zaniedbano wypełniania jego postanowień, wrócili do dawnych zwyczajów. Gdyby czekali na rządowy prowiant, umarliby z głodu.

Wachmistrz szepcze rozkaz niczym miłosne zaklęcie, Hubert Longfield szarpie linkę, a działa ryczy. Rykiem stu lwów w małej izdebce. Zastłonilibyśmy uszy, ale trzymamy uniesione i wycelowane w linię wigwamów muszkiety. Czekamy na szturczy pęd tych, co ocaleli. Mija czas długi jak stworzenie i słyszę świst armatniej kuli, przesywający i przenikliwy świst, a potem kula uderza o ziemię z dobrze znanym bum-bum i rozszarpuje podbrzusze niebios, i rozsypuje wokół zniszczenie, rozdrapuje ściany wigwamów jak policzki, a jej gwałtowny pęd przewraca inne namioty na płask, ukazując ludzi w przeróżnych pozach zaskoczenia i zgrozy.

Natychmiast zaczyna się mordowanie i śmierć. W obozowisku stoi może ze trzydzieści namiotów i ta jedna kula wyłupała tłącą się czarną kancerę w samym środku wioski. Squaw zgarniają dzieci w każdym wieku i rozglądają się przerażone, jakby nie wiedziały, w którą stronę uciekać. Teraz sierżant wydaje donośny rozkaz, bo pokazaliśmy już wizytówkę, i strzelamy z muszkietów na komendę, a nasze kule wbijają się złowrogo w drewno, skóry i ciała. Z miejsca pada z tuzin squaw, a dzieci trzymają się ich kurczowo albo rzucają się do ucieczki. Dwudziestu wojowników wybiega ze strzelbami, Hubert jest już gotów do następnego strzału i strzela. Duża część obozowiska odrywa się niczym fragment zamalowanego obrazu.

Nasze muszkiety strzelają chyba słabymi lub znużonymi kulami, bo ranimy dwa razy tyle Indian, co zabijamy. Wielu chodzi chwiejnie w kółko, trzymając się za broczące rany, nawołując, a wojownicy musieli zmiarkować, co się święci, bo zabierają squaw i dziatwę na tył wioski. Ognia, ognia, żołnierze, krzyczy wachmistrz, więc ładujemy muszkiety jak szaleni i strzelamy. Proch, kula, stempel, kapiszon, kurek, strzał. Proch, kula, stempel, kapiszon, kurek, strzał. Raz za razem i raz za razem śmierć grasuje gorączkowo po wiosce, zbierając dusze umarłych. Strzelamy w złości na ten dziwny smutek, ale też mściwie, wściekle, jak żołnierze celowo i w zupełności unicestwiający wroga.

Nic poza tym nie zaspokoi naszego pragnienia. Nic poza tym nie zaspokoi naszego głodu. Na gorącym letnim wietrze dopisujemy zakończenie opowieści o śmierci naszych towarzyszy.

Strzelamy i się śmiejemy. Strzelamy i płaczemy. Strzelamy i łkamy. Odskocz, Hubercie, pociągnij za linkę. Nadstaw ucha, Boethiusie, cofnij się z konikami. Podnieś muszkiet, Johnie Cole, strzelaj i strzelaj raz jeszcze. Granatowy półksiężycu żołnierzy, bądźcie żwawi, bo śmierć to kapryśna przyjaciółka.

Wachmistrz wydaje rozkaz bagnet na broń i ruszamy przekłuć każdego, kogo oszczędziły podstępnie szrapnel i kula. Nawet nie zauważyliśmy, czy wojownicy się bronią. Wypełnieni pragnieniem zemsty, nie kłaniamy się kulom. Nasz strach wypala się w bitewnej pożodze i zostaje nam tylko mordercza odwaga. Jesteśmy jak niebiańskie dzieci, które kradną jabłka w bożych sadach – po stokroć nieustraszone.

Nasz smutek wije się ku niebu. Nasza odwaga wije się ku niebu. Nasza hańba wbija się w smutek i odwagę jak cierń.

Siuksowie kryją się za czym popadnie, ale gdy dochodzimy do obrębu wioski, zrywają się bez wahania i nacierają na nas gołymi piersiami. Każdy z nas ma jeden nabój w muszkiecie na wypadek pewnego trafienia, o ile w takiej bitwie wręcz zdarza się pewne trafienie. Widzę kątem oka, że Caleb Booth pada po kanonadzie Indian. Wystrzeliwszy, wyciągają noże zza pasów i wyją w jakiejś obłąkańczo radosnej rozpacz, która rozpala w sercach ogień



szaleństwa. Nie jesteśmy jak kochankowie pędzący ku sobie, ale unosi się nad nami aura przerażającego zespolenia, jakby odwaga pragnęła złączyć się z odwagą. Nie umiem tego powiedzieć inaczej.

Nie ma na świecie wojowników odważniejszych niż Siuksowie. Ukryli gdzieś squaw i potomstwo, a teraz w ostatnim geście rozpaczcy muszą zaryzykować wszystko, żeby obronić swoich. Szrapnele wyrządziły straszliwe szkody w wiosce. Widzę wyraźnie poszarpane ciała i krew, potworną rzeź i masakrę wywołaną przez te wybuchające metalowe kwiaty. Wszędzie leżą młode dziewczęta, ofiary śmiertelnego tańca. Wygląda to tak, jakbyśmy zatrzymali ludzki zegar tej wioski, tak właśnie wtedy myślałem. Wskazówki się zatrzymały i nie wybije już żadna godzina. Wojownicy pędzą jak wcielone demony, przyznać muszę, że atakują wspaniale, z sercem. Mamy tyle krwi w sercach, że aż dziw, że nie wybuchną. Teraz będą zapasy, padanie i powstawanie, jest nas ze trzydziestu żołnierzy naprzeciw sześciu czy siedmiu, tylu, ilu ocalało spod bomb i kul. To nieustraszeni wojownicy noszący w sobie gorycz bezużytecznych traktatów.

Mimo bitewnego tumultu widzę, jak są zagłodzeni, jak wychudzone są ich umięśnione mosiężne ciała. Zabijamy ich zwykłą przewagą liczebną. Teraz zostają tylko ukryte squaw i reszta.

Wachmistrz, zdyszany jak zapowietrzony koń, wstrzymuje rwetes śmierci i wysyła dwóch żołnierzy w głąb jaru, żeby okrążyli kobiety. Nie wiemy, co mu się lęgnie w głowie i co chciał zrobić, bo kobiety zrywają się z trawy, gdzie przywarowały, i z ostrym jak brzytwa piskiem atakują zaskoczonych żołnierzy, otoczonych nagle przez dżgające gorączkowo ręce i dłonie.

Pędzimy im na pomoc i zabijamy wszystkie. Mamy czterech, pięciu poległych, a oni wszyscy nie żyją. Podchodzimy ze strachem do krawędzi jaru. Zerkamy w kamienistą głębinę, a tam siedzi zbity w gromadkę mniej niż tuzin dzieciaków zadzierających ku nam głowy, jakby czekały, aż wrócą po nich ich bliscy. Ale to niemożliwe.

Wachmistrz się miota, bo Wrony meldują, że Najsampierw Schwytałem Konia nie ma wśród zabitych. Udało nam się wybić całą jego rodzinę, w tym dwie żony. I chyba jedynego syna. Wachmistrz

jest z tego zadowolony, ale John Cole szepcze mi do ucha, że to nie takie pewne. Wachmistrz lubi koloryzować, mówi, ale tylko do mnie, John Cole. Wachmistrz wpada na pomysł, żeby wrzucić dzieciaki z powrotem do jaru, ale Lige Magan i John Cole uważają, że lepiej je wyłapać. I zabrać do fortu, gdzie ktoś się nimi zajmie. Pójdą do szkoły, mówią. Wiem bez najmniejszej wątpliwości, że chodzi im o majora i panią Neale. To wszystko, co się wydarzyło, odbywa się bez rozkazu majora, a przybycie do fortu pani Neale natchnęło przezornością każdego żołnierza. Mówię tylko, jak było. Wachmistrz może sobie zabijać tylu wojowników, ilu tylko chce, ale za squaw przyjdzie się rozliczyć. Wachmistrz może sobie powtarzać „do ciężkiej cholery” tyle razy, ile chce, ale to prawda. Ci ze wschodu nic nie wiedzą, do ciężkiej cholery, mówi. Do ciężkiej cholery. Nikt się nie odzywa, czekamy na rozkazy.

Starling Carlton nie mówi ani słowa, klęczy nad krawędzią jaru z zamkniętymi oczami. Wychudła twarz wachmistrza jest chmurna i rozeźlona, ale każe nam wyłapać dzieciaki. Jesteśmy tak zmęczeni, że na razie nie wiemy, jak wrócimy do fortu. Wciąż krąży w nas krew, ale wydaje się nam, że wykrwawiamy się prosto na ziemię. Mamy do pochowania kilku kawalerzystów, dwóch chłopaków z Missouri. Takiego młodego z Massachusetts, który pomagał przy mułach Boethiusowi Dilwardowi. I Caleba Bootha. Wachmistrz bierze się w garść, odkłada złość na bok i mówi parę podnoszących morale słów. Dlatego wciąż się go słuchamy. Bo jak komuś się wydaje, że wachmistrz zmierza prostym traktem do piekła, ten umie pokazać, że wcale nie jest taki najgorszy.

## Rozdział 9

Ale po wachmistrza też wybierała się śmierć. Położył się w lazarecie, gdzie w swoim czasie tajał John Cole i dokąd można było chodzić go odwiedzać. Najpierw mówił niewiele, ale powolutku robił się coraz bardziej gadatliwy. Felczer, którego mieliśmy za jedyne go doktora, robił, co mógł, ale nie było już za bardzo co robić, poza sprzątaniami nieczystości. Wszystkie flaki w brzuchu wachmistrza przegniły i czasem gówno wylewało mu się z ust, jakby zgubiło kierunek na równinach ciała wachmistrza. Ale wciąż pozostawał wachmistrem, nie można mu było ubliżyć, należało postępować z nim ostrożnie, żeby człowiekiem nie pomiatał. Stare siwe sukinsyny takie jak on nie przechodzą przemiany na łożu śmierci. Ale na samym końcu powiedział mi, że nie wie, po co się żyje. Tylko tyle. Dodał jeszcze, że życie wydaje się krótkie, jak się patrzy na nie wstecz, i długie, jak się je przeżywa. Wspomniał też o bracie z tej wioski Detroit, ale powiedział, że nie ma po co do niego pisać, bo on i tak nie umie czytać.

Wymieliliśmy tych kilka zdań pewnego wieczoru pod koniec jesieni, kiedy to resztki ciepła z całego roku trzymają się wiatru omdlewającymi palcami. Felczer właśnie zamknął okno, ale w drewnianej izbie wciąż czuło się wiejący z dworu oddech. Chłodne puste miejsca na dziedzińcu między zabudowaniami. Z wachmistrza zostały już same kości. Przypominał posąg jakiegoś świętego z kościelnej kaplicy, ale wciąż bluźnił jak potępieniec, którym był. I nie mówię tego złośliwie. Był dziwnym człowiekiem, tak się składa. Przeważnie okrutnym i bezmyślnym, ale było w nim coś jeszcze, coś nienazwanego. Wtedy zostałem z nim sam i z półmroku przyglądałem się jego zapadniętej twarzy. Lśniącym jeszcze wąskim oczkiem. Gęba poczerniała mu od choroby. Mówił o Najsampierw Schwytał Konia i o tym, że modli się, żebyśmy go dopadli. Obiecałem mu, że będziemy mieć to na względzie. Pomyślałem, że pewnie już wyrównaliśmy rachunki, ale nie powiedziałem tego na głos. Potem wachmistrz

wrócił myślami do Detroit z czasów swojej młodości, kiedy jego bratu zaczęło się powodzić w interesach, po czym zabił jakiegoś człowieka. Uniknął szubienicy dzięki słowu przeciwko słowu, bo nie było świadków. Popadł w melancholię, tak mówił wachmistrz. Kiedy wspominał brata, wydawał się innym człowiekiem. Powiedział też, że jego matka była twardą starą wiedźmą, a ojciec zginął w roku 1813, bijąc się z Indiancami na dawnym pograniczu w Kentucky. Dodał też, że jedyne, czego żałuje, to ślub z kobietą, która go nie kochała, i to, że nie rozwiódł się z tą jedzą i nie znalazł sobie drugiej pani Wellington. Wachmistrz! Wszystko to bardzo mnie zdziwiło, tyle wam powiem. Ale umierający może gadać, co mu ślina na język przyniesie. Niekoniecznie prawdę.

Potem umiera. Przynajmniej nie będziemy słuchać już jego wycia, mówi Lige Magan. W tym samym czasie pani Neale wzięła te pojmane indiańskie bachory do szkoły. Okazuje się, że córka Najsampierw Schwytał Konia nazywa się Winona, co w języku Siuksów, jak mówił pan Graham, tłumacz, znaczy Pierworodna. Mogła mieć wtedy z sześć albo siedem lat, nikt nie wiedział tego na pewno, bo Siuksowie prowadzili księgi parafialne równie skrupulatnie jak moi ziomkowie w Irlandii.

Cóż, nie byłem jedyny, co uważał, że rachunki między wodzem a naszą błogosławioną armią są już pewnie wyrównane. Ledwo złożyliśmy wachmistrza w skromnym grobie, gdy pan Graham odebrał jakoś wiadomość, że Najsampierw Schwytał Konia chce nam złożyć wizytę.

Pułkownik i major wdali się w pogawędkę na ten temat i postanowili, że lepiej będzie przyjąć wizytę wodza, gdyż może ona zapoczątkować lepsze stosunki między białymi a plemionami.

Wokół panowało wielkie poruszenie i pułkownik obawiał się otwartej wojny na równinach, tak mówił. Major pewnie pamiętał, jak wódz ocalił nas podczas głodowego marszu, a choć winił go za masakrę, brał pod uwagę również i to, że niedawno zmarły wachmistrz wyrznął mu żony i syna. W moim najgłębszym przekonaniu major zawsze dążył w duchu do sprawiedliwości, a choć miał stosownie niepochlebne zdanie o człowieku w ogólności,

przyznawał mu swobodę wyboru, gdy było to wskazane. Sami kawalerzyści, wypuszczeni na wielki świat, często wdawali się w burdy i pijatyki, nawet w forcie dochodziło raz po raz do gwałtownych wybuchów, które kończyły się nie tylko rykiem i siniakami. Wielu ludzi wierzyło, że straszliwie posępne góry Black Hills są nakrapiane złotymi samorodkami, a major był podobnego zdania o człowieku.

Poza tym miał przy sobie tonizujące lekarstwo w postaci pani Neale, kobiety, która mogłaby zostać kaznodzieją, gdyby jej nie rozdiewiczono. Połączenie urody i wiary sprawiało, że kawalerzyści na jej widok omdlewali z miłości, bo nie da się tego nazwać inaczej. No i może z chuci.

Gdyby wachmistrz wciąż bawił wśród żywych, nie byłby zadowolony z tej wizyty. Ale zajmował się obecnie obroną swego dobrego imienia, stojąc z drżącymi dłońmi u niebiańskich wrót.

Wyznaczony dzień był zimny i chmurny, choć suchy. Rzeka płynąca przed fortem wyglądała na stęchłą i smętną, a to, co John Cole nazywał „bezwłosa” okolicą wokół wałów, pokrywało się zamarzniętym śniegiem. Pod osłoną fortu wyrosło sporo budowli. Stał tam pomalowany na zgniłozielony kolor warsztat rymarski i biuro urzędnika do spraw Indian, które przy palisadzie wyglądało jak poemat na tle okolicznej prozy. Z jakiegoś powodu do wzniesienia tego pałacyku wezwano cieśli i tynkarzy aż z Galveston w Teksasie. Co się tyczy samego fortu, popadał miejscami w prawdziwą ruinę, choć pułkownik starał się, na tyle, na ile pozwalały mu fundusze, zachować go w nienaruszonym stanie. Wielkie łukowate wrota z giętych sosen pochodziły chyba z czasów przedpotopowych. Z samego rana ustawiono nasz mocno przerzedzony oddział kawalerii przed kwaterą majora, czyli na tyłach placu apelowego. Mieliśmy naładowane muszkiety, wszelako rozkazano nam trzymać je na ramieniu jak na spocznij.

Boethius dostał rozkaz ustawienia dwóch dział za stajniami, aby można je było szybko wytoczyć, gdyby zaszła taka potrzeba, ale uważam, że major ani przez chwilę nie dopuszczał do siebie takiej ewentualności. Zupełnie nie. Major uznał, że czyta w duszy tego

człowieka jak w otwartej księdze i może polegać na własnej interpretacji tego nieczytelnego pisma. W końcu usłyszeliśmy, jak wartownicy nad wrotami meldują, że wypatrzyli w oddali Siuksów na koniach; nadjeżdżali godnie stępa i zatrzymali się jakieś pół mili od nas. Polecono panu Grahamowi, aby wyjechał im naprzeciw, żeby się przekonać co i jak, więc pan Graham dosiada konia i wyjeżdża z dwoma trzęsącymi się trochę ze strachu kawalerzystami przez otwartą bramę. Zauważyłem, że wrota uchylił dla nich Starling Carlton, który też zawarł je od razu po ich wyjeździe. Więc pojechali jak ludzie skazani na śmierć. Pagórek, na którym czekali wojownicy, był na tyle wysoki, że dobrze ich widzieliśmy. Ani jeden z nas nie chciałby znajdować się na miejscu pana Grahama i jego eskorty. Pan Graham był niepokąznym łysym człowieczkiem, który nikomu nie zrobiłby krzywdy. Dwaj jadący z nim kawalerzyści wyglądali na ciemnookich Hiszpanów z Teksasu i nikt by po nich nie płakał, jakby ich zamordowano. Tak wtedy myślałem. Żeby jakoś zabić czas oczekiwania w napięciu. W końcu pan Graham podjeżdża jak się należy do watahy Siuksów i pewnie zaczyna ujadać, jak mówi na to John Cole, i ujada przez dobrą chwilę, po czym wraca majestatycznie do nas niczym nieduży cesarz, a ulga malująca się na obliczach kawalerzystów to bezcenny widok. Wódz chce przyjechać sam, mówi pan Graham, w dowód dobrych zamiarów i chce porozmawiać z majorem. Słyszę, że jacyś kawalerzyści wybuchają śmiechem, bo uznali, że w tej sytuacji wystarczy zastrzelić desperata. Ale nie znają majora, a Najsampierw Schwytał Konia czyta w nim i jego księdze tak uważnie jak major w wodzu. Tego rodzaju ufność powinna wzbudzać szacunek. Trzeba podziwiać człowieka, który opuści uzbrojonych towarzyszy i stanie we wrotach fortu białych. Starling Carlton nie zamknął bramy po wpuszczeniu pana Grahama i wszyscy widzimy nadjeżdżającego wodza. Z pewnej odległości podziwiamy pyszne piękno jego pióropusza i zwiewnych szat. Na szyi ma zwieszony napierśnik, wykonany bez wątpienia ręką białego, ale czuje się, że nosi go jak cenny rodowy klejnot, a nie kawałek zbroi. Jest już bliżej, więc widzę coś jeszcze. Jest środek zimy i zwierzyna pozostaje tylko wspomnieniem, więc wcale nie dziwi mnie jego wychudła i

zapadnięta twarz przypominająca oblicze samej bogini lodu.

Nogi obejmujące końskie boki są chude jak patyki, zresztą i koń wygląda jak szkielet. W dodatku chory. Głód wżarł się w serce tego człowieka. Przy bramie wódz zgrabnie zeskakuje z konia, choć nie ma strzemion, i oddaje strzelbę i nóż Starlingowi Carltonowi. Potem dotyka dłonią twarzy i rusza przez posępny plac apelowy. Kąśliwy wiatr rzucił znad rzeki śniegowy wir, wijąc się po forcie niczym wąż i wyjąc w załomach budynków. Major wychodzi do gościa również nieuzbrojony, w towarzystwie pana Grahama, który jak widzi każdy chrześcijanin, zamartwia się na śmierć ze zgryzoty. Zimny pot oblewa mu falami nieszczęsny pyszczek. Wódz wykłada karty, a pan Graham tłumaczy długą przemowę. Wszystko niechybnie sprowadza się do tego, że Indianin chce odzyskać córkę. Tak się składa, że pani Neale stoi na ganku szkoły, a w jej ciemnych oknach widać okrągłe jak księżycy w pełni twarzyczki wszystkich indiańskich dzieci.

Wódz znów odzywa się w swój górnołotny sposób, odwołując się do takich rzeczy jak miłość, godność czy wojna. Indianie zawsze wysławiają się jak Rzymianie, bez dwóch zdań. Major odpowiada uprzejmie i wygląda na to, tak mi się przynajmniej wydaje, że chce oddać dziewczynkę. W powietrzu wisi jakaś umowa, do której żołnierze nic nie mają ani w jedną, ani w drugą stronę. Musieli zauważyć, jak zabiedzony jest wódz, który nie przypomina już w żadnym razie wojownika. To dosyć smutne, myślę. Miarkuję, że to smutne. Znamy zimną, brutalną wojnę i wiemy, jak prowadzić ją tu, na równinach, bo sami ją prowadzimy. Ale nie ma takiego żołnierza, który nie żywiłby w głębi serca odrobiny podziwu dla wroga, takie są fakty.

Choćby z tego powodu, że wróg ten żyje w tym samym miejscu i czasie co my wszyscy i jak my wszyscy pada ofiarą tego samego hochsztaplera, który rozdaje znaczone karty. Zresztą kto wie, jak wygląda prawda. Major odwraca głowę i prosi żonę, żeby puściła dziewczynkę z klasy. Pani Neale uderza się dłońmi po udach, ale wchodzi do szkoły i spełnia niezwłocznie polecenie męża.

Mała dziewczynka wybiega ze szkoły jak brązowy ogieniek i pędzi przez podwórze, by stanąć u boku wodza. Ten milczy, ale pochyla się

do niej, podnosi ją i sadza sobie na prawym biodrze.

Major Neale kończy, jak to się mówi, spotkanie i rusza w naszą stronę, a wódz odchodzi z córką w przeciwnym kierunku. Starling Carlton stoi pod bramą ze strzelbą i nożem wodza niczym murzyński odźwierny w szynku w Daggsville. Śnieżna zamieć wirująca w forcie jest tylko jak cienki woal i wszystko dobrze widzimy. Jesteśmy spięci, jakbyśmy mieli zacząć strzelać, ale nie ma takiej potrzeby. Mamy przed sobą tylko jednego Indianina, który i tak nie ma się czym bronić. Może i jesteśmy łotrami o nikczemnych duszach, ale jak wszyscy nosimy w sobie resztkę poczucia przyzwoitości, której nic nie wypali do cna. Najsampierw Schwytał Konia podchodzi do Starlinga Carltona, a Starling Carlton coś do niego gada. Wódz nie ma, rzecz jasna, pojęcia, co mówi doń ten biały, więc Starling powtarza to głośniejszym głosem. Mówi coś takiego, że to lepsza strzelba od mojej i może byś mi ją oddał. Co on gada, do cholery? – pyta John Cole. Mówi, że wódz ma lepszy muszkiet, odpowiadam. Jasny gwint, rzuca John Cole. Potem Starling trochę się uspokaja, bo major idzie w ich stronę, żeby rozstrzygnąć spór, ale przystaje, widząc, że Starling oddaje strzelbę Indianinowi. Wódz odbiera ją lewą ręką i opiera kolbą o ramię, bo nie ma wyboru, przytrzymując prawą ręką dziewczynkę na biodrze. I w tej samej chwili Starling Carlton wyciąga z pochwy stary indiański nóż i rzuca się na wodza. Żaden człowiek na świecie nie powstrzymałby impetu Starlinga, bo ten waży tyle co byczek bizona. I na rany Chrystusa, wbija nóż w bok wodza. Dziewczynka krzyczy i spada na ziemię. Strzelba wypala, Starling Carlton podskakuje na jednej nodze i ryczy, bo nabój trafił go w stopę. Miarkuję, że do końca swych dni będzie już kulawy. Nóż kołysze się w boku wodza jak chorągiew na wietrze, gdy Najsampierw Schwytał Konia podnosi córkę z ziemi, sadza ją na konia, a potem rzuca się na jego grzbiet i odwracając mu łeb, spina go niczym sam diabeł i odjeżdża gorączkowym galopem. Koń jest tak samo zaskoczony jak my wszyscy. Paru żołnierzy wpada na pomysł, żeby palić za wodzem z muszkietów, ale Indianin, jak powszechnie wiadomo, nie jest łatwym celem, a poza tym kawalerzyści strzelają przez szpary w bramie. Starling Carlton wrzeszczy, żeby przestali. Zarobił kulę w stopę, czy



to nie wystarczy? Stojący w oddali wojownicy Siuksów kłębią się niespokojnie na koniach. A potem nasz strzelec wyborowy Lige Magan biegnie przez plac ku najbliższej drabinie, wspina się na palisadę i celuje starannie w galopującego Siuksa. Major rozkazuje mu wstrzymać ogień, ale Lige nie rozumie nagle po angielsku. Każdy wie w głębi serca, że nie może spudłować. A potem dzieje się coś dziwnego. Najsampierw Schwytął Konia staje jak wryty w galopie i odwraca się bokiem do nas. Kula trafiła, to pewne, ale nie w wodza ani nie w konia.

Pani Neale krzyczy i puszcza się biegiem ku bramie, a major chwyta ją z boku w tali i osadza na miejscu. Czas staje, ustaje zamieć i nic się nie rusza. Żona majora będzie przez wieczność stała schwytana w biegu, wódz będzie przez wieczność obracał konia bokiem i patrzył na nas, trzymając w rękach ciało zabitego dziecka. Starling Carlton będzie przez wieczność wył z bólu, pani Neale będzie przez wieczność płakała, a czarne wieczorne chmury znieruchomieją na wieczność, bo Bóg znów nas opuścił.

Tę klątwę przerywa Boethius, który wybiega z za węgła, żeby sprawdzić, czy się nie spóźnił na rozkaz.

Major postanawia chyba nie rozstrzygać kwestii, co, do cholery, wyobrażał sobie Starling Carlton, i przyznaje następnego ranka na apelu, że i tak nic dobrego z tego planu by nie wynikło.

Rozumie to teraz, niestety za późno. Śnieg pada jak manna z nieba, która nie nakarmi żadnego Izraelity. Może major uznał, że stare czasy minęły i nadchodzą nowe. Lige mówi, że chciał tylko pomścić Caleba Bootha i nie chciał zabijać dziewczynki. Wszyscy to zrozumieli. Major chce na tym poprzestać. Ale to nie powstrzymuje Johna Cole'a, który po kilku dniach pyta wieczorem w koszarach Starlinga Carltona, o co mu, do cholery, chodziło. Starling Carlton jest przyjacielem, więc czuje, że musi odpowiedzieć. Mówi, że jak zobaczył, że wódz ma całkiem nowy karabin Spencera, to trafiła go jasna cholera, jakby go piorun strzelił. Wpadł we wściekłość nie do opanowania jak leśna pożoga. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego musi stać z cholernym muszkietem na ramieniu, gdy ten Indianin lata po świecie z arystokratyczną bronią. Tak powiedział, z arystokratyczną bronią. I

tak dalej. No ale po coś go dźgnął? – pyta John Cole. Jak to, czy to nie jasne? Cholera, czy John Cole nie widział, że wódz wymierzył w Starlinga z karabinu? Cholera, czy do niego nie strzelił? I co on na to? I czy nie jest prawdą, Przystojny Johnie Cole, że masz w sobie coś z Indianina? Chyba żal ci krewnego, jasna cholera. John Cole jest przez chwilę zdezorientowany, tak samo jak ja. Nie pamiętam, czy strzał padł przed dźgnięciem, czy po. Usiłuję przywołać w głowie tamto wspomnienie. Miarkuję, że strzał padł po dźgnięciu, ale nie dałbym sobie uciąć za to głowy. O Chryste. A potem John Cole wygląda tak, jakby Starling Carlton dźgnął i jego nożem, bo Starling Carlton podchodzi bliżej i mówi: Słuchaj, nic do ciebie nie mam, Johnie Cole, więc nie bądź na mnie zły. W porządku, odpowiada John Cole i tylko ja widzę, że w oczach ma łzy. Zawsze płacze, jak ktoś okaże mu serce. Potem Starling Carlton obejmuje go jak niedźwiedź. Myślę sobie, że John Cole czuje teraz smród tego człowieka. To nie trwa długo, ale się zdarza. A potem wszystko chyba toczy się zwykłym torem.

## Rozdział 10

Następna część mojej opowieści zaczyna się jakieś dwa lata później. Przez te dwa lata w ogólnym biegu rzeczy przydarzyła się tylko jedna godna uwagi rzecz – pewna indiańska smarkula, ucząca się angielskiego u pani Neale, przez co w ogóle się o niej dowiedziałem, poczuła do mnie miętę. Dzieje tej smarkuli spisane w jej głowie w jej własnym języku zaczęły się ulewać, bo ciągle gadała o pani Neale i o tym, co czeka ją samą w forcie. Domyśliłem się, że musiała być kuzynką zastrzelonej Winony, a ponieważ nie potrafiłem wymówić jej indiańskiego imienia, choć składało się zaledwie z kilku słów, poprosiłem ją o to, żebym mógł mówić na nią Winona. Nie miała nic przeciwko temu. Jej lud w dawnych czasach często nadawał imiona różnym rzeczom, więc nie dziwi się, że wybieram dla niej nowe. Starling Carlton wpadł w złość i powiedział, że nie powinienem zaprzyjaźniać się z robactwem, tak powiedział. Cały się trząsł przy tych słowach, a podbródek drżał mu jak pierś ptaszka. Do tego mówi, że Irlandczycy to hołota, a gdyby ktoś go pytał o zdanie, to wszystkimi Afrykanami można nakarmić świnie, ale Indiańce, jak powiada Gunter, są najgorsze. Nie wiem, czy to na poważnie, bo podczas tej przemowy ma kamienną twarz. John Cole twierdzi, że Starlinga Carltona już z nami nie ma.

Skończy pewnie w Old Blockley, znaczy się słynnym domu wariatów. Odpowiadam, że Winona ma dopiero osiem lat i nie jest żadnym robactwem, ani trochę. Starling Carlton gadał o tym przez pół roku, a potem się zamknął.

Przystojny John Cole niedomagał na ciele i major postanowił, że nie powinien podpisywać następnego kontraktu, gdy obecny dobiegnie końca, i powinien wrócić do cywila.

Ponieważ wstąpiłem do wojska z Johnem Cole'em i podpisałem taki sam kontrakt, mogę iść do cywila razem z nim. Nazywa nas dwuosobową seciną kawalerii, uśmiechając się przy tym łagodnie. Dostaniemy żołd i trochę grosza na podróż na wschód, zatrzymamy

kapelusze, bryczesy, koszule i lniane kalesony. Major dodał, że najlepiej dla nas będzie opuścić armię, a jak znajdą jakieś lekarstwo na dolegliwość Johna Cole'a, to zawsze możemy wrócić. Powiedział, że jesteśmy wybornymi dragonami i powinniśmy służyć w wojsku. Ale nie może żywić chorującego raz po raz żołnierza, zabrania tego regulamin i zdrowy rozsądek.

Przez całą tę przemowę John Cole wpatruje się w niego z upiorną miną. Przypuszczam, że nie umie sobie tak nagle wyobrazić życia bez wojska. Mówi, że czuje się wyrzucony z raju. Że nie znajdzie równie dobrej przystani od Dan aż do Beer Szewy, powiada. Major odpowiada mu, że doskonale o tym wie i boleje nad tym, że przyniósł takie wieści. Pułkownik ma wysokie mniemanie o Johnie Cole'u, zwłaszcza po potyczkach, w których John Cole walczył.

Idę do pani Neale i proszę ją, żeby oddała mi Winonę na służącą, a pani Neale odpowiada, że Winona jest na to gotowa, bez dwóch zdań. Dziewczęta zatrudnia się przy domowych obowiązkach w wieku dziewięciu lat, powiada, a Winona całkiem dobrze mówi po angielsku i umie już pisać. Liczyć także umie. Nauczyłam ją również gotować wszystkie proste potrawy, które sama znam. Dobrze sobie radzi z rondelkiem. Lubisz biały sos do potrawki, nieprawdaż? – pyta. Rozmawiamy w jej kwaterze, w półmroku salonu od frontu, pani Neale dobrze mnie zna, ale mimo to świdruje mnie wzrokiem i zadaje trudne pytanie. Nie sądzę, żeby jakakolwiek inna kobieta z całego stworzenia prócz niej była w stanie o to zapytać, ale pani Neale to robi, co świadczy o jej klasie. Nie spocznę, mówi, póki nie zadam ci tego pytania.

Mężczyźni uważają, że mogą brać indiańskie panny, aby się pocieszać, a ja nie mam zamiaru tego tolerować, więc lepiej powiedz mi prawdę, kawalerzysto McNulty, i przyznaj szczerze, że chcesz tę dziewczynę tylko na służącą. Cóż, odpowiadam, klnę się na wszystko, co mi bliskie od początku świata, że moja odpowiedź brzmi tak. Będę ją chronił jak własne dziecko. Skąd ta pewność? – pyta. Cóż, odpowiadam, jestem zwyczajnie pewny. Dobrze, mówi, bo jeśli usłyszę, że jest inaczej, wyślę za tobą żołnierzy, aby cię ukarali. A ja znów czuję ten bijący od niej dziwny wściekły żar, jakby ktoś palił jej

bierwionami pod halką.

Jak dojechaliśmy do Missouri, dogonił nas list do Johna Cole'a, napisali w nim, że jego ojciec zmarł, ale John Cole nie bardzo wie, co z tym zrobić, bo nie została mu po ojcu żadna farma ani nic, do czego miałby prawo. Moim zdaniem myśli tylko, że ojciec zmarł, i to wszystko.

Powiada, że wolałby się z nim zobaczyć przed śmiercią i że jest zdziwiony, że ojciec zmarł w Pensylwanii, a on nawet nie wie, kto przysłał list, bo nie jest to napisane. Mija już ponad dziesięć lat, jak nie widział ojca, a nie rozstali się w przyjaźni. A kim jest twoja matka? – chcę wiedzieć i sam jestem zaskoczony, że wcześniej o to nie spytałem. Nie pamiętam matki, odpowiada John Cole i robi taką minę, jakby bardzo tego żałował. A ile lat miał twój ojciec? – pytam. Cóż, nie wiem, mówi, ja mam ze dwadzieścia pięć lat albo coś koło tego. Więc on miał ze czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt.

Mamy trochę pieniędzy, więc wynajmujemy dom w Lemay nad rzeką, parę mil za St. Louis. Dziwne, ale John Cole czuje się zdrów jak ryba i zastanawia się, czy nie truła go przypadkiem ta cholerna woda w Laramie. Mówi jeszcze, że przyszedł mu do głowy pewien plan i że napisze do naszego starego znajomego z dawnych dobrych czasów w Daggsville, a mianowicie pana Noone'a. List wędruje po kraju jak list z wiadomością o śmierci ojca Johna Cole'a i mija miesiąc lub dłużej, zanim przychodzi odpowiedź. Z sumiennie wysyłanych przez pana Noone'a na imieniny naszych świętych patronów listów wiemy, że wyjechał z Daggsville, gdy do miasteczka dotarło za dużo cywilizacji. Ale nie umiemy sobie przypomnieć za żadne skarby, dokąd jak pisał, pojechał. Okazuje się, że pan Noone otworzył nowy przybytek w Grand Rapids, gdzie wystawia minstrely i gdzie jak pisze, znajdzie się praca dla Thomasa McNulty'ego, jeśli ten nie stracił na wojacze urody. Tamtej nocy leżymy pierś w pierś w barłogu, Winona mruczy przez sen w sąsiedniej izbie, a nam się zdaje, że czujemy w kościach powab nieznannej jeszcze przyszłości.

Wygląda na to, że nie straciłeś urody, mówi John Cole, gapiąc się w półmroku na moją gębę. Dla mnie jest całkiem ładna.

Tak myślisz? – pytam.

Mnie się i tak podobasz, odpowiada i mnie całuje.

Mieszkanie w domu wciąż jest dla nas czymś nowym, nie musimy już snuć się po koszarach jak zjawy. Widok dwóch mężczyzn w łóżku nie dziwi Winony, to samo widuje się w każdym zajeździe pocztowym czy pensjonacie, gdy brakuje łóżek. Nie wiem nawet, czy Winona w ogóle widziała przedtem łóżko, bo w Laramie spała na podłodze. Teraz ma własne łóżeczko. Na pewno nigdy nie widziała przedtem miasta i lubi chodzić z nami nad rzekę i płynąć promem do składu. Gotowanie prostych potraw ma, jak mówiła pani Neale, w małym palcu i mówi całkiem nieźle po angielsku, i nie wiem dlaczego, ale różne łachudry niezbyt często obrzucają ją po drodze obelgami. Może wyglądamy na takich, co obiliby mordę komuś takiemu, co prawda, to prawda. John Cole mierzy z sześć stóp trzy cale wzrostu, więc nie zaczepia się go bez wyraźnego powodu. Ja nie jestem zbyt wysoki, to fakt, ale czasem krótki bagnet jest najlepszy. Chodzę z koltem przy pasie. Winona nie ma za dużo do roboty, ale jak przyjechaliśmy, kupiłem jej w St. Louis trzy sukienki, żeby miała własne odzienie. Najbardziej lubię taką ładną różową z falbankami. Wygląda na to, że lubię sukienki tak samo jak Winona. Ekspedientki w składzie wybrały dla Winony bieliznę, której nie widziałem, bo kazały mi odwrócić głowę, i kupiliśmy jej także trzewiki. Niedaleko nas jest murzyńska praczka, do której co tydzień nosimy brudy. Umie nawet krochmalić. Mówi, że w St. Louis regularnie podpalali murzyński dom modlitwy, ale nie słyszała, żeby zrobili to ostatnio. Kazałem ładnie przyciąć czarne proste włosy Winony, kupiłem jej grzebień i szczotkę, więc czesze się teraz przez cały czas i przegląda w lusterku. Winona. Nie ma nazwiska, które dałoby się wymówić, więc pytamy ją, które podoba jej się bardziej, Cole czy McNulty, na co odpowiada, że Cole brzmi lepiej, może i tak.

Więc kiedy idziemy kupić bilety kolejowe na nową linię do Grand Rapids, podajemy jej imię i nazwisko: Winona Cole. Co jest tak naturalne jak spluwanie do spluwaczki.

Jedziemy do Grand Rapids przez Kalamazoo i zatrzymujemy się na noc w hotelu Sweeta, a rano odwiedza nas nasz stary przyjaciel, pan Titus Noone. Przez całą drogę w pluającym, sapiącym, trzęsącym

pociągu Winona siedzi wyprostowana, nie mogąc zmrużyć oka, jakby trafiła do brzucha bestii i miała wkrótce umrzeć. Nie zrobiła na niej wrażenia rozwijająca się i zwijająca za oknem obrazkowa mapa uroków i okropieństw Ameryki. Stare jeziora jak morza, ciemne jak dziecięce koszmary stare lasy, a tu i ówdzie miasteczka w przepychu i błocie. Jak się przekonujemy, pan Noone nie jest jeszcze taki stary. Jest wytworny jak wytwór wyobraźni. Ma na sobie połyskującą przedziwnie czarną pelisę z futra czarnych niedźwiedzi, a niebieski jak drozd krawat podskakuje na jego piersi żwawo niczym ptaszek, z kolei spinki do mankietów, mówi nam, wyłowiono z rzek Australii i są to ciemne szmaragdy o kształcie wytrzeszczonych oczu. Był u cyrulika, żeby się ogolić, więc wszystko ma nienagannie gładkie, włącznie z czernidłem na włosach. Za to skórę pokrywa mu pokłosie uśmiechów. Titus Noone jest niewątpliwie w sile wieku. John Cole przypatruje mu się uważnie, potem przenosi wzrok na mnie i wybucha śmiechem, w którym słychać rozbawienie i ulgę. Pan Noone patrzy na nas, klaszcze w urękawicznione dłonie niczym szuler od trzech kart, ale nie jest szulerem, bo też wybucha śmiechem. Pamiętamy dobrze, co zrobił dla nas w Daggsville, a on pewnie pamięta, że nigdy go nie zawiedliśmy. Takie doświadczenia stanowią podstawę trwałych interesów. Choć Winona jest wymęczona długą podróżą pociągiem poprzedniego dnia, ma ochotę do nas dołączyć. Nie ma w tym przesady, że ma śmiech jak strumyk szemrzący latem przez łąkę. Zaraz po wejściu do hotelu pan Noone skłonił się jej, ujął ją za rękę i potrzęsnał nią delikatnie, po czym zapytał, jak się miewa. Miewam się doskonale, odpowiedziała w swym najlepszym bostońskim angielskim, wyuczonym od pani Neale. Taki drobiazg, który nic nie znaczy. A mnie aż serce rosło. Rzeczy, od których rośnie serce, są stosunkowo rzadkie, więc lepiej je zapamiętywać, gdy się je widzi, żeby nie zapomnieć. To córka Johna, mówię bez zastanowienia, bo myśl ta nigdy nie zaświtała mi w głowie słowami, które znam. John Cole niczego nie sprostował. Rozpromienił się. No cóż, mówi Titus Noone, jej matka musiała być pięknnością, i skinął głową na znak, że jest mu niezmiernie przykro z powodu jej domniemanego odejścia, o które więcej nie będzie pytał, o ile sami

mu czegoś na ten temat nie powiemy. Więc zostawiamy to tak, jak jest, jak ostatnią nutę ballady.

Czarna jak osełka pokojóweczka wnosi herbatę i whisky. A my niczym jeden mąż o jednej głowie i ośmiu oczach wbijamy wzrok w imbryk i filiżanki na tacy, po czym znów wybuchamy śmiechem. Bóg jeden wie dlaczego. Chyba jesteśmy skołowani. Pan Noone mówi, że prowadzi duże przedsiębiorstwo w pięknej sali przy Grab Corners. Ma najlepszą trupe minstreli o czarnych twarzach od Timbuktu po Kalamazoo. Cóż, mówi, wszyscy są w miarę porządni z wyjątkiem najbardziej powalającego gwiazdora, co się nazywa Sojourner Wrathall.

Dybie na wszystkie dziewczuchy, dodaje. Cholerny awanturnik i geniusz. Piździelnik pierwszej wody, bez jaj i bez kalamburów. A wy, co chcecie tu robić, chłopcy? – pyta. Cóż, odpowiada nieco speszony John Cole, przyjechaliśmy tu z panem porozmawiać. Ma się rozumieć, ma się rozumieć, mówi pan Noone. Bo widzi pan, ciągnie John Cole, w zeszłym roku przysłała mi do głowy taka myśl. Byliśmy w indiańskim obozowisku niedaleko od Fort Laramie i widzieliśmy tam Siuksów, wojowników, przebranych za kobiety, co wywołało we mnie dziwne poruszenie, bo niektórzy z nich byli naprawdę ładni, tak ładni, że aż miękko się robiło w kolanach, jak się na nich patrzyło. I myślałem przez ten cały czas, że skoro Thomas już nie jest dziewczyną, to można by go przebrać w kobiece suknie i sprawdzić, czy to przyniesie jakiś skutek, znaczy się, taki skutek jak ten, który odczułem wtedy na prerii. No tak, mówi Titus, mógłby się przebierać na modłę minstreli i grać dziewczęce role? Pewnie mógłby, ciągnie John Cole, ale objawiła mi się taka myśl, jak kaznodziei objawia się Objawienie, wie pan, o Thomasie w sukni, tak kobiecym jak kobieta, tylko bardziej, wszystko na swoim miejscu dla urody, wie pan, a przecież jest urodziwy, co nie? Więc, mówi dalej John Cole po przerwie na śmiech, pomyślałem, że może warto by tego tu popробować w pańskiej sali, bo pan nas zna i wie, że nie jesteśmy wydrwigroszami. No ale on ma śpiewać, tańczyć czy co? – pyta pan Noone, nadstawiając z wielkim zainteresowaniem ucha, a jego estradowe czułki falują jak u pustynnej mrówki.



Pomyślałem, mówi John Cole, że mógłby występować w krótkich numerach, pojawiać się jako przystojny młody człowiek, chować się za parawanem, przebierać w trakcie tańców i takich tam i wyłaniać zza parawanu jako najbardziej zabójcza piękność, żebyśmy się mogli przekonać, co powie na to publiczność. Albo mógłby jako ona siedzieć w buduarze i dopinać gorset, a ja mógłbym wejść jako jej fatygant i zacząć rozmowę albo arię... no tak, nie umiem śpiewać... więc sam pan wie. W porządku, a co będzie robiła ta mała dama? – pyta pan Noone, wskazując brodą Winonę. Nie wiem, odpowiada John Cole. Nie myślałem, żeby ją w czymkolwiek obsadzić. Mogłaby występować jako dziecko, mówi Titus Noone, czy śpiewa? Śpiewasz? – pyta się John Cole, sam nie mając pojęcia. Umiem śpiewać, odpowiada Winona. A co umiesz śpiewać? – pyta Titus Noone. Umiem śpiewać *Rozalia, kwiatuszek z prerii*, odpowiada, pani Neale mnie nauczyła. To piosenka o zmarłym dziecku, stwierdza Titus Noone, kiwając z aprobatą głową. Poczernimy Winonę czernidłem, mówi, i może grać pokojówkę, i śpiewać cholerną *Rozalkę*... Publiczność oszaleje. Tymczasem Thomas siedzi w sukni, a ty jako absztyfikant przechadzasz się dumnym krokiem, a Thomas, tak kobiecy i urodziwy, jak przed chwilą wspomniałeś, cóż, tak, cóż, tak, to może się powieść. A jeśli się powiedzie, zapłacę wam dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo, dla całej trójki. Jak wam się to podoba? Podoba nam się jak drozd na krzaku, odpowiada John Cole. A więc, stwierdza Titus, bądźmy najlepszej myśli.

Pamiętam doskonale, jak podobaliście się obaj górnikom jako dziewczęta. Wypijmy za to, do cholery! Co też robimy, pijemy.

Pan Noone mówi, że w Grand Rapids też są górnicy wydobywający gips z kamieniołomów nad rzeką. Z jakiegoś powodu górnicy są idealną publicznością. Taką mamy przynajmniej nadzieję. Potem, ukłoniwszy się zamasyście miękkim kapeluszem, Titus Noone odchodzi, a John Cole, ja i Winona idziemy następnego ranka do miasta i inwestujemy wszystkie oszczędności w sceniczne kostiumy i rekwizyty. John Cole mówi, że musi kupić mi najlepszą suknię, na jaką nas stać. Że musi być pierwszorzędna. Nie będziemy przecież grać skeczów komediowych. Chce, żebym wyglądał okazale jak

najprawdziwsza arystokratka. W porządku.

Najpoważniejszym wyzwaniem okazuje się wizyta w zakładzie krawieckim dla pań, ale pracujące tam dziewczęta nie robią nam trudności. Mówimy im, że występujemy w minstrelsach, co robi na nich niebywałe wrażenie, mamy więc niezły samograj.

Gdy wracamy do hotelu Sweeta, w Grand Rapids zapada wieczór. Jesteśmy zmęczeni jak indiańscy wojownicy po bitwie. W gospodach i jadłodajniach zapalają się światła, chodniki stukoczą nam pod obcasami, ekspedientki zamykają okiennice witryn, a chłodne nocne powietrze wtłacza się na ulice. Nie zostało nam nawet na wózek, żeby przewieźć zakupy, więc niesiemy je sami. Pakunki i torby ciążą nam jak ołów, niewiarygodne, ile rzeczy potrzebuje kobieta. Uroda nie jest tania, a my postawiliśmy wszystko na „sztukę”. Jeśli się nie powiedzie, będzie nam potrzebna natychmiast inna praca. Pan Bóg w tydzień stworzył cały świat, mówi John Cole.

Damy radę, odpowiadam.

Wracamy do pokoju, zapalamy knot lampy i ściągamy buty, nie mając śmiałości posłać Winony po jedzenie, przez co idziemy spać głodni. Winona rozkłada zakupy, a potem kładzie się spać na krótkiej leżance stojącej w nogach łóżka. Tej nocy zachowujemy czystość jak prawdziwi podróżni. Wkrótce drobną postać Winony morzy sen, jej pierś unosi się i opada z każdym cichym oddechem, a w naszym łóżku słychać szmer, jakby płynął przez nie rwący strumień. Leżymy w ciemności obok siebie, a lewa dłoń Johna Cole'a wije się pod kołdrą i ujmuje mnie za prawą rękę. Nasłuchujemy nocnych hulaszczych krzyków i ciężkiego stąpania koni na drodze.

Trzymamy się za ręce jak kochankowie, którzy właśnie się spotkali, albo tak, jak wyobrażamy sobie kochanków w nieznanym królestwie, gdzie kochankowie nie muszą ukrywać, że są kochankami.

## Rozdział 11

W dniu wielkiej premiery pan Beulah McSweny, woźny teatralny, otwiera przed nami, jak można się było spodziewać, drzwi do teatru i wpuszcza nas za kulisy, gdzie nie ma wstępu żaden cywil. Pan McSweny był czarnym z Toledo i liczył sobie osiemdziesiąt dziewięć lat. Przez cały tydzień robiliśmy próby do naszego skromnego występu, a pani Delahunt z głodujących wzgórz hrabstwa Kerry nadzorowała malowanie dekoracji, z kolei pan Noone osobiście rysował na scenie, gdzie mamy stawiać kroki, a usadowiwszy się w złowrogich ciemnościach widowni, zadekretował, skąd najlepiej słyszać Winonę śpiewającą o Rozalii w czasie naszego niemego przedstawienia przed światłami rampy. Najbardziej zażarte dyskusje toczą się o to, czy John Cole ma mnie dotknąć, czy nie, a może nawet pocałować, aż w końcu Titus Noone wyrokuje, że mamy się zdać na intuicję i być przygotowani do ucieczki, jeśli to nie wypali. Siadamy w długiej garderobie za kulisami i jesteśmy zaledwie nic nieznaczącą cząstką rozgardiaszu wzniecanego przez dziesiątki postaci nakładających czernidło na twarze, w czasie gdy małe garderobiane zszywają kostiumy grubych dziewcząt i wszędzie słysząc zastanawiające wybuchy śmiechu i nieprzerwane mielenie jęzorami. Dwaj prawdziwi Murzyni z trupy – pan Noone nazywa ich Afrykańczykami – czernią sobie czarne twarze i domalowują białe usta, dzięki czemu wyraźniej widać śpiewaków, bo kontrastują z mglistą żółcią światła rampy. Knoty lamp pływają w nafcie i tworzą mgłę jak o poranku w dolinie w przesłodkim krajobrazie nad Yellowstone. Winona też poczernia sobie buzię. Przygląda się sobie z zachwytem w lustrze. Kim teraz jestem? – pyta.

Śpiewacy ćwiczą śpiewem głosy. Z zatabaczonych gardeł pryska ślina. Młode parodystki siedzą przed lustrami i stroją miny, miny wprost niewyobrażalne. Wkrótce słyszymy „na scenę” i w świetle lamp zaczynają się pierwsze skecze rzucane w publiczność jak pyszne jabłuszka.

Słyszymy ryk tłumu niczym wzbierającą rzekę, potem nagłą ciszę, a potem znów ryk, jakby rzeka runęła wodospadem. Wzbiera w nas eliksir, który pojawia się, gdy człowiek wystawia się na niebezpieczeństwo i na ten przykład chce rzucić się w wodospad i przeżyć. John Cole stroi się, aż policzki lśnią mu niczym lampy naftowe. Nigdy nie był tak przystojny. Za parawanem pojawia się garderobiana i pomaga mi w nieprostym znoju wbijania się w bieliznę. Wie, co wkłada się najsampierw, a co dodaje potem niczym rozwiązanie zagadki. Staniki, gorsety, biustonosze, wywatowana dupa i kilogramy waty zamiast piersi. Delikatny peniuar, hałeczki i nareszcie suknia sztywna jak trumienne deski. Ma żółty kolor niczym woda w świetle księżyca.

Gęste ściegi, koronkowe wykończenia i zakładki, szrafowane boki. Mgielka muślinu w kwiaty z przodu i z tyłu. Idealnie w tym świetle, jak nam się zdaje. W scenicznym świetle, które będzie z nami spiskować i przeobrazi nas w coś, czym nie jesteśmy, w cudowne stwory. Inspicjent przedstawienia kiwa do nas głową. Stoimy za kulisami, słuchając numeru, który nas poprzedza.

Obiad podchodzi nam do gardła. Jesteśmy spięci jak drut ogrodzeniowy. Numer przed nami to hałaśliwa piosenka i taniec, padają szybkie słowa w murzyńskim narzeczu, w radosnej wrzawie.

Tłum z zefirka zamienia się w wichurę. Scena pustoszeje i słyszymy cichą, graną na pianinie melodię, która jak życzył sobie pan Noone, wprowadza stosowny nastrój. W nagłym mgnieniu widzę oczyma duszy martwego ojca w Irlandii. Dekoracje są już ustawione i John Cole wychodzi z Winoną, która drobi ślicznie ku światłom i śpiewa piosenkę. Słyszeliśmy, jak śpiewała na próbach, ale teraz wykonuje ją z całkiem nowym zapalem. Coś jeszcze wkradło się do tej piosenki jak myszka. Są brawa, jest śmiech, czysta rozkosz. Wkraczam na scenę i czuję na sobie blask bijący z lamp, który mnie nie odpycha, lecz przeciwnie, przyciąga. Jestem jak coś, co morze wyrzuciło na brzeg po sztormie. Bezpański okruch. Jakbym pływał pod wodą w kałuży jasności. Wolno, bardzo wolno podchodzę do wpatrzonych we mnie mężczyzn. Stało się coś dziwnego, bo na widowni zapada cisza. Cisza wymowniejsza od jakiegokolwiek dźwięku.

Przypuszczam, że nie wiedzą, co widzą. Przypuszczam, że naprawdę widzą piękną kobietę. O delikatnej piersi, damę jak z obrazka. Przeszywa mnie dreszcz, jaki ma się tylko po opium.

Jestem jak któraś z tych lamp na rampie, mam płonący knot zamiast serca. Nie wypowiadam ani słowa. Winona porusza się zwinnie, jakby porządkowała buduar. Najelegantszy John Cole nadchodzi z drugiego końca sceny i słyszymy, jak widzowie biorą głęboki wdech, co brzmi jak szum fali cofającej się po kamieniach na plaży. Nadchodzi i nadchodzi. Wiedzą, że jestem mężczyzną, bo czytali afisz. Ale przypuszczam, że każdy z nich chciałby mnie teraz dotknąć, a John Cole jest posłem ich pocałunków. Zbliża się do mnie powoli, powolutku. Wyciąga rękę – tak otwarcie i zwyczajnie, że chyba wycionę ducha. Publiczność nie wypuszcza powietrza z płuc.

Mija pół minuty. Niemożliwe, żeby którykolwiek z nich wstrzymywał tak długo oddech pod wodą. Musieli znaleźć nowe komory w płucach. Nurkujemy w głębinach pożądania. Każdy jeden, stary czy młody, chce, żeby John Cole dotknął mego policzka, chwycił mnie za drobne ramię i przycisnął usta do mych warg. Przystojny John Cole, mój ukochany. Nasza miłość na oczach świata. Płuca widowni nie wytrzymują, rozlega się chrapliwy świst. Dotarliśmy do pogranicza naszego występu, stąpamy po nieznanym gruncie. Winona znika ze sceny, a John Cole i ja sprawiamy, że czar pryska. Rozstajemy się jak tancerze, podchodzimy do widzów, kłaniamy się, obracamy i już nas nie ma. Jakbyśmy odeszli na zawsze. Widzieli coś, czego po trosze nie rozumieją, a po trosze tak. Odegraliśmy coś, czego też po trosze nie rozumiemy, a po trosze tak. Pan Noone jest zachwycony. Aż trzęsie się z zachwyty za kulisami, zerkając na widownię połową twarzy skąpaną w świetle. Tłum za kurtyną bije brawo, krzyczy, tupie. Kryje się w tym jakieś szaleństwo wróżące rozkoszną swawolę. Poglądy idą precz. Choćby na jedną chwilę. W której ujrzeli migocący obraz piękna. Przez cały dzień trudzili się w gipsowym łożysku, rąbiąc i zbierając kamień. Mają od tej pracy dziwnie białe paznokcie. Bolą ich plecy, a rano muszą znów stanąć do roboty. Przez krótką chwilę kochali kobietę, która nie jest prawdziwą kobietą, ale nie o to przecież chodzi. Przez szaloną mglistą chwilę w

sali pana Titusa Noone'a królowała miłość. Przez mgnienie miłość ta była niezwyciężona.

Następnego dnia mamy lekkie wyrzuty sumienia, że zatrudniamy Winonę, i John Cole prowadzi ją do pana Chesebro i pyta, czy przyjmie indiańską dziewczynkę do szkoły, jeśli się dowie, że jest półkrwi Indianką, a półkrwi białą. Ten dżentelmen prowadzi szkółkę w kamiennym budynku w zaułku na tyłach Pearl Street. Odpowiada Johnowi Cole'owi, że miasto tego nie zdzierży, więc John Cole wraca z Winoną i mówi, że czasem ma ochotę kogoś zabić tylko po to, żeby zostać dobrze zrozumianym. Oczywiście sam nigdy nie chodził do żadnej szkoły. Ja uznawałem się pewnie za wielkiego uczonego, bo zaliczyłem kilka klas w szkole w Sligo. Tak chyba myślałem. No więc, pyta John Cole, myślisz, że nie nauczyłbyś jej czegoś, czego nie dowiedziała się od pani Neale? Powiedziałem, że nie przypuszczam. W tej okolicy nie ma indiańskiej szkoły, bo wypędzono stąd Indian przed wielu, wielu laty. Wygląda na to, że wielkimi szychami byli tutaj niegdyś Chippewa. Jasna cholera, mówi, dlaczego nigdzie jej nie można posłać? A potem powtarza to samo wieczorem eleganckiemu Beulahowi McSweny'emu, który mówi, że będzie uczył Winonę. Mówi jeszcze, że przezywają go Poeta McSweny i że napisał ze trzy piosenki, które śpiewają w minstrelsach. Nie, na Boga, to prawda? – dziwi się John Cole. Owszem, odpowiada poeta, i mogę uczyć Winonę przez trzy poranki w tygodniu, bo pracuję tylko wieczorami. To wspaniale, woła John Cole, jak to się stało, panie McSweny, żeś jest pan takim dżentelmenem? Mój ojciec był wolnym człowiekiem, odpowiada tamten, i pływał po Missisipi. Przewoził wszystko co się da między Anglikami a Hiszpanami. A gdzie jest teraz pana ojciec? – pyta John Cole. Ojciec odszedł tak dawno temu, odpowiada Beulah, że zanim umarł, lata zaczynały się na tysiąc siedemset. Boże Wszchemogący, odpowiada John Cole.

W ten sposób rozpoczynamy złoty wiek małego królestwa, które wznieśliśmy przeciw ciemnościom. Regułą już jest, że jeśli znajdujemy dom, stoi on nad wodą. Dom nad rzeką ma cztery pokoje, a do tego werandę wychodzącą na boczną uliczkę – nie jest to najelegantsza część miasta, dlatego pasujemy do niej jak rękawiczka

do dłoni. Jak rękawiczki. Nikt nie potrafi sobie wyobrazić zbieraniny, która składa się na amerykańskie miasto. Najsampierw są ubodzy jak mysz kościelna, ale za to wszytkowiedzący cholerni Irlandczycy, cholera im w bok, którzy mogą mieszkać pod przeciekającymi schodami, uznając, że to pałace. Dalej półkrwi Indianie pomieszani Bóg wie z kim. Potem czarni, może z Karoliny albo skądś. W końcu Chińczycy i hiszpańskie rodziny. Tu, gdzie mieszkamy, ludzie przychodzą na noc spać po skończonej robocie, głównie w kopalniach gipsu albo u Szkopów po drugiej stronie miasta. Właścicielem naszej chaty jest Poeta McSweny. Oszczędzał przez siedemdziesiąt pięć lat, więc ma z pół tuzina chałup.

Ale nie o to chodzi. Bo chodzi o to, że jesteśmy jak rodzina. John Cole wie, że urodził się w grudniu, albo zapamiętał ten miesiąc, ja z kolei pamiętam, że urodziłem się w czerwcu, a Winona mówi, że przyszła na świat w Jelenią Pełnię Księżyca. Tak czy inaczej, postanowiliśmy zrobić z tego jeden dzień i wybraliśmy pierwszy maja na nasze wspólne urodziny. Mówimy, że Winona ma dziewięć lat, a John Cole zdecydował się na dwadzieścia dziewięć. Przez co ja muszę mieć dwadzieścia sześć lat. Albo coś w tym rodzaju. Ważne, że bez względu na to, ile liczymy wiosen, jesteśmy młodzi. John Cole jest najprzystojniejszym młodym człowiekiem w całym chrześcijaństwie, a to są jego najlepsze lata. A Winona to najpiękniejsza bez dwóch zdań córeczka, jaką można sobie wymarzyć. Powabne jak jasna cholera kruczoczarne włosy. Oczy niebieskie jak niebieski grzbiet makreli. Albo piórka ze skrzydła kaczora. Najśłodsza buzia, chłodna jak melon, gdy ujmuje się ją dłońmi i całuje w czółko. Bóg jeden wie, co widziała i w czym brała udział. Okrutne morderstwo, to pewne, bo sami je popełniliśmy. Ale widziała rozlew krwi i rzeź i bez nas. Można się spodziewać, że dziecko, które tyle widziało, będzie się zrywać w nocy oblane zimnym potem, i tak się dzieje z Winoną. Wtedy John Cole musi przytulić jej drżące ciało i pocieszać ją kołysankami. Mówiąc szczerze, zna tylko jedną, więc śpiewa ją w kółko. Tuli ją delikatnie do siebie i śpiewa kołysankę. Skąd ją zna, nikt nie wie, nawet on sam.

Ta kołysanka jest jak zabłąkany ptaszek z jakiegoś dalekiego kraju. Potem John Cole kładzie się na jej łóżku, a ona wtula się w niego

cała, jak to pewnie robią niedźwiadki zimą albo nawet wilczki. Wtula się, jakby John Cole był tą odrobiną pewności, o którą jej chodzi. Bezpiecznym portem. Jej oddech powoli się uspokaja, a potem Winona zaczyna cichutko pochrapywać. Czas wracać do łóżka i John Cole patrzy na mnie w ciemności albo satysfakcjonującym półmroku świecy, i kiwa głową. Uśpiłem ją, mówi. Jasne, odpowiadam.

Nic więcej nie potrzebowałem do szczęścia.

Po kilku miesiącach harówki u pana Noone'a naturalną kolejną rzeczą nie zawsze chciało mi się przebierać na wyznaczoną godzinę, a poza tym czerpałem większą radość z chodzenia po domu w prostej, niezbyt krzykliwej sukni niż w opinających wąskich spodniach w szkocką kratę.

Poza domem było inaczej, ale w domu... Winona nic na to nie mówiła. Zawsze widziała we mnie tego, kim jestem. Ale w sukience łatwiej ze mną wytrzymać – tylko tyle powiem. Mogę zaświadczyć, że jestem wtedy zabawniejszy i wygaduję rzeczy, od których mój mężczyzna John Cole rży jak osioł. Winona gotuje nam prostą strawę i siedzimy sobie w półmroku, bo latem zasłaniamy okna przed nieznośnym upałem, podobnie zresztą jak zimą przed szczyrzymi zębami mrozu, który wgryza się w każdą, najwęższą szczelinę. W domu Winona nie śpiewa piosenek z minstrelsów, ale te inne, które przenoszą ją tam, gdzie rozpoczęła swą niewinną młodość.

Dreńczy nas świadomość, że nie wiemy nawet, kim była jej matka i czy nie była nią kobieta, którą zabiliśmy. Bóg świadkiem, że czasem czujemy ogrom tej zbrodni, a gdyby liczyć nasze zbrodnie na liczydłach, to pewnie nie byłaby to jedyna, jaką popełniliśmy na jej szkodę. Mogłaby słusznie i sprawiedliwie poderżnąć nam gardła we śnie i rozlać naszą czerwoną krew na płóciennych poduszkach. Ale nie robi tego. Śpiewa, a my słuchamy i wszyscy troje wracamy w wyobraźni na prerię. Ona do swych nieskalanych obozowisk, a my do tych chwil, gdy staliśmy, mówiąc szczerze, jak oniemiaли z zachwytu nad tym odległym od wszystkiego pięknem.

Przerabiamy, tniemy i zszywamy nasz występ, aż gra w nim dziesięciu aktorów z rzędu, a nie tylko jedna aktorka. Nauczyliśmy się wsłuchiwać w publiczność i uzależniać kierunek przedstawienia od



nastroju i humorów widowni. Ławki są tanie i zdarza się, że widzowie przychodzą trzy razy w tygodniu, a w naszych oczach wielką zmianą jest to, że oglądają nas również panie z miasta. Ładne krzykliwe dziewczki z nizin, ekspedientki, handlarki rybami i dziewczęta pakujące gips do worków. Chcą obejrzyć tę osobliwą damę, tak kobietą jak każda z nich. Chcą się jej przyjrzeć, rozszyfrować jej tajemnicę. A ja chcę im ją pokazać. Przez co na widowni zapada nieoczekiwane cisza i zdarzają się dziwne zapaści. Gdy wszystko wpada w jaśniejącą ciemność. Razem z moim żołądkiem lądującym na elegancko wypastowanych trzewikach. Dziwnie sprawy się mają w tym Grand Rapids, a ja nigdy się nie dowiem, jakie są tego plusy i minusy. Choć jedyną niedogodnością pozostaje to, że po przedstawieniu musimy naprawdę szybko przebrać się w cywilne łąchy, a ja nie mogę obecnie wychodzić drzwiami pana McSweny'ego; John Cole musi wyprowadzać mnie przez teatralną knajpę, którą przemierzamy jak dwaj anonimowi klienci, by wyjść do zaułka, gdzie walają się sterty butelek i nieczystości ze spluwaczek. John ma pistolet za wąskim jak u wiewiórki pasem. Bo niektórzy z tych pajaców zakochują się w blichtrze i zwykłej dziwności przedstawienia. I chyba nawet chcą się ze mną żenić. Albo mnie posiąść. A tymczasem John Cole powiada, że kocha mnie bardziej niż jakikolwiek mężczyzna od czasów, gdy małpy zeszły z drzew. Bo w „Grand Rapids Courier” rozpisują się o tym, że człowiek był niegdyś małpą, co – jak mówi John Cole – wcale go nie dziwi, zważywszy.

Oprócz wyznawania mi miłości John Cole prosi Winonę, żeby napisała do Lige'a Magana w Fort Laramie z pytaniem, jak się miewa. Winona umie już dobrze kaligrafować dzięki panu McSweny'emu. Lige Magan odpisuje nam, że wszystko u niego dobrze, podobnie jak u Starlinga Carltona. Winona na własną rękę pisze do pani Neale, bo ma dobre wspomnienia z pobytu w jej domu. Poczta skrupulatnie przewozi te cienkie liściki w tę i z powrotem po niebezpiecznych szlakach. Niczego, jak się zdaje, nie gubi. Pani Neale pisze, że wszyscy w forcie tęsknią za Winoną i że pozostali uczniowie pojechali do Cisco, gdzie znaleźli miejsca jako służba. Na równinach panuje wielkie poruszenie, pisze, więc Winona dobrze zrobiła, wyjeżdżając

stamtąd, bo jak pisze, major uważa, że najogólniej dojdzie do innej wojny. Zachodzę w głowę, co pani Neale chce przez to powiedzieć, więc piszę prosto do majora, żeby się wywiedzieć. Odpisuje i mówi, że docierają do niego groźne wieści ze wschodu, więc zaczynam się wsłuchiwać, co się mówi u nas, i dopiero wtedy pojmuję, na co się zanoszą. Zdaje się, że bardzo zanurzyliśmy się w teatrze, naszych występach, zwykłym życiu i miłości, i tym podobnych. A wszędzie wokół wściekłe wrzenie, po każdej stronie formują się nowe regimenty, żeby bronić tego czy owego.

Nigdy nie słyszałem słowa „Unia”, dopóki nie przeczytałem go w „Courierze”. Takie było, zdaje się, nasze przeznaczenie, bo czerpaliśmy mądrość od pana McSweny’ego. Nie będzie żadnej Ameryki, mawiał, póki jej sobie nie wywalczymy. Więc proszę go jednego wieczoru, żeby mnie oświecił. I nagle doznaję olśnienia, a na dodatek ogarnia mnie zapal. Ta dziwna podatność serca na piękne słowa. Mówi o niewolnikach oraz prawdziwej, gotowej do poświęceń miłości do kraju oraz wezwaniu pana Lincolna do pospolitego ruszenia. Teraz kręci nam się w głowach od patriotycznych uniesień. John Cole siedzi i wytrzeszcza gały.

Wkrótce wszystko wybuchają, a nasza widownia się wykrusza. Gaśnie jak ogarek świecy. Każda łachudra wstępuje do ochotniczych regimentów. Ochotnicy wlewają się do koszar stawianych naprędce na polach. Okruchy głośnych przemówień z Waszyngtonu docierają do naszego małego okręgu jak kawałki tego i owego opuszczone przez karmiące ptaki. Pan McSweny przypuszcza, że jest już za stary, żeby chwycić za broń. Jestem za stary, powtarza, choć we łbie wciąż mam jak się należy.

Potem przychodzi list od majora, który pyta, czy wstąpimy do jego nowego regimentu, który stawia pod broń w Bostonie, skąd pochodzi. Pisze, że zostawia panią Neale i dziewczynki w Fort Laramie dla bezpieczeństwa, a sam rusza na wschód, więc jeśli pojawimy się za tydzień, powoła nas. Teraz podpisuje się już jako pułkownik, co brzmi dumnie, więc przypuszczam, że dostał awans, ale John Cole upiera się, żeby dla wygody wciąż mówić o nim „major”. Poeta McSweny obiecuje zapewnić Winonie wikt i opierunek, a my oddajemy mu na

to trochę odłożonych dolarów. Zamykamy nasze ruchomości w przypominających trumny wielkich kufrach: moje suknie, sceniczne garnitury Johna Cole'a, całujemy Winonę i wyruszamy w drogę.

Niedługo wrócimy, zapewnia John Cole, bez dwóch zdań. Jeśli nie wrócicie, sama pojedę was szukać, mówi Winona. John Cole wybucha śmiechem, a potem płacze. Przytula Winonę i całuje ją w czoło. Pan McSweny ściska mi dłoń i prosi, żebyśmy się o nic nie martwili, ale też nie bawili za długo na wojnie ze względu na jego podeszły wiek. Mówię mu, że zapamiętałem.

I wyjeżdżamy.

## Rozdział 12

Wiosna nadchodzi w Massachusetts z powszechnie znanym żarem. Boski oddech wywiewa ze wszystkiego zimę. A to bardzo ważne dla tysiąca chłopaków tłoczących się w obozie o nazwie Long Island pod starym Bostonem. Choć z nieba leją się na nas potoki deszczu gęstego jak płótno, który łomocze w namioty. Ale mamy nową sprawę ze światem i gotujemy się w duchu do tej roboty. Tak nam się wydaje, gdy wyruszamy na naszą wojnę.

Przeważnie muszkiety i tylko kilka tych karabinków Spencera, które tak rozeźliły Starlinga Carltona, gdy ujrzał jedną sztukę w rękach Najsampierw Schwytał Konia. Pistolety i kilka tych słynnych rewolwerów. Lematy i kolty. Rapiery i szable. Bagnety. Taką broń mieliśmy przeciw rebeliantom. Jakieś jakby nowe pociski, z których nie strzelaliśmy do Indian.

Nie takie okrągłe kule, ale kształtu łukowatych drzwi w kościele. Major w obecnej randze pułkownika zaciąga cały ocean Irlandczyków z bostońskich rynsztoków. Robotnicy portowi, szufłowi, tregrzy, kanalie, awanturnicy i mali myszowaci chłopcy. Bierzymy wszystkich jak popadnie, gdyż musimy wystawić wielką armię – taki jest podstawowy cel. Ja i John Cole awansujemy z tej okazji na kaprali, bo jesteśmy prawdziwymi, znającymi się na wojaczce żołnierzami. Major sprowadził też Starlinga Carltona, który jest sierżantem, a do tego Lige'a Magana. A Lige Magan przez starszeństwo zostaje chorążym i będzie nosił proporzec.

Musi mieć już z pięćdziesiąt lat ten Lige. Cała reszta to szeregowcy, ochotnicy, lojaliści i cwaniacy. Jest ich jakiś tysiąc gąb, ale ci, których znamy najlepiej, będą w kompanii D.

Podpisujemy kontrakt na trzy lata, bo wszyscy uważają, że ta wojna nie będzie dłużej trwać albo nie jesteśmy chrześcijanami. Większość szeregowych zaciąga się na dziewięćdziesiąt dni. Chcą wykonać obowiązek i wrócić do domu z honorem. Latamy w tę i z powrotem po zrytym placu apelowym, a sierżanci uczą rekrutów, jak

załadować muszkiet, ale klnę się na Boga, że to wojsko nie jest zbyt lotne. Dobrze, jeśli uda im się nabić jedną z dziesięciu kul. Sheridan, Dignam, O'Reilly, Brady, McBrien, Lysaght – długa jak Missouri litania irlandzkich nazwisk. Kilku chłopaków służyło w pospolitym ruszeniu w Massachusetts, więc nie są tacy zieloni. Ale Boże Wszechmogący! Pan Lincoln powinien zacząć się martwić, mówi John Cole, przyglądając się temu z niemałym zdziwieniem. Potrafią sknocić najprostszą musztrę, wtóruje mu Starling Carlton. Przybył poprzedniego dnia z przyjazną fanfaronadą i uściskał Johna Cole'a, i jestem gotów przysiąc, że o mało go nie ucałował z radości. Pocąc się jak cmentarny mur. Lige Magan ściska nam dłonie i mówi, że ta nowa wojna to hałdujuda i jak się miewacie, chłopaki? Mówimy, że miewamy się dobrze. A jak ta indiańska dziewczeczka? – pyta się Starling. Och, całkiem nieźle, odpowiadam. Major jest oblegany jak Pan Jezus na weselu, ale i tak znajduje dla nas chwilę, uśmiecha się do nas jak to on i mówi, że pani Neale przekazuje uszanowania swoim starym wiarusom. Wybuchamy śmiechem, Starling Carlton uznaje to z jakiejś przyczyny za żart nad żartami i nie może przestać ryczeć z gębą w chmurach. Ale major wcale się nie obraża, a Starling Carlton wcale nie chciał go urazić. Rozgląda się, mruga i wytrzepuje pot ze starego kepi. Wiem, że dacie z siebie wszystko, chłopcy, mówi major. Tak jest, panie pułkowniku, woła Lige.

Cholera, na pewno damy, mówi Starling Carlton. Wiem, wiem, odpowiada major w eleganckim mundurze pułkownika. Słuchajcie teraz rozkazów kapitana, chłopcy, dodaje. Chodzi mu o kapitana Wilsona, spokojnego rudego Irlandczyka. Po nim są jeszcze porucznicy: Shaughnessy i Brown. Wyglądają na dosyć porządnych gości z Dublina. Dalej chorąży Magan. Dwóch kaprali, ja i John. I gulasz z ludzi z Kerry i innych głodomorów z zachodniego wybrzeża wyspy.

O gębach jak torfowy czarny dąb. Ci młodszy cali w uśmiechach – robili mądre miny i słuchali.

Oczy, nosy i usta każdego rodzaju. Synowie swoich mamuś. Doświadczyli już śmierci jednego świata i proszą los o przebaczenie, aby mogli walczyć o nowy. Każdego rodzaju gęby. W dniu, w którym

wyurszamy na Waszyngton, kapitan Wilson wygłasza piękną mowę, a ja wciąż widzę te wszystkie wpatrzone w niego i jego siodło mordy. Niech to szlag, każdy by się popłakał na takie wspomnienia, jeśliby miał odrobinę oleju w głowie. Prosimy tylko o to, powiada kapitan, abyście zachowali Unię w sercach i wybierali drogę, kierując się tylko tą jedną gwiazdą. Wasz kraj domaga się od was czegoś nadzwyczajnego, czemu nie sprosta jeden człowiek. Chce od was męstwa, siły i oddania, dając w zamian co najwyżej śmierć. Może nauczył się tego z jakiegoś traktatu o wojskowości. Gada jak Rzymianin, mówi Starling Carlton, wzruszony niczym damulka. Ale mowa ta dotknęła nas tak bardzo, że zaczęliśmy cośkolwiek rozumieć. Żołnierze wojują przeważnie za dolary, w tym wypadku dolarów trzynaście. Ale tym razem było inaczej.

Byliśmy gotowi odgryźć łby naszym wrogom i wypluć włosy. Miły człowiek, ten kapitan, z hrabstwa Wicklow, o melodyjnym jankeskim głosie.

Uszczęśliwieni uwolnieniem z obozu, maszerujemy na Waszyngton jazgotliwą granatową rzeką czterech regimentów, powołanych i dowodzonych przez wyniosłych bubków, wyglądających z daleka jak czarne kropki; nie dobiega do nas już ani jedno słowo z ich błogosławionych przemówień. Wszystkie na jedno kopyto, stwierdza Starling Carlton, ale każdy głupi widzi, że chodzi dumny jak paw. Cała cholerna armia kipi dookoła, działa polowe lśnią ekstatycznie i migotliwie przyszlą chwałą, nie mówiąc już o żołnierzach odsztyftowanych i ogolonych najlepiej jak się dało. Dwadzieścia tysięcy duszyczek to nie w kij dmuchał. Bo nie.

Do naszego karcianego stolika dołącza miły chłopak, co się nazywa Dan FitzGerald, więc znów jest jak w dawnych czasach w Laramie, tyle tylko, że biwakujemy pod trochę innymi gwiazdami, a po mieście chodzi cała masa dżentelmenów w granatowych mundurach.

Markietanki piorą nam mundury w baliach, mamy chłopaków o wspaniałych głosach, a nawet jedenastoletniego dobosza, co się nazywa McCarthy i jest naszym atutem. Nazwisko brzmi z irlandzka, ale McCarthy jest czarny i pochodzi z Missouri. Samo Missouri nie wie, czy jest po stronie Unii, czy Konfederacji, więc McCarthy

wyjechał, póki się tam na coś nie zdecydują.

W następnym rzędzie namiotów mieszkają same wielkie chłopy – działonowi od moździerzy.

Nigdy nie widział wcześniej takich mocarnych rąk ani takich grubych i szerokich luf w działach. Wyglądają jak armaty, co od roku nie żrą nic innego prócz melasy. Sterczą jak kuśki olbrzyma. Mówią, że będą potrzebne pod murami Richmond, ale Starling Carlton twierdzi, że nie ma tam żadnych murów. Więc nie wiemy, co oznacza ta plotka. Nasza kompania to przeważnie chłopaki z Kerry, a FitzGerald pochodzi z Bundorragha, zawszonej, jak mówi, i nędznej części hrabstwa Mayo. Nie spotkałem nazbyt wielu Irlandczyków, co opowiadają swobodnie o tych mrocznych sprawach. FitzGerald ma też fujarkę, więc gada inaczej. Mówi, że cała rodzina umarła z głodu, a on sam przeszedł przez góry do Kenmare, a miał dopiero dziesięć lat; potem jak reszta popłynął do Quebecu i cudem nie zapadł na gorączkę, zupełnie jak ja. Spytałem się go, czy widział w ładowniach, jak ludzie pożerali się nawzajem, na co mówi, że nie, ale widział gorsze rzeczy. Mówi, że w Quebecu otworzyli ładownie, wyciągając długie gwoździe z luków, i po raz pierwszy od czterech tygodni zobaczyli światło. Podczas rejsu dostawali tylko wodę.

Nagle w tym świetle zobaczył morze trupów pływających w wodzie w zębie, a potem tych, co jeszcze umierali, do ostatniego szkieletu. Nikt nie chce o tym opowiadać, bo to nie jest żaden temat do rozmów. Bo pęka od tego serce. Kręcimy głowami i rozdajemy karty. Nikt się nie odzywa przez jakiś czas. Cholerne trupy. Wszystko przez to, że byliśmy bezwartościowi. Byliśmy nikim. Tak chyba było. A myślenie o tym wypala powoli mózg. Same szumowiny.

Teraz przepasaliśmy lędźwie bronią i już się nie poddamy.

Czasem w obozie dochodzi do gwałtownych starć, ale nie z kawalerzystami. Niektórzy urodzeni w Ameryce żołnierze boją się cholernych Irlandczyków, bo taki jeden z drugim, jak ma akurat gorszy nastrój, może człowieka obalić i zmiażdżyć mu głowę stopą, aż się poczuje lepiej cudzym kosztem. Chłopaki z Irlandii pałają sprawiedliwym gniewem. Wybuchają gwałtownie.

Kto wie. Jako kapral pruję na nich mordę, żeby ich uspokoić. Co

nie jest łatwe. Mogę ich wsadzać do ancla, jak się nie uspokoją. Ale długo zapamiętują urazy i noszą je w sobie jak wyżeł kaczkę w pysku, więc czasem muszę podejmować salomonowe wyroki. Z drugiej strony taki Irlandczyk to najłagodniejszy człowiek w całym chrześcijaństwie. Dan FitzGerald, na ten przykład, dałby se odciąć za drugiego rękę. A weźmy takiego kapitana Wilsona, co przyплыł tu z kraju dopiero w zeszłym roku. Powiada, że jego rodzinne strony zmiierzają szerokim gościńcem wprost w bramy piekła. Ale jest najszlachetniejszym z ludzi. Był majorem w regimencie pospolitego ruszenia z Wicklow. Jego rodzina to musiało być lepsze państwo, ale on sam się nie nadyma i kompania go lubi. Wygląda na to, że jak nam coś rozkaże, to tak się stanie. Starling Carlton mówi, że z irlandzkim żołnierzem jest taki kłopot, że myśli, jak ma coś zrobić i wykonać rozkaz. Obraca go dziesięć razy w głowie. Gapi się na oficera, żeby się przekonać, czy to mądry rozkaz, czy też nie. A to nie jest dobra cecha u żołnierza. Każdy Irlandczyk myśli, że ma rację, i jest gotów wszystkich pozabijać, żeby to udowodnić. Starling Carlton twierdzi, że Irlandczycy to wściekłe psy. Potem uderzamy się dłońmi i wybuchamy śmiechem. Cholerny Starling Carlton, gruby niedźwiedź grizzly. Jest sierżantem, więc nie mogę go strzelić w mordę, choćbym chciał.

Dan FitzGerald zaprzyjaźnił się z naszym dobozem McCarthym i uczy małego irlandzkich melodii. Zmajstrowali irlandzki bęben z wyschniętej skóry padłego muła i spojonych klepek z beczki. Wystrugali pałeczkę i wszystko mają gotowe. Przeciwiczyli nasze tańce i w tych ponurych czasach przynoszą nam trochę radości. Bo nie ma ich za wiele. Pomaszerowaliśmy z wolna do północnej Wirginii, czekając na wieści, że ułożono już tory, ale nic z tego.

Maszerujemy.

Drużyna Lige'a Magana niesie nasz proporzec i to jest dopiero widok! Ładna chorągiew uszyta gdzieś przez zakonnice, jak mówią. Muszę pilnować moich żołnierzy od czoła po same tyły, tak samo ma John Cole ze swoimi i trzeba przyznać, że Starling Carlton zna się co nieco na wojskowej robocie, a do tego nie przeszkadza nam wcale dowodzenie kapitana. Co więcej, trzeba powiedzieć, że całe wojsko



ma diabelnie wysokie morale i chce dopaść rebeliantów najszybciej jak się da. Starling wozi sobie dupę na koniu, ale nawet bez wałacha jest silny jak prąd w samym środku rzeki. Pędzi jak potężny byk. Nie brakuje nam śpiewów starego sierżanta, bo McCarthy wybija krok na werblu. Lewa, prawa, lewa, prawa. Jak od początku świata w wojsku, bo to nigdy się nie zmienia. Trzeba dojść z jednego punktu do drugiego, a jedyny sposób to stary, dobry forsowny marsz. W przeciwnym razie wojsko się guzdra, żołnierze łamią kolumnę, żeby pić ze strumienia albo gapić się na mijane farmy, gdzie jakaś zacna niewiasta mogła upiec ciasto. Nic z tego. Przemierzamy dwulicową okolicę, północną Wirginię, nie wiemy, komu jest wierna. Nie warto tracić życia, żeby się o tym przekonać. Trzeba przyznać, że Wirginia jest pociągająca. Na zachodzie wyrastają wielkie góry porośnięte starą puszcza, która ani przez chwilę o nas nie myśli. Powiadają, że tutejsze farmy to znękanie i zapomniane przez Boga gospodarstwa, ale wyglądają na całkiem zasobne. Cztery regimenty to jazgotliwa rzeka, ale ponad naszą wrzawą słychać śpiew ptaków, a miejscowe psy przylatują na obrzeża swych królestw i obszczekują nas jak oszalałe. Tornister, muszkiet i szorstki mundur trzeba nosić paradnie. Bo inaczej ekwipunek cię zgniecie. Najlepszy sposób to wyobrazić sobie, że jest się silnym, najlepszym. Żaden żołnierz nie odstaje, bo nie dałby rady przeżyć nawet krótkiej wycieczki do Wirginijki, jak ją nazywa Dan FitzGerald. A poza tym czy nie po to maszerujemy, żeby udowodnić rebeliantom, jak bardzo się pomylili? Że popełnili życiowy błąd? Mamy całkiem niezły zapas uzbrojenia i miarkujemy pokazać im, co umiemy z nim zrobić. Nikt się nie zastanawia nad rozkazami, które każą nam maszerować, ale nie ma takiej potrzeby. Pokażcie nam tylko tych Jasiów Rebeliantów, mówi Dan FitzGerald. Czasem, maszerując, śpiewamy razem wojskowe pieśni i nie rozdajemy wirginijskim ptaszkom wydrukowanych tekstów piosenek jak w teatrze pana Noone'a, gdyż śpiewamy nowe wersje z szyderczymi tekstami, które niedawno doszyto. Z każdym możliwym i najplugawszym słowem prosto z burdelu.

Przed wymarszem wysłałam list do pana McSweny'ego z pytaniem, czy Winona miewa się dobrze; mam nadzieję, że go dostał. Nie

zapłacili nam żołdu przez pierwsze dwa miesiące, a jak w końcu zapłacili, wybuchła ogólna radość, żołnierze wysyłali pieniądze rodzinom, a my nie byliśmy wyjątkiem. Nasz katolicki kapelan zaniósł nasz żołd na pocztę i wysłał zebraną sumę do Grand Rapids pocztą wojskową. Nie zadawał podchwytliwych pytań na temat naszych żon.

Córka Johna Cole'a w zupełności mu wystarczyła. Ten kapelan to taki towarzyski, miły w obejściu Włoch i lubią go wszystkie szarże wszystkich wyznań. Dobre serce przenosi góry.

Ojciec Giovanni. Nieduzi mężczyźni nie nadają się za bardzo do wojaczki, ale on jest dobry w dokręcaniu poluzowanych śrubek w maszynie parowej żołnierza, który stoi przed Bóg wie czym. Po paru dniach marszu obejmuję służbę wartowniczą i zmieniam kaprala Dennihy'ego, a jak go widzę, nie mam wątpliwości, że cały się trzęsie. Nawet w świetle księżyca, gdy wymieniamy się hasłem i odzewem, widzę, że jest z nim niedobrze. Więc nie każdy czeka ochoczo na bitwę. Ale ojciec Giovanni zabiera się do niego i udziela mu wsparcia. W każdym razie rano Dennihy wygląda już znacznie lepiej. A zatem, kapralu, mówi do mnie kapelan, przysyłajcie do mnie każdego zapowietrzonego żołnierza. Tak zrobię, ojcze, odpowiadam.

Następnie, gdy docieramy do miejsca, w którym musimy rozwinąć szeregi, opada nas przeczucie straszliwego zagrożenia. Nadchodzą wieści, że chłopaki w szarych mundurach upstrzyli linię wielkiego lasu, ciągnącą się w dół tej okolicy. Na przekętym jałowym uwrociu wznoszą się trzy długie i wielkie łąki. Trawa na trzy stopy, która uszczęśliwiłaby każdą krowę.

Nasze baterie rozstawiono fachowo i do przedpołudnia mamy obsadzoną i zabezpieczoną sekcję.

Coś się dzieje w sercach żołnierzy, a gdyby dało się to zobaczyć, wyszłoby na to, że to coś ma osobliwe skrzydełka. Coś trzepocze im w piersi i bije mocno skrzydłami. Załadowaliśmy muszkiety i na naszym odcinku przykleka szereg pięćdziesięciu żołnierzy, a następnych pięćdziesięciu staje za nimi, dalej jest szereg z ładownicami, a najdalej niespokojne i milczące uzupełnienia, gotowe zastąpić tych, którzy padną. Działa polowe rozpoczynają ostrzał lasu i wkrótce

wpatrujemy się ze zdumieniem w wybuchy, jakich dotąd nie widzieliśmy. Ogień i czerń eksplodują w koronach drzew, a potem zieleń lasu rzuca się w przód i cofa, by zamknąć otwartą wyrwę. Wszystko to dzieje się w odległości ćwierć mili i widzimy szare mundury wyłaniające się spomiędzy poszarpanych drzew. Kapitan patrzy przez lunetkę i mówi coś, czego nie słyszę, ale jego słowa podają do tyłu i brzmią one tak, jakby mówił, że są tam jakieś trzy tysiące żołnierzy. Co wygląda na wielką liczbę, ale nas jest o tysiąc więcej. Na górnej łące przegrupowuje się kawaleria, a nasze baterie starają się ją ustrzelić. I udaje im się, więc rebelianci schodzą w dół, bo nie ma nic zabawnego w bombach spadających prosto na łeb.

Rebelianci biegną na nas w niespodziewanym, przynajmniej dla mnie, szyku, a gdy znajdują się w zasięgu naszej broni, oficerowie wydają rozkazy o gotowości, a potem wołają ognia, więc strzelamy. Ci pomyleni rebelianci padają jak muchy, ale zamykają otwierające się wyrwy z zielonym męstwem bombardowanego lasu i szarżują dalej. Każda nasza linia przeładowuje i strzela, przeładowuje i strzela, a teraz strzelają też rebelianci, niektórzy przystają na tę jedną chwilę, a niektórzy nie i pędzą dalej w dół. Nie jest to wolny marsz, którego nas uczono, ale rozkołysany dziki galop ludzi. Można by pomyśleć, że tak wiele trupów w ich szeregach powinno ich zatrzymać, ale nie, okrążają nas i to my teraz padamy od kuli prosto w twarz albo od kuli w ramię. Od tych wściekłych miniaturowych pocisków, co to otwierają się w biednym miękkim ciele. Kapitan wrzeszczy bagnet na broń, rozkazuje nam wstać i nacierać. Jeden z mojej drużyny wciąż klęczy z jakimś pomylnym przekonaniem, więc kopię go zgrabnie w tyłek, zrywa się i ruszamy. Teraz jesteśmy jak jedno biegnące serce, ale trawa jest długa i gęsta, więc nie da się biec godnie: potykamy się i klniemy jak pijani. Ale jakimś cudem czy wściekłym porywem siły wciąż stoimy na nogach i nagle trzeba koniecznie zetrzeć się z wrogiem, więc trawa niespodzianie przestaje być przeszkodą, a ktoś z naszej kompanii krzyczy *Faugh a Ballagh* i z naszych gardeł wyrывa się ryk, jakiego jeszcze nie słyszeliśmy, i pojawia się wielkie pragnienie zrobienia Bóg wie czego, chyba że owym pragnieniem jest wbicie bagnetu w szary zamęt przed nami. Ale nie tylko o to chodzi,

bo są też inne pragnienia czy choćby jedno pragnienie, którego nazwy nie znamy, gdyż nie stanowi tematu zwykłych pogawędek. Nie jest to pragnienie rozprawy z Indianami, którzy są całkiem inni, ale rozprawy z samym sobą, a przynajmniej ze swoim lustrzanym odbiciem. Te rebelianckie Jasie są bowiem jak my Irlandczykami, Anglikami i całą resztą. Galop, galop i rozkaz. Lecz nagle rebelianci skręcają w prawo i kierują szarżę na drugi koniec łąki. Musieli dostrzec zachodzący ich od tyłu wielki oddział naszych żołnierzy albo wypatrzyli gdzieś gotową machinę śmierci, lecz cokolwiek nimi powoduje, słyszymy nawołujących chaotycznie oficerów. Przerywamy szarżę, klękamy, ładujemy i strzelamy. Klękamy, ładujemy i strzelamy w bok wrogiej stonogi. Nasze baterie znów rzygają bombami, a konfederaci stają jak wryci niczym olbrzymie stado dzikich koni i cofają się dziesięć jardów, a potem znów biegną dziesięć jardów do przodu. Bardzo im zależy na dotarciu do osłony dalekiego lasu. Baterie rzygają za nami i rzygają za nami. Niektóre bomby lecą tak nisko, że chcą wyżłobić pomiędzy nami przejście, więc wielu żołnierzy pada na twarz, gdy pocisk wyrywa krwawy lej wśród żywych. W naszych kościach zalega się rozpaczliwe znużenie.

Ładujemy i strzelamy, ładujemy i strzelamy. Narasta grom i dziesiątki pocisków uderzają we wroga, rozszarpując go na strzępy i rozszarpując. Ogarnia nas poczucie własnej nikczemności i nadciągającej katastrofy. Potem jakiś wielki wykwit, jakby na łąkę spadła plaga wiosennego kwiecia, bo pod nogami mamy przedziwny dywan z płomieni. Zapaliła się trawa, pali się obficie, dodając ogień do ognia. Jest tak sucha, że zapala się od gorących powiewów, i tak wysoka, że źdźbła palą się całymi wielkimi kępami obmywającymi nogi uciekających żołnierzy nie zieloną miękkością, ale huczącym z wielką siłą ciemnym płomieniem. Ranni, którzy wpadają do tego pieca, wyją z przerażenia i urazy. Ból jest nie do zniesienia, żadne zwierzę nie wytrzymałoby go bez ryku, wyrywania się, cofania. Główne siły chronią się pomiędzy drzewami, a ranni zostają na poczerńiałej ziemi. Z jakiej to przyczyny kapitan rozkazuje nam przerwać ogień i posyła ten sam rozkaz ku armatom? Stoimy więc i patrzymy, a wiatr rozdmuchuje pożogę po łące, zostawiając za sobą

już to wyjątych, już to całkiem spokojnych ludzi. Ci spokojni pogrążają się w czarnych fałdach śmierci. Inni spośród tych, których nie tknął ogień, tylko jęczą, choć są już do niczego.

Pada rozkaz odwrotu. Nasza granatowa fala cofa się o dwieście jardów, z tyłu nadchodzą nieuzbrojone posiłki oraz sanitariusze wraz z kapelanem. Spośród drzew rebeliantów wyłaniają się tacy sami żołnierze drugiego rzutu i bez słowa zawieramy zawieszenie broni. Po obu stronach muszkiety lądują na ziemi, a drugoliniowe oddziały szarżują teraz nie po to, by strzelać i zabijać, ale gasić ogień na wypalonych na czarno akrach i zająć się umierającymi, porozrywanymi i poparzonymi. Jak tancerze wirujący na zwęglonej trawie.

## Rozdział 13

W umieraniu za kraj nie ma nic trudnego. To najłatwiejsza rzecz pod słońcem. Bóg świadkiem, że to prawda. Młody Seth McCarthy przyjechał z Missouri, żeby zostać doboszem w armii federalnej, a w zamian za to armia federalna urwała mu głowę szrapnelem.

Przekonaliśmy się o tym następnego ranka, wędrując po polu w poszukiwaniu papierów czy czegoś, co można wysłać rodzinom. Seth leżał z werblem przepasanym przez młody tors. Ale nie miał głowy. Nie był to ani jedyny, ani najkrwawszy widok po bitwie. Na czele listy są zwęglone ciała. Jak to możliwe, że Bóg chce, żebyśmy walczyli jak cholerni herosi, a potem zamieniali się w kawałek spalonego ciała, którego nie chcą nawet wilki. Oddział grabarzy dostał rozkaz pochowania z takimi samymi honorami i taką samą modlitwą i szarych, i granatowych. Ojciec Giovanni odmawia różaniec, a potem mruczy coś po łacinie. Chłopcy, którzy nigdy przedtem nie brali udziału w bitwie, nie byli uszczęśliwieni. Nie wiem, co takie krwawe widoki robią z ludźmi.

Niektórzy żołnierze trzęsą się w namiotach, z których nie da się ich wyciągnąć nawet na suszoną wołowinę, nawet na whisky. Trzeba ich gdzieś odesłać, bo pole bitwy nie jest na razie dla nich.

Nie potrafią utrzymać łyżki, a co dopiero muszkietu. John Cole bardzo się o nich martwi na swój dobroduszny sposób, a dwóch jego szeregowych nie żyje jak wydłubane ze skorupy ślimaki.

Dostali w plecy od swoich. Tak często bywa. Właśnie do mnie dotarło, jak osobliwie mroczna jest bitwa. Czy ktoś w ogóle wie, co się, do ciężkiej cholery, dzieje? Z pewnością nie ten chrześcijanin, którym jestem. Razem z Johnem Cole'em składamy Bogu dziękczynienie, stary Lige Magan i Starling też przeżyli, podobnie jak Dan FitzGerald. Bo jakże inaczej mielibyśmy grać, do diabła, w karty?

Po rozstawieniu wart wybieram się tego wieczoru samopas do niedużej młodej dąbrowy.

Zostaję sam na krótką chwilę. Przez karłowatą dębinę światło

księżycyca przesącza się jakby tysiącem bandaży. Myślę sobie, że człowiek ma coś z wilka, ale też coś o wiele gorszego. Myślę o Winonie i o tym, co przeszła. Nie wiem sam, kim przez tę krótką chwilę byłem. Sligo było daleko, jak w innym życiu, została po nim smuga ciemności. Światłem jest John Cole i jego wszechogarniająca dobroć. Nie mogę pozbyć się myśli o tym małym doboszu. Chodzi mi po głowie jak mucha. Powinien chyba dostać od życia więcej niż to, co przypadło mu w udziale.

Odważny chłopak z Missouri, radosny, nieliczący na nic. Jego głowa potoczyła się po jakiejś odległej łące w Wirginii. Miał takie jasne spojrzenie, a teraz chowają go w jakiejś dziurze.

Chryste, nie wystarczy po nim płakać. Jak policzymy te wszystkie dusze, które zatracą się w tę wojnę? Trzęsę się niczym ostatni suchy listek na gałęzi przed nadejściem zimy. Szczękają mi zęby. Chyba nie poznałem przez całe życie z imienia więcej niż dwustu ludzi. A dusze nie są jak rzeka, ale gdy przychodzi śmierć, spadają niczym wodospad na dno ziemi pod nami. Dusze takie nie są, ale ta wojna chce, żeby takie były. Czy mamy ich aż tyle do oddania? Jak to możliwe?

Zadaję te pytania szczelinie między dębami. Muszę stąd za chwilę odejść i zmienić wartownika na posterunku numer dwa.

Zmiana, stój! Przez pierś broń! Zmiana, na ramię broń! Naprzód marsz!

Jest tak cicho, że można by przysiąc, iż księżyc podśluchuje. I sowy, i wilki. Zdejmuję kepi i drapię się po zawszonej głowie. Za kilka dni, kiedy stąd odejdziemy, z gór zejda wilki i zaczną rozkopywać ułożone przez nas stosy kamieni. To jasne jak słońce. Dlatego Indianie kładą swoich zmarłych na żerdziach. My zakopujemy ich w ziemi, co jest podobno oznaką szacunku dla zmarłych. A skoro już mowa o Jezusie, to Jezus nigdy nie słyszał o tej ziemi. Tacy jesteśmy głupi. Bo tu wszystko jest inaczej. Wielki świat zapala się jak ogarek, bo na polanie zaczyna padać śnieg. Na jej wschodnim krańcu ledwo widoczna sylwetka olbrzymiego czarnego niedźwiedzia. Musiał tu być przez cały czas, węsząc za larwami i korzeniami. Nawet go nie usłyszałem. Może i on chciał uszanować tę dziwną ciszę? Wypatrzył mnie i przekreślił powolnym łukiem ciężki

łeb, żeby mnie lepiej widzieć. Przypatrywał mi się uważnie. Miał mądre, spokojne ślepie, wpatrywał się we mnie przez długi czas. A potem obrócił się cały, jakby wisiał na linach, i zniknął z chrzęstem w zaroślach.

Pada coraz gęstszy śnieg, a ja wracam krętą dróżką do obozowiska. Podaję strażnikowi tajne hasło. Węszę wzdłuż Alei E między namiotami. Pułkownicy i majorzy, i inni siedzą w wielkim oficerskim wigwamie. Płócienny całun jaśnieje blado. W środku mają najprawdziwsze lampy. Widać sylwetki siedzące plecami do wejścia. Wartownik stoi bez słowa przed namiotem w nowym śniegowym mundurze. Słyszę ciche głosy. Nie wiem, czy rozmawiają o wojnie, czy o rodzinach. Zapadły już prawdziwe nocne ciemności, a ich smoliste jądro w samym środku wszystkiego przejęło dowodzenie. Nad namiotami śpiących żołnierzy śpiewa lelek. Krótko, potem długo. Będzie śpiewał aż do końca świata nad tymi ośnieżonymi łąkami. Ale namioty są tu tylko na chwilę.

Przesuwamy się bliżej rzeki, gdzie mamy rozłożyć się na zimowisko. Żaden, co tego nie przeżył, nie wie, jak straszliwie nudne to były czasy. Człowiek wolałby czasem ostrzał z kartaczy. Prawie, niemal. Ja i John Cole mamy zabawę, gdy jednego wieczoru urządza się dla rozrywki występ poczernionych gąb. Powszechnie wiadomo, że występowaliśmy na estradzie, ale tu śpiewamy tylko jak dwaj grzeczni chłopcy, udając wuja Toma zawodzącego *My Old Kentucky Home*, i na tym kończymy. Żołnierze Unii z gębami w czernidle wyglądają trochę dziwnie. Kentucky z kolei opowiada się w wojnie po obu stronach, więc musimy zachować ostrożność. Dan FitzGerald, niczego nieświadom, przebiera się jednego wieczoru w sukienkę, a choć ma poczernioną twarz, śpiewa irlandzkie piosenki o *colleenach*, wzbudzając ku sobie skłonność z tuzina mężczyzn. Starling Carlton mówi, że chce się z nią ożenić. To również sobie odpuszczamy. Nie chcemy, cholera, znów chodzić boso, a wciąż – z tego, co wiemy – nie nadchodzą wieści, że świat się kończy i zagrzmiała ostatnia trąba. Łącznicy trafiają do nas tylko wtedy, gdy mrozy puszczają. Żołnierze mają raz po raz gorączkę, a niektórym najwyraźniej odbiera rozum. Kończy się nawet cienka whisky, a jak nie przyjadą wozy z



zaopatrzeniem, będziemy jeść własne buty. Kwestor też nie przyjeżdża, więc człowiek zaczyna się zastanawiać, czy jeszcze żyje, czy może śmierć uczyniła zeń trzęsącego się z zimna upiora. Gdy nadchodzi wiosna, ziemia jest wciąż zamarznięta, ale każą nam kopać długie rowy strzeleckie i redany dla dział. Wygląda na to, że rzeka ukrywa tutaj bród pod wiosennymi rozlewiskami. Kiedy się za niedługo pojawi, trzeba go będzie – stawiam na to – strzec. Starling Carlton mówi, że się cieszy, że został sierżantem i nie musi kopać. Mówi, że się zastanawia, po co w ogóle przyjechał na wschód: brakuje mu Fort Laramie jak cholera, a najbardziej zabijania Indianców. Nie chce pan pomóc czarnemu, sierżancie? – pyta się Dan FitzGerald. A o co ci się rozchodzi? – dopytuje Starling. Pomóc czarnemu odzyskać wolność, sierżancie, i zachować Unię, odpowiada Dan.

Pogięło was z tymi Murzynami, woła Starling Carlton, w życiu nie pomogę żadnemu czarnuchowi! Wygląda na prawdziwie zdezorientowanego. Nie wiesz, o co się bijesz? – pyta go Lige Magan, Bóg mi świadkiem, że nie wiesz! Wiem, odpowiada Starling Carlton. Tonem człowieka, który nie wie. Więc o co się bijesz? – pyta Lige. Jak to o co? Bo major kazał, dodaje, jakby to było najoczywistsze w całym chrześcijaństwie. A ty, o co się bijesz, do cholery?

Wracają śpiewające ptaki i cholerne motyle oraz wysocy oficerowie, którzy tak samo jak cholerne ptaki odfrunęli z pierwszym śniegiem. Ale nie można się spodziewać po paniczach, żeby kwitli w obozie jak kapusta. Pułkownik Neale chciał dojechać na zachód przed najgorszymi śniegami, ale udało mu się dotrzeć tylko do Missouri. Martwi się więc o bliźniaczki i panią Neale. Nadeszły doniesienia o jakichś ruchawkach na zachodzie, ale ma nadzieję, że wojsko sobie z nimi poradzi. Wojna przerzuciła oddziały wojskowe na pograniczu, ich miejsce zajęło lepiej lub gorzej obywatelskie pospolite ruszenie. Ale pułkownik Neale nie ufa pospolitemu ruszeniu. A najmniej temu z Konfederacji, włóczącemu się po okolicach i strzelającym do kaczek pływających w beczkach. Mówi, że tam, gdzie się robi wyrwa, zawsze pojawiają się śmieci. Do obozu nadchodzą najróżniejsze wieści. Wojna toczy się już wszędzie. Ale porządek dnia idzie własnym rytmem. Trąbka i rozkaz. Do obozu wtaczają się ciągnięte przez woły

ciężkie wozy z zaopatrzeniem. Dobrze, bo mało brakowało, a żarlibyśmy kule. Mamy po zimie mały park sztywnych. Ojciec Giovanni nie wylewa whisky za kołnierz, ale zawsze odprowadza ciała. Trębacz, któremu usta przymarzają do ustnika. Ma zmasakrowane wargi od małych odmrożeń, bo nie ma czasu ich leczyć.

Wkrótce dociera do nas wieść, że na południe maszeruje wielka armia, która będzie się przeprowadzać przez rzekę naszym brodem. Kapitan dochodzi do wniosku, że idą na miejscowość, co nazywa się Wytheville, a stamtąd przejdą przez Pasma Błękitne. I sprowadzą żalobę na żony rebeliantów w Tennessee, mówi dalej kapitan Wilson. To może prawda. Albo i nie. Ale woda opadła, a głęboka na dwie stopy płycizna jest żółtobrazowa od pokrywających dno kamieni.

Przybywają uzupełnienia – nowi rekruci w miejsce tych, co zginęli, Irlandczycy jak zawsze.

Miejskie śmiecie, mówi Starling Carlton. Mimo to witamy ich okrzykiem radości. Dobrze widzieć małe listki i dobrze witać nowe twarze. Wszystko się zmienia i nie czujemy się już tak przygnębieni. W żołnierzach też wzbierają soki.

Rebelianci umyślili sobie pewnie, że jeśli rozbiją nas nad rzeką, przejmą przeprawę i zatrzymają marsz wojsk federalnych. Wiemy już, że prawym brzegiem idą na nas wielkie siły.

Nawet ślepy dojrzałby z odległości dziesięciu mil chmurę pyłu i żołnierski rozgardiasz. Jest ich z dziesięć tysięcy. Przynajmniej dywizja chłopaków z dziurami w portkach. Nasze regimenty liczą tylko cztery tysiące, ale jesteśmy okopani jak pieski periowe. Najlepsze na świecie stanowiska strzeleckie ciągnące się przez milę, wszystkie w przemyślnych redanach w kształcie litery V, a na obu flankach baterie. Mamy tyle pocisków, że można by z nich ułożyć egipskie piramidy. Mamy też regiment drugoliniowy i niezłą ciżbę kompanii na prawym skrzydle. Starling Carlton mówi, że dwa do jednego to sprawiedliwa przewaga dla kurzych nówek. Na co Lige odpowiada mu, że chyba nie umie liczyć. Starling na to, że Lige jest kłamliwym zdrajcą z Tennessee. A o co ci się rozchodzi? – dopytuje Lige. A nie jesteś z Tennessee? Jestem. To czemu nie walczysz po

stronie rebeliantów, skoro cuchniesz tak samo jak oni? Mój ojciec zastrzeliłby cię jak psa, gdyby to usłyszał, Starling, mówi Lige, gównu wiesz, na niczym się nie znasz, więc mi nie gładź o Tennessee. Znam się na takich przechrztach, co wbijają ci nóż w plecy, jak staniesz do nich tyłem. To podejdź tu i powiedz mi to prosto w twarz, rzuca Lige. Mówię ci to prosto w twarz. Stoję dwie stopy od ciebie. Cholera, Lige. I obaj wybuchają śmiechem, jak mają to w zwyczaju. Co i dobrze, bo chwilę wcześniej wyglądali tak, jakby chcieli się pomordować.

Pułkownik dokonuje inspekcji drugiej linii, a sierżanci schodzą się z rozkazami. Zaczyna się na poważnie i tak już będzie. Lige wypisał na kawałku papieru swoje nazwisko i nazwę farmy, z której pochodzi, i przypina to na piersi przed bitwą. Nie chce, żeby jego ciało wrzucono do bezimiennego dołu i nie powiadomiono ojca. Jego ojciec ma już osiemdziesiąt dziewięć lat i sam stoi nad grobem, zresztą kto wie. Potem Lige odchodzi, żeby zająć się chorągwią i oddziałem. Stawia nasz proporzec z koniczyną i harfą. Zielony jak kwietniowy listek, ale zakurzony i porwany. Wydyma się na wietrze od rzeki i nabiera kształtu. Nadciągający rebelianci hałasują jak jasna cholera, więc nie da się ukryć, że robi się nerwowo, a niektórym nawet niedobrze. Wszystkie głowy odwracają się na południe, żeby zobaczyć, jak to wygląda. Są tam takie garby wzgórz i zagajniki karłowatych drzew, a dalej ciemna szeroka rzeka, płynąca z naszej lewej strony na południe. Przyjazna, osłaniająca nas rzeka. Na koniu nadjeżdża pułkownik Neale, rozmawia przez chwilę z kapitanem Wilsonem, ale nikt nie słyszy o czym. Obaj wydają się w dobrych humorach. Potem pułkownik puszcza konia kłusem wzdłuż umocnień i kiwa głową żołnierzom. Mamy z prawej wielką kompanię kawalerii, ale jazda jest ukryta między drzewami i trudno orzec, czy będzie szarżować. Niewykluczone, że pogalopuje tam, gdzie rebelianci przerwą linię. Ale nie zamierzamy do tego dopuścić, objedliśmy się solonej wieprzowiny i sucharów i nie chcemy, żeby na północ pobiegła wieść o naszej porażce. Takie proste rzeczy zajmują nam myśli. Ale czasem w żołądkach rośnie przemożny strach i żołnierze muszą się wysrać, a latryny są za daleko. Żołnierzom się odbija i jedzenie podchodzi im do gardła, jakby znów chciało przywitać się ze światem. No i trzeba

pamiętać o szczaniu w spodnie. Tak wygląda żołnierskie życie. Teraz już lepiej widać oddziały rebeliantów, ich pułkowe sztandary tu i ówdzie; obecnie rozciągają szyki i jak można sobie wyobrazić, ich pułkownicy starają się nad tym zapanować. Bo pierwszym kuzynem porządku jest chaos. Kuzyn chaos we własnej osobie.

Czujemy niemal drżenie ziemi pod sobą, a nieszczęsny Starling Carlton, choć pilnuje pozycji żołnierzy, rzyga wieprzowiną, gwałtownie odkrztuszając. Ale nie traci oddechu i niespecjalnie przejmuje się tym, czy go ktoś widzi, czy nie. Ociera zarzyganą gębę i nie spuszcza ani trochę z tonu, jeśli to możliwe. Strach jest kuzynem odwagi. Przynajmniej mam taką nadzieję, bo go odczuwam. Przyglądamy się rebeliantom i Bóg mi świadkiem, że dziesięć tysięcy to może być mało. Bardziej jak cała cholerna armia. Widzimy konie ciągnące armaty po obu stronach, widzimy obliczających zasięg artylerzystów i nie mijają dwie sekundy, a nad naszymi głowami leci pierwszy pocisk, drąc się przy tym jak dziecko. Chcą rzucić na nas cztery tysiące piechoty i ta przerażająca masa wojska ma się wbić w środek naszej linii – oto nadchodzą. I zanim zdążyliśmy się zorientować, mamy już ich w zasięgu naszych dział, a ku rebeliantom leci chmura szerszeni armatnich pocisków. Wybuchy, drzewa dymu i ognia pośród nacierającej niezliczonej rzeszy. Ponad bitewną wrzawą padają wydawane krzykiem rozkazy naszych kanonierów, sierżanci i kapitanowie wyszczekują komendy i czuje się, jak cały korpus zbiera się w jedną zaciśniętą pięść strachu i trwogi. Święta Matko Jezusowa, dobry Boże. Zza rzeki płynie gęsty czarny dym po wybuchu amunicji. Starling Carlton, już bez śniadania w brzuchu, stoi obok mnie i śmieje się do rozpuku. Dlaczego się śmieje, nie wie nawet on sam, a w każdym razie najmniej.

Kapitanowie wydają komendę ognia i odzywa się tysiąc muszkietów wypluwających kule ku idącym na nas diabłom. Jaś Rebeliant na chudych nóżkach w burych szmatach, a wszystko, co myśli, a myśli wiele, niesie pod czapką i kapeluszem każdego wyobraźnego kroju. Południe nie dostało mundurów, śrutę, a często i butów. Połowa z tych wkurwionych sukinsynów lata boso.

Jak mieszkańcy slumsów w Sligo. Cholera, pewnie stamtąd

pochodzą, przynajmniej w części.

Więc idą na nas. Teraz widzę lepiej ich pułkowe sztandary, a ten cholerny pośrodku, co wali prosto na nas, ma koniczynę i harfę jak nasz. Zwykła pojebana wojna. Widzę przynajmniej dziesięciu chorążych z chorągwiami. Prosty żołnierz nie potrzebuje innego rozkazu. Zobaczysz swoją chorągiew i idziesz. Nie zostawisz jej przekłębemu wrogowi. Widzę jeszcze, jak wynędziali są ci chłopcy, chudzi i jakby nie z tej ziemi, jak duchy i upiory. Mają oczy jak dwadzieścia tysięcy brudnych kamieni. Rzecznych kamieni – myślę i wygląda na to, że z sekundy na sekundę coraz bardziej mi odbija. Jestem tak przerażony i oszalały, że szczyzny swobodnie ciekną mi po nogawce wojskowych spodni. Pęcherz mi puścił i mam mokre nogi.

Niech to szlag. Jak kobyła leżąca na polu. No dobra, mam czyste buty. Po naszej pierwszej salwie pada jakichś dwustu rebeliantów. Jaś Rebeliant będzie miał mnóstwo pochówków. Widzimy kawalerię na wschód od naszych umocnień, pięćset koni cwałuje na lewej flance rebeliantów.

Bóg wie, czyje działa powalają część z nich na ziemię. Pociski nie trafiają, jest tyle dymu i krzyków, i wrzasków, że nic nie widać. Żegnaj, Wirginio, witaj motłochu i zamęcie.

Przeładujemy najszybciej, jak pozwalają nam na to palce. Założę się, że Starling Carlton chciałby teraz mieć tego spencera, za którego próbował zabić Najsampierw Schwytał Konia. Sam chciałbym mieć taki karabin. Ładowanie muszkietu zajmuje dwie albo i trzy minuty. Cholera.

Cel, pal. Cel, pal. Natarcie się załamuje, rebelianci się cofają. Biorą na siebie cały ogień z przedpiersi i redanów, nikt by nie dał rady. Nie dają rady nas ustrzelić i nie mogą się do nas zbliżyć, żeby zdobyć umocnienia. Zalać nas jak powódź i zatopić nas na śmierć. Nie dają rady.

Nasza kawaleria skręca do środka, tratując uciekających. Tnie plecy i głowy szablami. Ich własna kawaleria pędzi na naszą. Dobry Jezu Wszchemogący. Ścierają się jak wijące się demony, zakręcając i unosząc szable, bez najmniejszego wahania strzelając z pistoletów prosto w twarze.

Padają tuziny za tuzinami. Płatanina przerażonych uciekających żołnierzy, stających dęba koni, spadających z siodeł jeźdźców i Bóg wie jakich jeszcze nieszczęść. Nasza kawaleria cofa się galopem i pozwala cholernym rebeliantom skryć się za pagórkami. O, do diabła, nie! Mają jeszcze jeden regiment kawalerii, jadący prosto na wycofujących się żołnierzy, którzy muszą zawrócić, jeśli nie chcą zostać stratowani. Więc znów nadchodzą. Strzelamy jak opętani. Pal i pal. Całe morze rebeliantów zawraca i można by przysiąc, że wygląda to jak fala, której nie zdołał cudownie powstrzymać stary Kanut Wielki. Znów zaczął się odpływ. Patrzymy, jak się cofają przez mniej więcej kwadrans, a potem wznosimy okrzyk radości, wstajemy i przyklekamy, dysząc jak bydło bez wodopoju. Bóg podpala świat, ale Starling Carlton opiera się o przedpiersie i kładzie wielki łeb na ziemi, jakby ją całował. Ale jest wyczerpany jak myśliwski pies po całym dniu polowania. Umęczył swoje wielkie ciało tak bardzo, że padł jak nieżywy. Słyszę, jak mamrocze coś do ziemi ubłoconymi ustami. Jest sucho jak w piecu, lecz ze Starlinga cieknie tyle potu, że z błota można by utoczyć garnek. John Cole nadchodzi od swojej drużyny i przykleka przy moim boku. Opiera głowę o mój prawy bark, jakby chciał usnąć. Naprawdę wydaje mi się, że zasypia. Jak dziecko po kołysance. Nagle zasypia chyba cały regiment. Żadna siła nas już nie obudzi. Zamykamy oczy i prosimy o powrót męstwa. Jeśli wierzymy w bogów, modlimy się do nich. Powoli odzyskujemy moc. Żadne podziękowania żadnego kapitana nie przynoszą takiej ulgi.

## Rozdział 14

Przed zmierzchem te łachudry znów atakują. Wiatr skreślił teraz na wschód i pomarszczył rzekę milionami maleńkich fal. Koronka od milionów koronczarek. Zmierzch zapowiada jak zwykle powolna kurza ślepotą na ziemi, a na niebie długa, wysoka smuga koloru jabłek. Sinawe góry w oddali ciemnieją, a potem czernieją powoli. Zanika ołów w kryształach. Może nie jesteśmy tak gotowi do walki jak za pierwszym razem, więc po wszystkim w latrynach i szpitalu polowym padają mocne słowa. Rebelianci musieli podpełznąć jak ta czerwień na niebie. Choć najpierw atakuje nas znów kawaleria: musieli wybadać naszą słabość, bo wlewają się przez właściwe odcinki i składowiska zapasów i chcą rzucić konie na silniejszą drugą linię. Za nią są już tylko cholerni pułkownicy i cała reszta. Tak czy siak, żołnierze rzucają się na nacierające konie. Widzimy to, stojąc głupkowato w umocnieniach. Zapadający zmrok czyni nas jeszcze głępszymi. Wyczuwamy nadchodzącą rzeź, a chcąc jej uniknąć, wystawiamy się na nią. Pierwsze kohorty nocy też są naszym wrogiem. Sam świat i jego odwieczna natura są przeciwko nam.

Setki żołnierzy odpierają kawalerię najlepiej, jak potrafią, a konie znów skręcają na wschód i rozmywają się w smugach dopiero co rozpoczętej nocy. Pułkownik musiał się domyślić, co będzie dalej, bo rozkazał nam wyjść z umocnień i zejść na dół na dzikie pole, by stawić czoło nadciągającej rebelianckiej piechocie, jeśli nadejdzie. Niespecjalnie podoba nam się wyłażenie za przedpiersia. Przecież sami je kopaliśmy, więc po co z nich wychodzić? Kłęby i pustkowia cienia wcale nas nie ciągną. Dan FitzGerald patrzy na mnie, czekając na rozkazy, a ja milczę. Mamy iść czy co? – pyta. Wolałbym nie, odpowiadam. Ale pewnie powinniśmy, dorzucam. Na chwałę Bundorragha, woła ze śmiechem. A co ta Bundorragha kiedykolwiek dla ciebie zrobiła, Dan? – pytam. Nic, odpowiada. Sam widzisz, mówię. Ale gramolimy się z rowu, wszyscy się potem gramolą, jakiś, powiedzmy, tysiąc żołnierzy i na szczęście rebelianci nie nasłali na

nas teraz całej armii, tylko pojedyncze kompanie. Może na rozpoznanie. Może tylko potrafią kryć się za pagórkami. Więc stawiamy dziesięć kroków na świeżej wirginijskiej trawie, a rzeka płynie w milczącym majestacie, obramowana małymi falami; zupełnie przypadkowo kompania wychodząca nam naprzeciw to ta sama zbieranina Irlandczyków, którą widzieliśmy wcześniej.

Zupełnie przypadkowo, bo wojna rządzi się przypadkami. Lige Magan wzniósł chorągiew i idzie pośrodku naszych kompanii. Schodzimy po trawie równym krokiem, z bagnietami na nieco opuszczonej broni. Nie podejmiemy walki, póki tamci nas nie zaatakują. Zaczynają kłusować.

Kapitan Wilson rzuca rozkaz, więc i my ruszamy biegiem. Nikt nie chce tego robić, ale nikt nie waży się wychylić. Słyszemy pierwsze trzaski strzałów rebeliantów i w jednej chwili pole rozbrzmiewa hukiem, bo odpowiadamy ogniem na ogień. Nie ma czasu na powtórne ładowanie muszkietów, pędzimy więc z wysuniętymi bagnietami. W gardle wzbiera mi cichy okrzyk, który jak mi się zdaje, narasta, a potem ten sam okrzyk wydobywa się z innych gardeł i teraz ten ryk jest już rykiem tysiąca, a kapitan ryczy najgłośniej. Przeraziłoby to samego archanioła. Ryk jest głośniejszy od jakiegokolwiek znanej nam wichury i kryje się w nim przedziwna pożądlivość i coś na kształt okrucieństwa. Rebelianci przed nami pozbywają się broni, rzucają muszkiety, zdjąwszy z każdego bagnet, i teraz idą na nas z bagnietami w jednej i nożami w drugiej ręce. Nigdy czegoś takiego nie widzieliśmy. Gdzieś daleko w ciemności słysząc tętent koni i modlimy się, żeby to była nasza kawaleria. Cięcia i pchnięcia szabel, wystrzały z pistoletów. Jeźdźcy pochylają się, by ciąć ścięgna i mięśnie. A wszystko w coraz większych ciemnościach. Czy atak o zmierzchu był szaleństwem, czy przebłyskiem geniuszu? Irlandzcy rebelianci też prują mordy, wywrzaskują świństwa po gaelicku. Potem wpadamy na siebie i zaczynamy zapasy, pchnięcia, dźgnięcia.

Mamy do czynienia z silnymi chłopami, potem dowiadujemy się, że byli to robotnicy kolejowi i dokerzy z Nowego Orleanu. Wielkie chłopcy, przywykłe do mordowania i piekła. Nie przybiegli w



ciemnościach, żeby się z nami kochać. Chcą nam odebrać życie, wbić się w nasze serca, zamordować nas, uciszyć i powstrzymać. Mam przed sobą wielkiego sierżanta, idącego na mnie z kordelasem, więc, chcąc nie chcąc, wypruwam mu flaki bagnetem. Szlachetni przeciwnicy zmagają się z nami przez dziesięć minut i w tym czasie setki padają na ziemię. Dziesiątki jęczą i wzywają pomocy. Ciemności są niemal zupełne, a rebelianci znów zbierają się do odwrotu, a kawaleria pozwala im uciec, bo za cholere nie da się niczego dojrzeć w tej gęstej jak zupa nocy.

Rebelianci i żołnierze federalni krwawią tak samo w ciemnościach.

Potem zapada dziwna cisza. Ranni wydają odgłosy niedorzętego bydła. Podcięto im gardła, ale nie do końca. Słyszą bulgot, widzą wystawiane w udreko kończyny, a wielu ma rany brzucha zapowiadające najstraszliwszą agonię. Potem cicho wstaje księżyc i wyciąga długie palce niemal nieprzydatnej poświaty. Wracamy do rowów i zmuszamy wojsko do działania: ranni są zwożeni do obozowiska nowymi szpitalnymi karetkami. Punkt opatrunkowy przetrwał szarżę rebelianckiej kawalerii, a w środku na posterunku trwa chirurg z piłami i bandażami. Jest więcej ran od kul, niżli się spodziewaliśmy, a choć po prawdzie nie słyszałem dział podczas naszego natarcia, wielu nie ma rąk albo członki wiszą im na strzępach skóry. Sanitariusze zapalają wielkie naftowe lampy i zaczyna się piłowanie. W tej okolicy nie ma prawdziwego szpitala, więc trzeba rznąć tutaj i teraz albo nigdy. Wszystko, co da się zabandażować, owijamy mocno. Za chirurgicznym stołem rośnie sterta oberżniętych kończyn. Niczym towary wystawiane przez brudnego rzeźnika. Dorzucamy do ognia, rany przyżęga się żelazem do piętnowania, trzymamy ryczących z bólu żołnierzy. W głębi duszy wiemy, że nie przeżyją. Wda się gangrena, a choć możemy wykopać ich na północ, nie zobaczą następnych świąt. Najsampierw groźna czarna plama, a potem piekło. Widzieliśmy to setki razy. Ale chirurg i tak robi swoje na wszelki wypadek. Poci się jak Starling Carlton. Za wielu ich, za wielu. Może niektórym się poszczęści, modlimy się o to. Oto Lige Magan z nożem w szyi. Stracił przytomność, leje się przez ręce, jakby spał. Może dali łachudrze eteru? Umazany krwią chirurg obwiązuje

nieporęczną ranę Lige'a i każe go zabrać. Dawajcie następnego, dawajcie następnego. Się robi, doktorze, ale uratuj Lige'a. Nic mu nie będzie. Zabierajcie tego trupa, krzyczy chirurg. Trudno go winić. Będzie operował przez następne siedem godzin. Niech Bóg prowadzi jego obmyte krwią ręce. Nasi towarzysze. Przerwana w połowie litania nędznych żywotów.

Gdy rany nieszczęsnego Lige'a trochę się zblizniają, chcą przywrócić go do służby. Ale jak się okazuje, nie może ruszyć głową. Ten irlandzki kordelas z Nowego Orleanu załatwił go na cacy. Tak czy siak, ponieważ nie jest już pierwszej świeżości, przechodzi z honorami do cywila w samym środku wojny i mówi, że wróci pewnie do Tennessee, żeby zająć się ojczulkiem.

Mówi, że będą żyli razem jak dwa stare sukinkoty. Ojczulek Lige'a wciąż obrabia trzysta akrów, więc może przyda mu się pomoc. Mówiąc o tym wszystkim, Lige wydaje się ukontentowany, ale we mnie naturalną koleją rzeczy budzi się jakiś smutek. John Cole ściska Lige'a z wielką czułością, podobnie jak i wszyscy. Tylko Starling Carlton patrzy wilkiem i wygaduje niestworzone rzeczy, ale to tak samo, jakby go czule żegnał. Bez Lige'a Starling nie będzie już sobą, dobrze o tym wiemy. Moim zdaniem ludzie zrastają się z czasem. Nie da się myśleć o Starlingu bez myślenia o Lige'em, jak o wiewiórcie bez myślenia o drzewie. Wielki spocony Starling będzie musiał sobie znaleźć nowego druha. A to nie jest łatwe na dłuższą metę. Starling mówi mi na stronie, że martwi go to, że jak Lige nie może kręcić głową, to nie zauważy zbójów, którzy mogą się nań zaczaić. Myśl ta bardzo go martwi. Bo Tennessee, ciągnie dalej, nie jest już spokojną okolicą. Jak żołnierz Unii chce wracać do Tennessee? Dobre pytanie. Tylko że Lige nie wróci tam w granatowym mundurze. Gdy odchodzi, dają mu jakieś podniszczone cywilne ubranie. Nie wygląda w nim na farmera, co ma trzysta akrów. Wygląda jak zbój, którego obawia się Starling. Ściskamy sobie ręce i Lige odchodzi, a do Tennessee będzie się musiał dostać przeważnie na własnych nogach. Mówi, że musi być jakaś droga przez Pasma Błękitne. Musi.

Ale nikt tego nie wie. Ale wyrusza. Napisz, jak będziesz mógł, przykazuje mu John Cole. Nie zapomnij. Nie zapomnę, obiecuje Lige,

nie dam wam odejść. John Cole milknie na te słowa. John jest wysoki i chudy i pewnie niewiele maluje się na jego obliczu. Lubi podejmować decyzje, a potem wprowadzać je w życie. Ma moje wsparcie, chce wszystkiego, co najlepsze na świecie, dla Winony i nie zaniedbuje kolegów. Gdy Lige Magan daje mu do zrozumienia, jak bardzo stali się sobie bliscy, na twarzy Johna Cole'a coś się jednak pojawia. Może przypomina sobie własną chorobę, kiedy nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą, a Lige tańczył wokół niego jak żona.

Dlaczego jeden człowiek powinien pomagać drugiemu? Nie ma takiej potrzeby, bo świat o to nie dba. Świat to tylko przemijający przemarsz okrutnych chwil i długich monotonnych godzin, kiedy nic się nie dzieje, prócz picia cykorii i whisky, gry w karty. Niczego dodatkowo się nie wymaga. Jesteśmy dziwnymi ludźmi, my, żołnierze wysyłani na wojny. Nie stanowimy praw w Waszyngtonie. Nie przechadzamy się po tamtejszych wspaniałych trawnikach. Zabijają nas burze i bitwy, ziemia zamyka się nad nami i nikt nie musi mówić przy tym ani słowa, bo nam to nie przeszkadza. Cieszymy się każdym oddechem, bo widzieliśmy przerażenie i strach, które na chwilę ustąpiły w tym królestwie. Nie dla nas pisano biblie ani inne książki. Nie jesteśmy pewnie tym, co nazywa się ludźmi, gdyż nie spożywamy chleba żywego. Wszak jeśli Pan Bóg szukał dla nas uzasadnienia, wskazał pewnie palcem tę miłość pomiędzy nami. Jak wtedy, gdy szuka się czegoś po omacku w nocy i zapala przypadkowo lampę, której światło wszystko ocala. Meble w izbie i twarz człowieka, który w naszych oczach jest odzyskanym skarbem. John Cole. To on jest pokarmem. Chlebem ziemi. Światło lampy omiata jego oczy, odpowiada mu inne światło.

Ta rebeliancka armia dała nam się mocno we znaki, więc luzują nas i odsyłają na północ.

Pułkownik jest bardzo ukontentowany, że daliśmy odpór, jak to nazywa, rebeliantom. Pewnie tak, choć jakim kosztem. Przeprowadzamy się na drugą stronę w miejscowości Edwards Ferry i znów jesteśmy na ziemiach Unii, co napawa nas przedziwnie dobrym samopoczuciem.

Najgorsze są żołnierskie buty i John Cole poobcierał sobie stopy od błota i żwiru przedostających się pod onuce. Potrzebuję dziesięciu

chwil, żeby obmyć mu stopy w rzece z tego brudu. Przez całą naszą wirginijską marszrutę nie widzieliśmy ani jednego farmera. Pouciekali i pochowali przed nami wszystko, co się dało. Teraz farmerzy nie są tacy powściągliwi i gdy mijamy jakieś gospodarstwa, dają nam świeże jedzenie, gdyż od dawna mamy już po uszy suchych racji.

Zapiekanki prosto z pieca. Jeśli tak gotują w niebie, to ja się piszę od razu. Docieramy do obozowiska głównych sił i jest nas ze dwadzieścia tysięcy srających do jednego dołu. Wśród pagórków i farm powstało wielkie dziwne miasto. Jeśli Maryland nie jest ładnym miejscem, to Pan Bóg jest dziewczyną. Jesteśmy utrudzeni do cna i kapitan Wilson chce, żebyśmy odzyskali siły. Stawia granicę, gdy Starling Carlton znajduje wiśniowy sad oddalony o trzy pagórki i chce, żebyśmy się tam zakwaterowali. Idziemy po niego ze sznurem, żeby go sprowadzić. Siedzi na wiśni. Co ty wyprawiasz, do cholery? – pyta się go Joe Ling, ordynans kapitana. Nie gadam z tobą, odpowiada Starling, nie gadam z szeregowcami. Więc Joe Ling wraca do obozu i sprowadza samego kapitana, który staje pod wiśnią i zrywa z gałęzi owoce, żuje i wypluwa pestki. Dobre wiśnie, mówi. Ładnie żeście to wykombinowali, sierżancie Carlton. Uprzejmie dziękuję, panie kapitanie, odpowiada Starling, schodząc z drzewa, staram się najlepiej, jak umiem. Mam go związać, panie kapitanie? – pyta się szeregowy Ling. Związać? – powtarza kapitan, nie, macie zdjąć czapki i narwać w nie pełno wiśni. Więc wróciliśmy dobrze obładowani. Starling Carlton szedł swobodnie i spokojnie obok mnie. Mówili, że nad Maryland często ściągają burze, ale Bóg zesłał na ziemię ten dzień, żeby przypomnieć ludziom o raj. Było tak przyjemnie i ciepło, że złego słowa powiedzieć się nie da. Pola i wąskie dróżki pokryte cieszącą oko zielenią, wiśnie obwieszane małymi czerwonymi planetkami, obietnica jabłek i gruszek, jeśli tylko burze nie strącą zawiązków. Od takich widoków żołnierzowi chce się uprawiać ziemię, osiąść w jednym miejscu na resztę dni. W obfitości i spokoju. Dobrze nam idzie i Starling opowiada o okolicach Detroit latem i że jak był mały, to chciał zostać biskupem. Potem przystaje na suchym gościńcu i gapi się na tę suchość, mam wrażenie, że już się nie ruszy i że jednak najlepiej będzie go związać. Podejrzewam, że

oszałał, jakby obżarł się szaleju. Jesteś dobrym kompanem, mówi do mnie bardzo cicho. Kapitan, idący kilka jardów przed nami, odwraca się i woła: Idziecie czy nie? Idziemy, odpowiadam.

Każdego miesiąca, gdy akurat odnajdzie nas pancerna karetka kwestora, wysyłamy dziesięć dolarów Poecie McSweny'emu dla Winony Cole. Wróciła do pracy w minstrelsach i czerni sobie twarz dla pana Noone'a, więc ma własny majątek, jeśli trzy dolary na tydzień można za taki uznać. Nasz majątek to ponad dwadzieścia przewiązanych sznurówką listów od Winony. Donosi nam o wszystkim ładnym kaligraficznym pismem. Modli się o nasz powrót i nie chce, żeby nas zastrzelili a) rebelianci albo b) pułkownik za dezercję. Píše, że ma nadzieję, iż dobrze nas karmią oraz że się kąpiemy przynajmniej raz w miesiącu, na co zawsze nalegała.

Traktuje nas jak królów, nie mogliśmy się skarżyć. Pan McSweny pisze, że Winona się rozwija. Najśliczniejsza dziewczyna w całym Michigan, bez porównania. Ba, mówi John Cole.

Nic dziwnego, czyż nie jest córką Przystojniaka Cole'a? – pytam. No. John Cole śmieje się, kiedy to mówię. John Cole jest zdania, że nie pożyjemy długo i że któregoś dnia wyczerpiemy nasze zasoby w Banku Czasu. Ale modli się, żeby wcześniej zobaczyć Winonę. John Cole nie będzie już bardziej pobożny.

Potem rzucono nas do Tennessee. Przed wyjazdem napisaliśmy krótki list do Lige'a Magana, żeby się za nami rozglądał, a w odpowiedzi dostaliśmy smutną wiadomość o śmierci jego ojca. Rebelianci zabrali go z farmy i powiesili za Unię, wyrzynając przy tym całą jego trzodę. Nie zarekwirowali świń. Chyba woleli nie jeść federalnej wieprzowiny. Przeklęci idioci i mordercy. Ojciec Lige'a Magana uwolnił niewolników i oddał im w dzierżawę ziemię, żeby nie umarli z głodu. Rebelianci uznali to za zdradę Konfederacji. Zgadza się. Lige napisał, że całą drogę z Wirginii przebył pieszo, bo nie mógł jechać koleją przez stan konia Tennessee walker. Nie oglądałem się za siebie, pisał w formie żartu. Bo miał zeszywniałą szyję. Rebelianci opanowali całą kolej, tłumaczył. Jego farma znajdowała się w miejscowości Paris w hrabstwie Henry, ale znalazł tam tylko kości i żałobę. Powtórzyliśmy to wszystko Starlingowi

Carltonowi, miarkując, że będzie ciekaw wieści, ale Starling się zdenerwował i nie chciał dalej słuchać.

Wypadł z namiotu, jakby natychmiast musiał się wysrać. Co mu jest, do cholery? – zapytał John Cole.

Pułkownik Neale był z nas ukontentowany, ale jego przełożeni nie byli ukontentowani nim, więc zastąpili go kapitanem Wilsonem, który awansował na majora, a oprócz tego przysłano nam nowego pułkownika, dla którego jesteśmy tak samo ważni jak zeszłoroczny śnieg.

Pułkownik Neale znów jest majorem i wraca do Fort Laramie, a Starling Carlton chciał jechać za nim, ale podpisał kontrakt, który uwolni go z radosnej pańszczyzny dopiero za miesiąc.

Pułkownik powiedział, że z chęcią przyjąłby nas wszystkich w Fort Laramie, co zabrzmiało bardzo miło. John Cole mówi, że kiedy wojna się skończy albo upłyną trzy lata naszej kontraktowej służby, obojętnie, co wydarzy się wcześniej, moglibyśmy zabrać Winonę i zwać do pułkownika. Czemu nie? Cóż, mówię, po pierwsze, ty i tamtejsza aura jakoś nie pasujecie do siebie. Może nie aura, a woda? A poza tym co z przebieraniem się w sukienki? No, waha się John Cole, moglibyśmy zwać aż do cholernego San Francisco. Znaleźć tam sobie jakiś teatrzyk i pokazać prostaczkom, czym jest sztuka. Albo zostać u pana Noone'a, bo czemu nie? – pytam.

Świat jest jak ostryga, odpowiada John Cole, na to wygląda. Więc snujemy plany jak młodzi małżonkowie podczas miodowego miesiąca. Nasza służba kończy się za jakieś trzy miesiące czy coś koło tego. Nikt nie przypuszcza, że do tego czasu wojna dobiegnie końca, a niektórzy nawet mówią, że nigdy się nie skończy. Rebelianci są silniejsi niż kiedykolwiek, a ich kawaleria jest jak śmiertelna błyskawica, powiadają. Choć nie mają odpowiedniego zaopatrzenia, prawie w ogóle nie mają co jeść, a ich konie są wychudzone i tylko płoną im oczy. To zagadka. Może wszyscy są upiorami i nie muszą jeść?

Mija miesiąc i nasz stary kumpel Starling odbiera papiery i wrzuca je do worka – dwóch stóp kwadratowych juty. Jest upalny wczesnojesienny poranek, a Starling przed odejściem otwiera niespodziewanie duszę. Przeszliśmy razem przez wiele rzezi, a

wszystko, czego wspólnie dokonaliśmy, składa się całkiem słusznie na wzajemny szacunek. Starling Carlton to najdziwniejszy człowiek, którego kiedykolwiek uznałem za przyjaciela. Jest jak księga, której nie da się łatwo odczytać. Litery zlewają się ze sobą, jest w niej wiele plam i zaczernień. Widziałem, jak ten człowiek zabijał innych ludzi bez mrugnięcia powieką. Zabij albo ciebie zabiją.

Wszystko, czego jak mówi, nienawidzi, jest dlań najcenniejsze, o czym pewnie wie albo i nie.

John Cole daje mu na pamiątkę myśliwski nóż z trzonkiem z rogu, a Starling gapi się na prezent, jakby to była wysadzana klejnotami korona. Dziękuję ci, John, mówi. Odchodzi za ukochanym majorem i może do tego sprowadza się istota człowieka, co się nazywa Starling Carlton. Że jest wierny.

## Rozdział 15

Ci z nas, którzy wciąż terminują u pana Lincolna, ruszają forsownym marszem do Tennessee, ale przez wiele dni nie możemy odnaleźć wroga. To dosyć dziwne, bo Jasio Rebeliant jest podobnie wszędzie. Choć nie tam, gdzie go szukamy. Obijamy się po lasach i cholernie obolałych na pierwszy rzut oka polach Tennessee i nikt nas już nie karmi zapiekankami prosto z pieca. Forsowny marsz to jedno, a nadążanie za nami taborów z zaopatrzeniem to zupełnie coś innego. Maszerujemy i maszerujemy jak cholerne marionetki. Major Wilson dowodzi teraz trzema kompaniami: A, B i C, choć równie dobrze może dowodzić całym regimentem, bo nowy pułkownik tylko żłopie rum. Skąd go, do diabła, bierze, to bardzo zasadne pytanie. Przez większość czasu śpi na wozie chorągwi i nie wygląda za dobrze. Major Wilson nieźle go kryje, ale i tak. Ten gość pułkownik ma na nazwisko Callaghan, co wiele tłumaczy. Chyba zapalę świeczkę wotywną za majora Neale'a w następnym kościele, do którego dojdziemy.

Po wielu dniach takiej konfuzji dogania nas oddział kawalerii z rozkazami dla pułkownika; major Wilson odbiera je i czyta szybko, żeby nie powiększać zamieszania. Widzimy przed sobą wielką chmurę dymu wznoszącą się ku niebu, słyszymy głuche stęknienia pocisków, jakby olbrzym chodził po ziemi. Przed nami toczy się pewnie wielka bitwa, a my mamy wystąpić w roli korpusu uzupełnień. Cóż, zrobimy to. Dan FitzGerald kiwa głową do stojącego u jego boku stadka rekrutów, którzy nigdy nie wachali prochu. Gotowiście? – pyta. To dobrze, chłopcy.

Dan nie jest żadnym oficerem ani nikiem takim. Ale chłopaki pobladły, zastanawiając się, co się, do cholery, dzieje. Potargane jak kosodrzewina brody, wiejskie gęby. Załadujcie teraz muszkiety, chłopcy, mówi Dan spokojnie niczym ich starszy brat. To jedyna szansa, żeby przeżyli. Ktoś, kto pokaże im, kiedy wykazać się męstwem, a kiedy brać w imię dobrego Boga nogi za pas niczym



złodziej.

Musimy dokonać szybkiej zmiany, bo chłopaki przed nami bronią linii od trzech dni. Zdaje się, że jesteśmy z dawna wyglądaną odsieczą. Ciemne pola i podeptane zbiory, wielkie niebo ciemniejące melancholijnie przed wieczorem. Wątpię, żeby zapalili świece w małych farmerskich domkach ukrytych w zagajnikach. Nie chcą ściągać żołnierskich demonów oraz wielkich ciem z Tennessee. Budzisz się rano i cały namiot jest upstrzony tymi mendami. Jest nas kilka tysięcy i przełazimy przez ostatnie płoty ze sztachet, po czym wspinamy się na łagodne wzniesienie. W kościach daje się wyczuć wzmożony wysiłek, a na twarzach rekrutów maluje się zdziwienie i strach, jakby maszerowali wbrew własnej woli. Zadaniem kaprali jest uczynić to godnym i sprawiedliwym. Włożyć im do głowy, że to męska robota. Szkolono ich przez sześć tygodni w dźganiu worków z piaskiem bagnetami i noszeniu ekwipunku na plecach. W kopaniu umocnień. Jeśli teraz uciekną, i tak stracą życie, zastrzeleni przez idących za nami kapitanów.

Więc lepiej maszerować, chłopcy z Massachusetts. Powoli spotykamy opuszczających stanowiska żołnierzy w granatowych mundurach. Dostali pewnie rozkaz, żeby się wycofać, skoro my pniemy się pędem pod górę. Wyglądają, człowieku, na bardzo wymęczonych i najmocniej przemokniętych żołnierzy w dziejach świata. Deszcz na tych wzgórzach jest jak pływanie w strumieniu. Kim jesteście, chłopaki? – pyta się jeden ze zbiegających chwiejnym krokiem w dół. Irlandczycy, odpowiada któryś z rekrutów piskliwym głosikiem kurczęcia. Bardzo się cieszę, że was widzę na tym stoku, mówi tamten. To, jak przypuszczam, dodaje ducha tym młodym. U mego boku pojawia się John Cole, który pyta: Co to za człowiek? Nie wiem, John, odpowiadam. Nie poznałeś go? – pyta John. Nie. To był kawalerzysta Watchorn, klnę się na swoje życie, mówi. Kawalerzysta Watchorn nie żyje, odpowiadam. A tego drugiego sami rozstrzelaliśmy.

Maszerujemy dalej. Teraz schodzi nam naprzeciw wielu żołnierzy. Tam, u góry, jest gorąco, chłopaki, uważajcie na siebie, mówią. *Faugh a Ballagh*. Niektórzy są znoszeni przez towarzyszy, a z ich ran na

spokojną ziemię cieknie krew. Wkrótce odgłosy wystrzałów i armatniej kanonady są już bliżej. Wychodzimy spomiędzy drzew, a przed nami na opadającym gołym stoku widać linię frontu i ostrzał. Rebelianci nie są daleko w swoich długich rowach strzeleckich. Znacznie lepiej ukryci od naszych. Jakim cudem zdołali podciągnąć tutaj artylerię?

Pewnie inną, znaną sobie drogą. Granatowi ładują i strzelają. Mamy przynajmniej jakie takie przedpiersia do osłony. To już coś. Nasze przybycie powoduje masową wymianę posterunków.

Witają nas chłopcy o wyczerpanych, zaczerwienionych albo dziwnie pobielających twarzach.

Dzięki Bogu, mówią. Dostali rozkaz, żeby się wycofać przez nasze szeregi. Gdy odchodzą, tu i ówdzie rozlega się radosny okrzyk. Chwała Bogu, chwała Bogu.

Kończy się dzień, już nic nie widać, zmierzcha i gwałtowny ostrzał ustaje. Rebelianci milkną, tak jak i my. Ciemno, że oko wykol. Na niebie jest tyle chmur, że nawet gdy wschodzi księżyc, nie przedostaje się przez nie choćby najwęższy promień. Jakbyśmy wszyscy oślepli w wyniku niepojętej katastrofy. Słodki Jezu, mówi Dan FitzGerald. Czy była ciemniejsza noc?

Potem przypominamy sobie, że nic nie jedliśmy przez cały długi jak życie dzień i pytamy się, czy jest jakaś szansa na soloną wieprzowinę. Żeby nas dogoniła. Trzeba jakoś nakarmić te przykucnięte w rowie dusze. Ale wygląda na to, że nic z tego, tak mówią. Rozstawiamy warty i zwiadowców gęsto jak kołki w płocie. Nie chcemy, żeby kurze nóżki podkradły się do nas po kryjomu. Ich działa mają dobrze wymierzony zasięg, więc jeszcze przez jakiś czas posyłają nam wysokim łukiem pociski. Nasze baterie są, jak się zdaje, na prawej i lewej flance, pewnie na płaskim gruncie, i przez pewien czas strzelają w duecie z rebeliantami, odpowiadając im ochoczo. Ale w nieprzeniknionych nocnych ciemnościach wszystko ustaje, przedstawienie skończone, śpiewacy zmywają z twarzy charakterystykę i idą do domu. Major Wilson dostrzega kłopotliwość naszego położenia. Najgorsze jest to, że nie mamy przewagi ani w wysokości linii frontu, ani liczebnej. Straszliwy pat i bez wątpienia

cierpienie, bo w minionych dniach odnotowano duże straty. Słyszymy, że wyniesiono stąd i ze dwustu ludzi. Przeważnie martwych jak króliki. W ustach mamy, niczym smak chleba, zgrozę tego miejsca. A ja czuję w kościach, że jest nas za mało, żeby się utrzymać. Podpowiada mi to instynkt zrodzony z lat służby. Jesteśmy jakby na dwóch szalach, rebelianci i federalni. A każdy żołnierz jest jak ziarnko pszenicy.

Wygląda na to, że szale przechylają się na ich stronę. Sytuacja jest taka, że nikt nie czeka poranka, bo poranek sprowadzi wojnę. Nie śpimy, choć ten i ów pochyła głowę. Ale przedtem musi przestać ścisnąć kurczowo muszkiet, jakby go dusił. Odetchnąć spokojniej i pomodlić się, żeby nie wyszedł księżyc. Przez całą czarną noc pograżamy się we własnych myślach, a o brzasku światło zaprasza nas pierwszym muśnięciem do swego królestwa. Muska liście i twarze żołnierzy. Czy można zatem kogoś winić, że rebelianci atakują nas z obu stron, kompletnie nas zaskakując? I na dodatek rozlewają się po całym zielonym wzgórzu przed nami.

Strzelamy bez ładu i składu, ale to, co nas otacza, jest nagłe i niepowstrzymane jak powódź. Nikt nie wie, ilu ich jest. Pewnie wiele tysięcy. Według nas co najmniej dwie brygady, ale major Wilson jest zdania, że to cały korpus, i wydaje rozkaz, by się poddać. Poddać! Lepiej, żeby to powiedział kurzymi nóżkami, które dźgają nas bagnietami i strzelają nam z muszkietów prosto w twarz. Jeśli nie mają czasu przeładować, odwracają muszkiety i rozłupują nam głowy kolbami.

Walczylibyśmy z nimi o nic, ale wzdłuż całej linii kapitanowie i majorowie zgodzili się poddać, więc podnosimy ręce jak ogłupiali. W przeciwnym razie wybiją nas do nogi. Przez pół godziny i tak straciliśmy tysiąc żołnierzy. Dziesięć tysięcy diabłów opadło nas niespodzianie. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, ale tego dnia jest chyba po drugiej stronie.

Jasio Rebeliant jest więc uszczęśliwiony, wrzawa cichnie powoli, a potem mamy wątliwą przyjemność, bo leżymy na twarzach, przyjrzeć im się z bliska. Prawdę mówiąc, nie wyglądają wcale na diabły. Niektórzy wyśmiewają się z nas, szturchają nas muszkietami,

żeby zbić nas w stado. Jeśli kiedykolwiek czułem się jak zbłąkana owieczka, to właśnie wtedy.

Chmary smętnych granatowych mundurów zbitych w gromadę. Niech to szlag. Wstyd i ujma są znacznie gorsze od kul. Przynoszącym ulgę balsamem było pewnie to, że nas z miejsca nie wyrznęli. Mówiono, że rebelianci zabijają jeńców, gdy warunki są ciężkie, ale ci lodowaci chłopcy tego nie zrobili. Nigdy nie słyszeliśmy o nich niczego dobrego i nikomu nie podoba się, że jesteśmy tak blisko. Zdaje się, że te chłopaki służą w dywizji z Arkansas czy skądś tam.

Gadają, jakby żuli żołędzie. Niech to szlag. Dan FitzGerald odzywa się do tego, który go pojmał, i dostaje kolbą w twarz. Przewraca się, podnosi, milczy. W jednej z naszych kompanii służyli kolorowi chłopcy, teraz wybierają ich spośród jeńców. Obstawiają nas gęsto strażnikami, wygląda na to, że przygotowujemy się do wymarszu. Padają rozkazy wydawane dziwnymi południowymi głosami. Żeby słuchać rozkazów rebelianta! Najśłodszy Jezu. Wciąż czujemy się wolnymi ludźmi, choć jesteśmy jeńcami, a nasze serca przepęlnia pożałowania godna siła.

Rebelianci ustawiają w szeregu kolorową kompanię, twarzą do starego okopu. Jakichś stu chłopaków. Nie wiedzą, co się stanie, tak samo jak my. Pada rozkaz i pięćdziesięciu rebeliantów strzela do czarnych, a ci, których oszczędzili, ruszają z krzykiem do ucieczki, ale na ich spotkanie wychodzi pięćdziesięciu innych białych, którzy kończą zadanie. Czarni wpadają do poszarpanych dołów, dobijają ich pistoletami, a potem odchodzą jak po polowaniu na kaczki. John Cole wpatruje się we mnie bez słowa, z bezgranicznym zdumieniem. Tu i tam spłoszone spojrzenia.

Ale i posępne oraz, co dziwne, zamglone satysfakcją. Jak po skończonej robocie, którą trzeba było wykonać – to rebelianci. Każą nam ustawić się w szeregach, każą nam maszerować, więc maszerujemy.

Andersonville. Słyszeliście kiedyś o takim czymś? Pięć dni marszu, a jeśli jest gdzieś miejsce niewarte spaceru, to z pewnością jest nim Andersonville. Na nogach trzyma nas tylko brudna woda i lepkie kawałki kukurydzianego chleba, jak go nazywają. Lecz nie jest to ani

kukurydza, ani chleb, gdyby ktoś mnie zapytał. Pilnuje nas regiment kurzych nóżek, który fasuje ten sam paskudny furaz co my. Najgorsza żołnierska banda, jaką kiedykolwiek widziałem.

Niektórych dręczy malaria, innych wole albo co gorszego. Jakby strzegły nas upiory. Po drodze padają setki naszych, a ci, co są ranni, muszą szukać chirurga w niebie. Skopują ciała do rowów, tak jak tych czarnych. W rowach Tennessee i Georgii śpi snem wiecznym wielu żołnierzy w granatowych mundurach. Stopy tak nam spuchły, że nie mieszczą się w butach albo nie można ich zdjąć, jeśli chce się je wzuć po raz drugi. Głód jest jak rosnący w żołądku kamień. Ciężar głodu przygniata do ziemi mila po mili. Rozdarte serca i nieustanny strach. Trzeciego dnia wielka burza, która jest jak aria o naszym nieszczęściu. Ciemność nie daje się wygnać z głowy. Pełne dziesięć tysięcy akrów granatowych i czarnych chmur, i piorunów migoczących ostrą żółtą farbą ponad lasami, gwałtowne krzyki i dudnienie grzmotu. Potem gęsta ulewa mówiąca o nadchodzącej śmierci. Wlecemy się noga za nogą, bosi albo w mlaszczących butach. Mamy okrągłe wyschnięte twarze, wybielone jak strąki kwiecistej uczciwości. Gdybyśmy ukryli noże, wyrznelibyśmy serca tym rebeliantom. Pierwszego dnia i drugiego. Rozglądamy się, chcąc rozszarpać i obrócić w perzynę wszystko, co wokół – gdyby tylko dano nam szansę. John Cole mówi, że widuje raz po raz w głębi duszy tego dobosza McCarthy'ego, który dał z siebie wszystko i zginął. I widuje też raz po raz tych kolorowych żołnierzy wrzuconych plugawie do rowu. Nie mów o tym głośno, Johnie Cole, napominam go. Potem, trzeciego dnia, w burzy dokonuje się jakaś bolesna zmiana. Słońce śmierci wypala nam wnętrzości, a księżyc śmierci ssie naszą krew. Krew w nas zwalnia, młodość jest za nami, czujemy się jak starcy u kresu lat.

Przygnębienie i rozpacz. Takie znużenie, jakiego nigdy nie opisano w annałach wojujących ze sobą ludzi.

Wchodzimy do wielkiego obozowiska i widzimy hordy nieszczęsnych żołnierzy w łachmanach. Niegdysiejszych żołnierzy Unii. Wokół z tysiąc namiotów Sibleya i pałatek. To nasze miasto. Wydeptana aleja dzieli obozowisko na dwie części, a od niej odchodzi

z pięćdziesiąt ścieżek do brezentowych rezydencji. Są tu ze trzy tysiące jeńców, może więcej.

Trudno policzyć. Pojedyncze obłupane drzewa też wyglądają jak jeńcy za wysokim płotem z bali. Wieże strażników pilnujących tych w dole. Wchodzimy do obozu, my, wszyscy Irlandczycy. Wszędzie pełno strażników, stoją z opuszczonymi muszkietami, a konfederaci siedzą przy ustawionych w stopy strzelbach, może czekają na rozkaz, żeby nas rozstrzelać. Nie wiemy. Smród jak z dupy samego diabła. Wszędzie skorupa i plamy brudu, zabijają wszystko, co rośnie.

Widzimy żołnierzy srających w latrynach na otwartym polu. Chude księżycowe tyłki. Potem wchodzimy po trzynastu do namiotów, ja, John i Dan jesteśmy razem. Dan trzyma się blisko nas, bo dręczą go mroczne wspomnienia. Mówi, że już to widział, a ja początkowo nie wiem, co ma na myśli. Marsz dał mu się mocno we znaki, ze stóp cieknie mu jakby żółta woda. Jeśli jest tu jakiś chirurg, musi być na przepustce, bo nikogo nie widzimy. Cholerni strażnicy dorzucają nam do namiotu dwóch czarnych, sądząc po ich uśmiechach, wydaje im się, że to świetny żart.

Jednemu z nich dłoń wisi na kawałku skóry po cięciu szablą, nie ma też palców u stóp. Potrzebuje doktora i jęczy przez cały dzień i całą noc na brudnym klepisku. Mogę się tylko patrzeć. Jego towarzysz próbuje go opatrywać, ale wszystko na nic, ból jest zbyt wielki. Mówi, że nazywa się Carthage Daly, i najpierw przygląda się nam, żeby się przekonać, czy go nienawidzimy. Dochodzi chyba do przekonania, że nie, bo mówi nam, że walczy już od roku.

Walczył w Wirginii i był też, jak powiadają, pod murami Richmond. Wygląda na porządnego gościa i chce pomóc rannemu, który jak mówi, nazywa się Bert Calhoun. Młody Bert Calhoun potrzebuje moim zdaniem chirurga, ale nie ma tu takiego. Cały obóz jeniecki potrzebuje chirurga.

Naszą wesołą alejką namiotów dowodzi rebeliancki nadporucznik Sprague. Na każde pytanie odpowiada śmiechem, jakby chciał powiedzieć: wy, chłopaki z Północy, jesteście przezabawni.

Bardzo go rozweselamy. Pytam strażnika, czy może coś zrobić dla Berta Calhouna, a on też wybucha śmiechem. Jakbyśmy byli

komediantami od pana Noone'a. Moglibyśmy objechać całe Południe z naszym przedstawieniem, sądząc po tych reakcjach. Dłoń tego chłopaka trzyma się na kawałku skóry, mówię. Nie możesz sprowadzić kogoś, kto ją obetnie? Chirurg nie zajmie się czarnuchem, odpowiada strażnik. Szeregowy Kidd, tak go wołają. Przecież musisz jakoś pomóc rannemu, mówi John Cole. Nie wiem, odpowiada szeregowy Kidd. Powinien pomyśleć o tym wcześniej, zanim wziął przeciwko nam broń do ręki. Cholerne czarnuchy. W naszym namiocie jest ciemnowłosy chłopak, który mówi, żebyśmy przestali prosić o pomoc dla Berta Calhouna.

Mówi, że strzelają do wszystkich, którzy pomagają czarnuchom. Mówi, że dokwaterowali nam czarnuchów, żeby się przekonać, po której jesteśmy stronie. Mówi, że widział wczoraj, jak strażnik zastrzelił naszego, bo zadał takie samo pytanie jak John Cole. Patrzę na Johna Cole'a, żeby przekonać się, jak to przyjmuje. Kiwa głową jak mędrzec. Chyba rozumiem, mówi.

Bert Calhoun umiera, nie on jeden zresztą. Nadchodzi posępna zima o lodowatej duszy, a w całym obozie nie ma choćby patyczka. Połowa jeńców jest bez butów, a każdemu brakuje jakiejś części umundurowania. Nie mieliśmy szyneli, bo walczyliśmy latem i jesienią. A zimno wyżera skórę jak szczur. We wschodnim rogu obozu wykopali szeroki i długi dół i każdego dnia wrzucają do niego zmarłych. Po trzydziestu po jednej nocy. Może więcej. Nie mamy nic do jedzenia prócz tego gównianego kukurydzianego chleba. Dostajemy na dzień kromkę grubą na trzy palce. Klnę się na Boga, że nikt zrodzony z kobiety nie przeżyłby na takiej racji. Mija tydzień za tygodniem, a my modlimy się, żeby pan Lincoln wymienił nas na rebelianckich jeńców. Kiedyś tak się robiło. Ale nadporucznik Sprague informuje nas z rozkoszą, że pan Lincoln nie chce z powrotem żadnych szkieletów. Znaczy się nas. Nie chce wymieniać tłustych od unijnej wieprzowiny konfederatów na szkielety. Nie jesteście już dla niego przydatni, mówi Homer Sprague. I znów się śmieje. Jesteśmy dlań krynicą radości. Rzeką dobrej zabawy. Leżymy w namiotach tydzień po tygodniu. Nie ma po co się ruszać, chyba żeby zanieść żałosny tyłek do srania. Latryna. Smród, jakiego nikt nie umie sobie

wyobrazić. Nigdy jej nie opróżniają.

Przysięgam, że w tej latrynie można by wyczytać długą, straszliwą historię kukurydzianego chleba. Nocą temperatura spada znacznie poniżej ludzkiej wytrzymałości. Śpimy wtuleni w siebie jak ślimaki. Zmieniamy się na brzegach. W nocy można umrzeć z mrozu na serce i wielu umiera. Trafiają do dołu. Po sześciu miesiącach nie przejmujemy się tym już tak bardzo. Usiłujemy żyć, ale podstępnie wolelibyśmy umrzeć. Przystojny John Cole, Przystojny John Cole.

Dan FitzGerald – sama skóra i kości. John zresztą też. No i ja. To niesamowite, że człowiek może być tak chudy, a mimo to oddycha i się rusza. W południowym rogu obozu stoi szałas, w którym trzymają rebelianckich więźniów; osadzają tych chłopaków, wyprowadzają i rozstrzeliwują.

Swoich, więc co powiedzieć o nas. Panie Lincoln, błagam, przyślij nam dobre wieści. Pani Lincoln, służyliśmy ci wiernie. Nie zostawiaj nas tutaj. Nadporucznik Sprague musi być diabelskim pomiotem, bo śmieje się bez przerwy. Może dlatego, że w przeciwnym razie powyrywałby sobie wszystkie włosy i oszalał. Pewnie tak. Oni też nie mają co jeść, więc szkielety pilnują szkieletów. Nie oszczędzają na naszych racjach, nie mają co nam dać.

Przysięgam, że widziałem strażnika bez butów. Co to za obłąkana wojna? Jaki stworzyliśmy świat? Nie wiemy. Bez względu na wszystko ten świat dobiega końca. Dożyliśmy dni ostatnich i oto nadeszły. Tak jak piszą w cholerniej Biblii, mówi John Cole. Jak to się stało, że leżymy pokotem na ziemi i pilnują nas, żebyśmy nie wyszli za wysoki drewniany płot obozu w tej lesistej krainie? Jak to się stało, że mróz gryzie nas i rozszarpuje nam członki jak wściekły pies? W imię czego, do jasnej cholery? John Cole na swe wieczne potępienie dogląda Carthage'a Daly'ego.

Nie wypowiada się w jego imieniu, nie wypowiada się przeciwko niemu, ale dzieli się z nim każdą kromką kukurydzianego chleba, bo strażnik nie da czarnuchowi ani kawałka. Ani okrucha.

A John Cole dzieli się z nim połową niczego. Rozrywa każdą kromkę na pół i jak nikt nie patrzy, podaje połowę Carthage'owi. Przyglądam się temu dzień po dniu przez trzy, cztery miesiące.



Muszę przyznać, że to cud, jak śmiertelnikom sterczą kości. Widzę jego biodra i pęczniejące kolana, kości nóg. Ramiona jak gołe gałązki uschniętego drzewa. Leżymy obok siebie całymi godzinami, a John Cole kładzie mi dłoń na czole i tak trzyma. John Cole, mój ukochany.

## Rozdział 16

Powiadają, że to najmroźniejsza zima w dziejach świata. I chyba tak jest. John Cole mówi, że jeśli coś się szybko nie wydarzy, klnie się na Boga, że umrze. Odpowiadam, że John Cole nigdy nie umrze i że podpisał się nad kropkowaną linią, więc musi się tego trzymać. Ale widzę, że nie jest z nim najlepiej. Sra wodą, a jak idziemy na wschód do latryny, musimy się na sobie podierać. Jesteśmy tylko dwoma chłopakami pośród tysięcy. Nikomu się nie przelewa.

I szlachetnym chłopcom, którzy triumfowali w zażartych bitwach, i tchórzom z ich tchórzliwymi postępkami ukrytymi w beczasowej mgle wojny – wszyscy są równi pod słońcem i księżycem Andersonville. Homer Sprague, który jak przypuszczam, jest królem tego zakazanego bajzlu, też głoduje. Co dziwne. Wszyscy strażnicy i rebelianci przy ogrodzeniu chudną. Na Boga. Na Południu nic już nie ma, mówią. Unia spaliła jesienią wszystkie zbiory, spaliła ziemię, spaliła domostwa tych ludzi. A mimo to opowiadają nam, upadłym, o wielkich zwycięstwach i o Richmond, które nie poddało się jak Vicksburg. Zresztą mogą nam mówić, co chcą, bo i tak nie poznamy prawdy. A sami wierzą we wszystko, co mówią. A my bolejemy, musząc tego słuchać.

Czy ten piękny świat widział kiedyś tak długi rabosz cierpienia? Są z nami chłopcy zewsząd, przeważnie ze Wschodu, ale też z kilku stanów, które graniczą z Kanadą. Są z nami farmerzy, bednarze, stolarze, osadnicy. Kupcy i markietanie służący sprawie Unii. Teraz są takimi samymi obywatelami. Nękanymi przez głód i przeorywanymi przez choroby. Mamy tu wspaniałe przypadki puchliny, szkorbutu i ospy. Mamy bóle w piersiach, kościach, dupie, stopach, oczach i twarzy. Wielkie złośliwe wysypki czerwieni znaczące setki twarzy. Ciała dręczone przez tasiemce, wszy i miliony robali. Ludzi tak chorych, że umierają na śmierć.

Silnych na początku, których trudno jest zabić. Nie wolno chować jedzenia, trzeba je wepchnąć do gardła zaraz po wyfasowaniu, bo

inaczej je ukradną. Obywamy się prawie bez kart, bez muzyki, tylko cicho, uparcie cierpimy. Szczęściarzom odbiera rozum. Innych zabijają po przekroczeniu linii śmierci – rzędu białych patyków pod ogrodzeniem. Nie wiedzą, gdzie są.

Stoją brodaci, oniemiała, oszalała, gapiąc się w wejścia do namiotów. Stoją tak przez długie tygodnie, a potem kładą się na cały dzień. Czarni – Jaś Rebeliant szczerze ich nienawidzi.

Czterdzieści batów dla rannego. Podchodzą i strzelają im w łeb. John Cole otwiera usta, ale uciszam go raz za razem.

Potem Abe może poczuł się winny, nie wiem, bo wypuścił z Illinois kupę rebeliantów i spłukał ją z powrotem na południe, taką samą kupę naszych posłano na północ. Pan Lincoln w końcu ma rację, bo jesteśmy tylko szkieletami odzianymi w łachmany. W migotliwej w naszych marzeniach Georgii zostały jednak tysiące. Dan FitzGerald nie dostał wymówienia i musieliśmy uścisnąć mu dłoń na pożegnanie. Chłopakowi, który doświadczył siedmiu rodzajów rzezi. Wszystkie te twarze, których nikt nie ocali, skazane na śmierć. Leżymy obok siebie w otwartych wozach i czujemy, jak klekoczą nam kości w jakiejś dziwnej melodii. Gdy wjeżdżamy w granice Unii, ładują nas do karetek, które toczą się na północ. Wszędzie widać wojenną biedę. Wygląda na to, że chcemy zetrzeć Amerykę z mapy świata. Farmy w ruinie, spalone miasta. Zdaje się, że pod naszą nieobecność nastąpił koniec świata. John Cole wygląda spokojnie spod brezentu karetki. Czarnymi jak rzeczne kamienie oczyma. To nie łzy, których nie może powstrzymać, tylko wilgotne oczy. Tak myślę. To, kim byliśmy, połamano kołem, ale wciąż chcemy zobaczyć Winonę. Tylko ją mamy. Pan McSweny przeniósł się w górę rzeki, bo kopalnie gipsu zabierają ziemię. Nad brzegiem ma dom na czterech palach. Dwa pokoje i weranda, żeby patrzeć na dzień. Winona ma już dwanaście lat, może więcej, i kiedy nas widzi, nie mówi nic, za to jej buzia mówi wszystko. Chłopcy wnoszą nas do środka i kładą do łóżka.

John Cole ma tak wychudłe oblicze, że można po nim poznać, jak będzie wyglądał w grobie.

Jesteśmy na wpół żywi, lecz chcielibyśmy wrócić na ten świat. Powiadają, że istnieje aż sześć bram miłosierdzia, i mamy nadzieję, że

któraś się przed nami otworzy. Bo sami mamy tyle siły co kurze jajko. Pan Noone przyjeżdża w odwiedziny, patrzy na nas i wybucha płaczem. Przy samej brudnej wodzie. John Cole wybucha za to śmiechem i mówi: Nie jest tak źle, Titus. Na Boga, odpowiada pan Noone, sam to wiem, ale łatwo się wzruszam. Wszyscy minstreli, kobiety i mężczyźni, przynoszą nam placki i ciasta. Rozpuszczają nas, żebyśmy odzyskali siły, to pewne.

Może pokażcie nas w przedstawieniu, żartuje John Cole. Niesamowite Żywe Szkielety. Tego nie zrobię, stwierdza Titus Noone, tego nie zrobię. Oczywiście, że nie, potwierdza speszony John Cole. Nie zrobię tego, powtarza pan Noone. Napisał do nas major Neale, dowiedział się, że nas wypuszczono, i przesyła nam najlepsze życzenia. Píše dalej, że przed rokiem znalazł panią Neale i dziewczynki w dobrym zdrowiu, więc one też przesyłają życzenia. Wojna, pisze, zdjęła pęta z Zachodu i wszędzie wybuchają ruchawki i niepokoje. Starling Carlton wrócił na służbę i dobrze się miewa, dochrapał się stopnia sierżanta w prawdziwym, jak pisze major, wojsku.

Więc musi być prawdziwe i nieprawdziwe. Wszystko nad tą rzeką w Grand Rapids wygląda jak we śnie. Miesiące, przez które Winona nas pielęgnuje. Nadchodzi dzień, kiedy wkładamy w końcu odzienie, a John Cole śmieje się z tego, jak na nas trzepocze. To komiczne. Ale powoli znów stajemy się mężczyznami, a nie upiorami, którymi można straszyć dzieci. Mijają następne miesiące i siadamy przy jadalnym stole, a potem na werandzie w uzdrawiającym słońcu.

Zaczynamy odczuwać normalną chęć do życia. Kierujemy myśli ku przyszłości. Pewnego ranka idziemy zółwim krokiem do zakładu fryzjerskiego Eda Westa, żeby zgolić brody. Człowieku, nie wyglądamy jak John i Thomas, o nie. W każdym razie nie ci, których znaleźliśmy. Wyglądamy staro i obco, a przecież, o ile wiemy, nie mamy jeszcze trzydziestu lat. Każdy człowiek ma prawo przeklinać ten świat, ale my z tym nie przesadzamy. Bo na początek wygląda na to, że John Cole i ja jesteśmy ze sobą zszyci na dobre. To wspaniałe! Jakim cudem wydebiliśmy Winonę z życiowych burz, tego nikt nie wie, ale Winona mówi to samo i mówi, że to prawdziwe szczęście, że

wróciliśmy do domu. To brzmi lepiej niż klekot naszych kości na wozie.

Miarkujemy żyć dalej. Czemu nie?

Wnosząc z pożerania brzegu rzeki przez kopalnie, można by przypuszczać, że Grand Rapids będzie miało się świetnie, dopóki trwa ta straszna wojna. Ale nadchodzi dzień zawieszenia broni, a w naszym niewielkim mieście wybucha radość, lecz my wiemy, ilu nigdy nie wróci i że nie będzie takiego zapotrzebowania na to, co się tu wydobywa. Zapada cisza jak w bezludnym lesie, jaki porastał kiedyś brzegi starej Missouri, po której pływa teraz ludzka materia. Wszystko zamiera, sklepiki pustoszeją, a chodniki stają się wybiegami dla starców. Pan Noone musi zamknąć podwoje, a jego błyskotliwe plemię rozjeżdża się na wszystkie strony.

Titus Noone wydaje się zaskoczony, trzyma ręce głęboko w kieszeniach. Kocha swoich artystów jak dzieci i boli go strasznie, że musi pozwolić im odejść. Ale bez publiczności nie ma zarobku.

W świątyni o nazwie Bartram House głosi kazania na wpół ślepy pastor, wkładam najlepszą sukienkę i biorę ślub z Johnem Cole'em. Wielebny Hindle wypowiada magiczne zaklęcia, John Cole całuje pannę młodą i zaraz jest po wszystkim, i nikt się nie domyśli. Możecie przeczytać w księdze parafialnej, że John Cole i Thomasina McNulty zostali związani węzłem małżeńskim siódmego grudnia roku pańskiego 1866. W powojennej euforii doszliśmy do wniosku, że potrzebujemy odrobiny szaleństwa. Wiemy na pewno, że Bóg nie miał nic przeciwko temu, bo był przepiękny zimowy dzień, jasny i przejrzysty. Potem w dowód bożych łask dostaliśmy list od Lige'a Magana. Prowadziliśmy z nim korespondencję, tyjąc w łóżku.

Zmaga się z życiem na farmie. Czarni, których uwolnił jego tatuś, stracili życie, powybijani przez tamtejsze pospolite ruszenie, zostało tylko dwóch. Cały kraj jest zrujnowany przez wojnę i wygląda jak nawiedzane przez upiory śmietnisko. Nadchodzący rok nie daje mu spokoju, bo jak ma sam wypalić ziemię w styczniu? Porastała trawą od sześciu lat i czeka na bakun. Jeśli nie mamy innych zobowiązań, czybyśmy nie przyjechali wspomóc go w potrzebie? Píše, że cały jego zimny okręg jest jak gniazdo żmij i ufa tylko mnie i Johnowi.

Nadejdą ciężkie czasy, ale może wykroimy z nich coś dla siebie. Nie ma żadnych innych *krewnych* prócz nas. Jeśli zdecydujemy się przyjechać, ma nadzieję, że zaopatrzymy się w dobre pistolety, i stwierdza dalej, że karabiny też byłyby nie od rzeczy i po sto naboju na głowę, jak w wojsku. Chodzi o to, że tamtejsi mają go za zdrajcę, tak jak jego tatusia, i chodzi też o to, że nim jest. John Cole odczytuje ten list na werandzie nad rzeką. Ubraliśmy się ciepło w stare sakowe palta, a na głowach mamy stare czapki z niedźwiedziego futra. Oddech wypływa z nas jak bukiety kwiatów, które więdną w powietrzu. Głęboka rzeka jest czystsza, odkąd zamknęli kopalnie. Zimowe ptactwo śpiewa mądre stare pieśni na zbutwiałych przystaniach nad rzeką. Winona ma na sobie zimową sukienkę i kwitnie jak róża. Stary Ojciec Czas przygląda się nam z kosą i klepsydrą. Pan McSweny pali cygaro za siedem centów. To tytoń z Tennessee, mówi. Dobry.

Namawiamy pana Beulaha McSweny'ego, żeby z nami pojechał, ale mówi, że nie będzie wystawiał na próbę cierpliwości Południa na takich jak on, a poza tym pan Noone nie poradzi sobie bez niego. John Cole jedzie do Muskegon, gdzie armia trzyma dziesięć tysięcy mułów i koni, z którymi nie ma co zrobić po wojnie, i kupuje nam cztery muły praktycznie za nic.

Odpowiedzieliśmy na list Lige'a, który bardzo się cieszy, że przyjeżdżamy, i prosi jeszcze, żebyśmy dokupili mułów do orania, jeśli damy radę. Píše, że wszystkie konie zjedzono, bo Tennessee głoduje. Podróż zajmie nam jakiś tydzień. Może dwa. W zależności od tego, co tam zastaniemy. Beulah daje nam dziesięć banknotów dwudolarowych z Erie i Kalamazoo, które zaoszczędził. Nie możemy wziąć od ciebie tych pieniędzy, mówi John Cole. John, odpowiada Beulah, możecie. Mamy też pięć złotych monet i dwa banknoty pięciodolarowe – wszystko, co dostałem po służbie, plus trochę pieniędzy, które był nam winny pan Noone, gdy wyruszaliśmy na wojnę. Nie jest to jankeska fortuna. Czwarty muł poniesie nasz skromny dobytek. Sukienki Winony i moje własne sukienki są nieco nadgryzione przez mole. Suknia, w której brałem ślub, wraca do garderobianej pana Noone'a. John Cole prosi jego krawcową, panią

Dinwiddie, żeby wszyła złote monety w spód stanika sukienki, w której Winona chodzi na co dzień. Żeby je ukryć, ale Winona uśmiecha się tylko i mówi, że jej dziadek zrobił dokładnie to samo, gdy dawno temu wybierał się na wojnę. To przynosi szczęście – stare hiszpańskie monety wszyte w strój wojownika.

Wieczorem pijemy więcej whisky z panem Noone'em i całym towarzystwem, niż jest wskazane. Cudowny wieczór! Pan Noone wygłasza mowę o dawnych czasach i nowych, które nadejdą. Pożegnania i obietnice dozgonnej przyjaźni przechodzą z ust do ust, a oblicza nam pochmurnieją.

Wygląda na to, że jesteśmy gotowi, żeby pojechać na południe. W Grand Rapids można by rzucić pion, który trafiłby prosto w Paris w Tennessee, więc jedziemy prosto na południe według kompasu, przez Indianę i Kentucky, mówi John Cole. Pan McSweny kiwa głową, jakbyśmy mówili o czymś, o czym już nigdy nie będzie musiał myśleć. Mówi, że najlepiej zrobimy, jeśli zadbamy o Winonę. Pan McSweny będzie miał zaraz ze sto lat, ale nie jest aż tak stary, żeby nie cierpieć przy rozstaniu. Winona chyba głęboko zapadła mu w serce, tak samo jak nam. Winona jest chyba kimś wyjątkowym na tym świecie. Jakąś premią i nagrodą za to, że się żyje. Beulah McSweny wyciąga pomarszczoną brązową rękę i ściska jej gładką dłoń, jasną jak wyheblowana sośnina. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, Beulah, mówi Winona. Poeta McSweny opuszcza głowę. Chyba nie musisz mi dziękować, odpowiada. Nie, Beulah, muszę.

Skoro mamy te muły za bezcen, to nie będziemy mogli wsiąść do pociągu jadącego na Memphis. Do dyliżansu też nie da się załadować czterech mułów. Ale wcale nam to nie przeszkadza. Pojedziemy spokojnie, żeby ich nie męczyć. Z przyjemnością pokażę Winonie ten kraj, mówi John Cole. Przekonujemy się, że chyba najgorsze gościńce w całym chrześcijaństwie biegną przez Indianę. Nie mają tu szufli? – pyta się John Cole. Błoto tak głębokie, że muły mają od niego czarne trzewiki. Tak czy inaczej, w miasteczkach Indiany duży ruch, wszyscy zajmują się sobą. Nowe domy. A wokół nienazwana dla nas kraina, choć jak się spodziewam, wszystko ma jakąś nazwę, tyle tylko, że jej nie znamy. Czasem pytamy się tak dla zabawy o nazwę rzeki, przez

którą się akurat przeprawiamy, ale to i tak bez różnicy, bo jesteśmy tylko przejazdem.

Jedziemy na południe. Ludzie patrzą na nas spod kapeluszy, jakbyśmy nie byli tu zbyt mile widziani. Taplamy się w błocie głównych ulic dziesiątków zabitych dechami mieścin i co jakiś czas ktoś obrzuca Winonę błotem. W jednym takim miasteczku pewien wielki i nalany pijak wyśmiewał się z nas i zapytał, czy podróżujemy z kurwą. Nic w tym nadzwyczajnego. John Cole źle znosi taką gadkę, więc zatrzymuje muła, powoli zsiada z siodła i rusza ku tej wielkiej fujarze.

Cóż, tamten ucieka jak gruby królik i nawet piszczy. Łobuzom nie wolno puszczać płazem, mówi John Cole. Będzie miał nauczkę. Potem do nas wraca i przerzuca nogę nad grzbietem czarnego muła. Kiwa głową i jedziemy dalej. Może nieco szybciej niż zazwyczaj, na wypadek gdyby ten gruby odważniak miał jakichś przyjaciół. Winona jest dumna jak paw, bo jej tatuś zrobił to, co należy. Chyba tak. W Indianie zauważamy sporo tego, co nazywają cywilizacją. Teatry. Robi się nam trochę smutno, bo już nie występujemy. Postarzeliliśmy się przed czasem, ale wciąż lubimy to, co robiliśmy wcześniej. Jest mi smutno, że nie mogę chodzić w sukni. Zawsze wspominam tę przedziwną ciszę, która zapadała na widowni, i unoszący się w powietrzu zachwyt bez słów.

Szalone noce. Dziwny sposób zarabiania na życie, ale przeżyliśmy i to się liczy. Zastanawiam się, czy życie na farmie Lige'a Magana przywróci nam młodość? Niewykluczone. Pan Noone nigdy o tym nie wspomniał, ale wiedzieliśmy, na czym polega kłopot. Uroda jest domeną młodości. Nie da się tego obejść. Mężczyźni nie uganiają się za jędzami. Choć nie przeszkadza mi, że zostanę matroną, jeśli los tak chce. To spotyka z czasem każdą kobietę.

Między jednym miasteczkiem a drugim, pośród skutych lodem grudniowych lasów i zamarzniętych farm, Winona śpiewa czasem piosenkę, której nauczył ją Poeta McSweny, jak byliśmy na wojnie. To przydatna piosenka, bo jest długa na dziesięć mil na grzbiecie muła.

Żaden człowiek na świecie nie wie, o co w niej chodzi. A nosi tytuł *Prześwietny kwiat szambelana*. A Winona śpiewa ją tak dobrze jak



makolągwa. Titusowi Noone'owi pewnie brakuje jej najbardziej. Winona ukrywa w piersi przeczysty i słodki głosik. Cenny i rzadki, gdy wylewa się każdego roku. Słuchając go, widzi się wokół więcej. Odległą krainę stapiającą się z niebem i okruchy ludzkich gospodarstw rozrzucone po opuszczonych łąkach. Gościniec jest jak przetarty i postrzępiony rękaw między tymi zwykłymi widokami. Jakby dawno temu przebiegły tędy z grzmotem trzy bizony, co wystarcza ludziom z Indiany za drogę. Farmerzy są dla nas milsi od mieszkańców miast, ale w tych powojennych czasach każdy jest czujny i bojaźliwy.

Najbardziej przekonująca jest chyba w ich oczach Winona, ale znów się przekonujemy, że Indianie nie cieszą się w Indianie dużym uznaniem. Mijamy zygzakami bagna i rzeki. Pewnej nocy dojeżdżamy do zrujnowanych zabudowań, z których wychodzi człowiek i mówi nam, że przewiezie nas na drugą stronę rano, ale nie kiwnie palcem po ciemku, bo nie chce osiąść na mieliźnie. Ma w sobie coś ujmującego. Nie boi się nas. Przywiązuje nasze muły do kołków, jakby je dobrze znał, i mówi, że możemy rzucić koce w chałupie. Nie mogę pojąć, dlaczego jest tak przyjazny, lecz potem wszystko się rozjaśnia. Zapaliliśmy z nim, zjedliśmy poczęstunek, głównie małże, a on mówi nam, że jest Szaunisem. Biali dali mu na imię Joe. To kraina Szaunisów, ale większość odeszła stąd przed wielu laty. Paru jeszcze zostało, ale rząd chce ich przepędzić. Słyszeliście kiedyś o Terytorium Indiańskim? – pyta. Tak czy inaczej, siedzi tu obecnie i szukając pereł, wyławia małże z rzeki. Robią z nich guziki do koszul w mieście za rzeką. Niewiele zarabia. Miał trochę ciemniejszą karnację, fakt, choć latem w Indianie wszyscy wyglądają jak Indianie. Potem pyta się Winony, skąd pochodzi, na co Winona mu odpowiada, że jest córką Johna Cole'a, ale wcześniej była Siuksem z Terytorium Nebraski. Mówi coś do niej po indiańsku, ale Winona już nic nie pamięta z dawnego języka. Siedzimy obok nich z Johnem Cole'em, a czas mija za oknem. Zamiast szyby ma w nim rozciągniętą suchą błonę z krowiego żołądka. Mówi, że żonę zabili mu jakiś czas temu renegaci. Tak ich nazywa. Okolica jest niespokojna i początkowo myślał, że i my jesteśmy zabójcami, ale potem dostrzegł dziewczynę.

W ładnej sukience, z ładnie splecionym, długim kruczoczarnym warkoczem. Przypomniął sobie o dawnych czasach, kiedy był młody i wszystko wyglądało lepiej. Chyba nie zabawimy tu długo.

Nie był smutny, wypowiadając te słowa. Gawędził. Żeby zabić czas. Stary owdowiały Indianin nad rzeką, której nazwy nie znaleźliśmy.

## Rozdział 17

Przez całą noc komary zjadają nasze wyniszczone ciała, więc nie da się spać, a wraz z jutrzenką budzi nas potop. Chata Joego nie jest wodoszczelna. O świcie przybór rzeki nabrał nieoczekiwanie groźnych rozmiarów, a po rozlewisku pływają wielkie i ostre jak bycze rogi konary z jakichś nieznanymi brzegów. Ulewa nie ustaje i woda podnosi się pod samą chatę Joego.

Jest zimno jak w lodowni jaśniepaństwa, a Winona trzęsie się jak kocie. Jesteśmy przemoknięci do suchej nitki. Joe spogląda na rzekę i mówi, że ten brzeg to Indiana, a ten drugi to Kentucky, choć równie dobrze może być to brzeg Afryki, bo nijak nie można się nań dostać. Potem chmury deszczowe odbijają i pędzą, jak się wydaje, na wschód, jakby miały tam coś pilnego do załatwienia, a niebo unosi sute halki i wszędzie sączy się chłodne blade światło – wyczerpane słońce odzyskuje królewski blask. W przemoczonych ubraniach czekamy przez cały dzień, aż rzeka opadnie, a przymrozek ścina nam odzienie na grzbiecie. Późnym popołudniem John Cole i Joe ściągają rybacką łódkę Indianina na wodę, a spłoszone muły proszone są o wejście w nurt; siadamy w łódce jak podróżni nie z tego świata, a Joe odbija od brzegu. Najgorzej ma juczny muł. Długi miłośnik rzeki kołysze nim to w jedną, to w drugą stronę. Joe wiosłuje ze wszystkich sił, jakby rozkazano mu ryzykować życie i dopłynąć na drugi brzeg. Nie jest w stanie dopłynąć pod samą brzegową skarpe, więc musimy wygramolić się z łódki wprost do lodowatej wody, przyciągnąć powiązane muły i wyprowadzić je na ląd, co się nazywa Kentucky. Joe odpływa, pozwala, aby rzeka niosła łódkę z nurtem, potem znajduje jakąś osłonę pod starym głazem na środku rzeki, podpływa doń i unosi nam kapelusz na pożegnanie. Na szczęście zapłaciłem mu w Indianie, mówi John Cole. Siodłamy muły i wkrótce wjeżdżamy na nich w zimny i cichy sosnowy zagajnik, a John Cole każe Winonie przebrać się w suche rzeczy i rzuca mi moją własną sukienkę, bo nie ma nic innego. Sam wkłada stare żołnierskie spodnie, żołnierską kurtkę, a

pod nią zdobyczny zuawski kaftan, więc wygląda jak cygan. Zadbaliśmy o to, żeby nie zamokły nam pistolety, które trzymamy w brezentowym worku, lecz teraz chowam broń pod spódnicę. John Cole wsuwa pistolet do buta. Mokra ubrania suszą się na gałęziach niczym flagi i proporce jakiegoś egzotycznego regimentu. Gdy wyjeżdżamy z lasu, stanowimy zapewne niecodzienny widok.

Przez dwa dni doświadczyliśmy, by tak rzec, błogosławionego piękna Kentucky, a John Cole miarkuje, że dojedziemy do Tennessee następnego dnia. Gościńiec jest twardy i ubity przez ubijak mrozu. Jedzie nam się wybornie. Prawdę mówiąc, sukienka mnie uspokaja i nie przebieram się, choć rzeczy już wyschły. John Cole przepowiada to, co wie o Kentucky, ale wie niewiele. Mijane przez nas miasteczka wyglądają czysto i spokojnie, nad farmami z kominów wznosi się postrzępiony dym. Klnę się na Boga, że widzę mleczarkę dojącą krowę. Farmerzy oczyszczają tytoniowe rżyska wiadrami ognia. Ptaki wydziobują ostatnie nasiona z resztek trawy wielkimi jak ogień chmarami. Roznoszą w tę i z powrotem tytoniową zarazę, czekając na niebezpieczeństwo lub uciekając przed nim. Mijamy wozy i wózki, ale nikt nie zwraca na nas uwagi ani nas nie zaczepia. Jakiś uprzejmy jegomość w stroju duchownego uchyla przede mną czarny kapelusz. Biorą nas chyba za podążającą gdzieś rodzinę. To swoiste szczęście. Potem wjeżdżamy w okolice większych farm i ogrodzeń biegnących przez gęsto stłoczone wzgórza.

Sztachety w ogrodzeniach dziwnie przypominają białe kamienie nagrobne. I jakżeby inaczej!

Zjeżdżamy skrajem równej linii drzew i widzimy wiszących na nich mniej więcej trzydziestu czarnych. Wśród nich dwie dziewczynki. Mijamy ich, a oni patrzą na nas spuchniętymi twarzami.

Na każdym wisielcu ręcznie wypisana tabliczka: Wolny. Ktoś wypisał je węglem. Głowy zwisają nad pętlami w taki sposób, że mężczyźni wydają się posłuszni i pokorni. Jak święci ze starych drzeworytów. Głowy dziewczynek to wielkie krwawe wrzody. Wieje lekki wiatr niosący przenikliwy chłód, a ciała kołyszą się na sznurach – cal w naszą stronę, cal w tył, jedno po drugim, gdy omiata je wiatr. Winona śpi w siodle, nie odzywamy się ani słowem, żeby jej nie

budzić.

Wjeżdżamy do Tennessee nie bez pewnej ulgi, ale to pokazuje tylko, jak niewiele wiemy. Jedziemy przez jeden dzień i zaczynamy się zastanawiać, jak gotuje Lige Magan. Zastanawiamy się, czy ma łóżka, czy tylko sienniki. Tak czy inaczej, dobrze byłoby, myślimy, zsiąść w końcu z tych mułów. Nie mamy pleców kawalerzystów, mamy tylko nogi i tyłki jak z kawalerii.

Winona nie poskarżyła się ani razu, ale komary pożerają ją żywcem, w dodatku ma czerwony i poobcierany od zimna nos. Ale można by pomyśleć, że rozkoszuje się podróżą.

Jedziemy powoli dalej, gdy na gościńcu pojawiają się cztery jeźdźcy w ciemnych ubraniach. Jest wczesny wieczór, wokół tylko czarne drzewa, a nad nami dziesięć milionów akrów czerwonego nieba. Grudniowe zmierzchy są jakby stworzone dla zjaw. Więc oto i one. Wyłaniają się jakby znikąd spomiędzy zarośli. Spokojne chłopaki na dobrych koniach.

W lśniących futrzanych paltach. Nie wyglądają groźnie te chłopaki, ba, wyglądają na dobrze wychowanych, ale pewnie spali przez jakiś czas w borze. Jeden ma na sobie krótki jasnoniebieski żakiet, a na nim pelisę z niedźwiedzia. Tak przynajmniej wygląda to futro. Wszyscy w kapeluszach, całkiem nowych, i wszyscy mają w sobie coś żołnierskiego. Ale nie są żołnierzami. Mężczyzna w źle maskowanej rebelianckiej kurtce ma długie czarne bokobrody i czarną spiczastą bródkę. Wygląda na nie do końca umundurowanego pułkownika. Konie przestępują z nogi na nogę na poboczu gościńca i parszczą kłębami pary, rzucając „huf, huf”, jak koniom Pan Bóg przykazał. Każdy jeździec trzyma na przedramieniu karabin – taki, jakiego zazdrościł wszystkim Starling Carlton. Chyba spencera. My mamy tylko muszkiet za nogą Johna Cole’a. Na szczęście nie muszę sięgać za daleko pod spódnicę, żeby wyciągnąć pistolet, gdyby zaszła taka konieczność. John Cole już wyciągnął pistolet zza pasa i położył go, można by rzec, spokojnie i miło na grzywie muła. Jakby pistolet leżał tam przez cały czas. Norma. Ten z brodą uśmiecha się i kiwa głową. Pozostali trzej patrzą, mierzą nas wzrokiem, starając się pewnie rozszyfrować tożsamość Winony, jak to biali. Dokąd drogi prowadzą?

– pyta się pułkownik Szpicbródka. John Cole nie odpowiada, odciąga kurek pistoletu, jakby drapał się nim w kciuk.

Dokąd jedziecie? – znów pyta tamten. Do Paris, mówi John Cole. Macie jeszcze szmat drogi przed sobą, mówi ten ciemny. Wiem, odpowiada John. To twoja kobieta? – pyta się inny, mniejszy, jakby wygłodniały i z przepaską na oku. Spod kapelusza wystają mu dwa ciemne włosy. Jest bardziej zaniedbany od trzech pozostałych. Wśród których jest też grubas tak wielki jak Starling Carlton, ale przystojniejszy. Czwarty ma pod kapeluszem pianę rudych włosów. Ten z przepaską na oku powtarza cierpliwie pytanie, ale John Cole postanowił, że nie odpowie.

Z Północy? – pyta się ten rudy. Chyba tak. To granatowi, nie sądzi pan? To pytanie skierowane jest do pułkownika Szpicbródki. Nie wątpię, odpowiada wesoło pułkownik. Ten radosny ton nie oznacza nic dobrego, to akurat wiemy. Jedynym kłopotem są te spencery. John Cole ma dla kogoś kulkę, ja mam drugą. Może w tym czasie John Cole zdoła sięgnąć po muszkiet, wówczas mamy trzeciego. O ile wcześniej nie wystrzelają nas jak wrony. Wszystko trzeba zrobić błyskawicznie. Może nie spodziewają się, że kobieta ma broń? Tak czy inaczej, coś trzeba zrobić, i to szybko, bo wiemy dobrze jak na łaćńskiej mszy, że nie poprzestaną na zadawaniu pytań.

Miło się z wami gawędziło, mówi John Cole, jakby miał zamiar spać muła. Co masz na tym jucznym zwierzęciu, kolego? – pyta się pułkownik. Ubrania i takie tam, odpowiada John. Nie masz złota? – pyta tamten prosto z mostu jak dziecko. John wybucha krótkim śmiechem. Nie mamy złota. Dolary z Unii? Nie, nawet tego, odpowiada John Cole. No cóż, w tym hrabstwie nie tolerujemy żebraków, rzuca pułkownik. Wszyscy milczą. Konie parszczą, kłębą się końskie

oddechy. Przelotny wietrzyk szarpie bezlistne krzaki. Drozd zlatuje na gościniec i przysiada przed jeźdźcami, jakby miał nadzieję, że z kopyt wyjdą robale. Drozd to sprytny ptaszek. Drozd to pomocnik parobka. Przyglądam się drozdowi i właśnie John Cole dochodzi do wniosku, że najwyższa pora wypalić. Dwa zaskoczone konie odskakują nie bez przerażenia. Kula przebija prawe ramię pułkownika

i Bóg wie co jeszcze, a ja, niewiele myśląc, sięgam pod spódnicę, wyciągam pistolet i robię wszystko, żeby wpakować kulę w przepaskę na oku tego drugiego. To dobry cel i chyba za bardzo nie spudłowałem, bo tamten spada z konia jak z szafotu. Potem John Cole strzela z muszkietu do pana Rudego. Wszystko to dzieje się przez trzy sekundy: rudy i pułkownik trafieni, choć w tym zamieszaniu nie wiem gdzie. Chyba nie przypuszczali, że John Cole pokusi się o taką zuchwałość. Ja też nie, ale mleko się rozlało. Pułkownik spadł z konia, bo kula, miarkuję, przeszła przez ramię. Pan Rudy wygląda mi już na trupa, a ten z przepaską na oku, że gdzieś tam przyjął kulę. Zostaje nam tylko gruby, który, ma się rozumieć, strzela w ciągu tych samych trzech sekund i dostaje kulę, którą jak mi się zdaje przez mgnienie, musiał wystrzelić któryś z naszych mułów. Wszak to nie muł strzelał, ale Winona. Ma mały damski pistolecik, nabity i wymierzony, strzeliła do grubego w tej samej chwili, w której on strzelił do niej. Ma maleńkiego dillingera z kulkami, które, można by przypuszczać, nie skrzywdziłyby muchy. Spada z muła, jakby uderzona gałęzią w galopie. Dobry Boże, zeskakuję z siodła, wrzucam Winonę na grzbiet muła Johna, dosiadam swojego, płacząc się w halki, i spinamy przelęknieni nasze zwierzęta, by jak najszybciej stąd uciec. Pułkownik siedzi oparty o zwirowy nasyp i patrzy na nas tak, jakby napadła go Święta Rodzina. Mijamy go, dziękując Bogu za muły, które potrafią galopować, gdy się je poprosi. Przez całą drogę z Grand Rapids nie prosiliśmy ich o nic więcej prócz kłusu, a teraz chcemy, żeby zostały gazelami. Ale słuchają się, na Boga, a juczny muł i muł bez Winony dochodzą do wniosku, że lepiej będzie nam towarzyszyć.

Spodziewamy się pogoni i pojmania, więc ze wszystkich sił spinamy muły ostrogami. Przerazenie w sercu. John Cole trzyma wodze w jednej ręce, a drugą obejmuje Winonę. Po jakichś dwóch milach muły są już prawie nieżywe, ale dojeżdżamy do przyzwoitego lasu i nie przeszkadza nam, że gdy wpadamy kłusem między zarośla, nogi i dłonie pokrywają się nam krwią od kolczastych jeżyn. Pętamy muły na polanie. Zrobiło się ciemno. John Cole prosi, żebym załadował broń na wypadek pogoni, i kładzie Winonę na zamarzniętej

ziemi niczym trupa.

Spodziewa się, że jest trupem. Dziewczyna ma mocno zamknięte oczy. John Cole zniósłby każdą śmierć oprócz tej. Widzi otwór rozerwany w sukience przez kulę i rozrywa go bardziej. Szuka dziury na jej skórze, żeby ją jakoś opatrzyć. Zmrok jest przeciw niemu. Widział dziesięć tysięcy dziur od kul, ale nie w Winonie. Której twarz we śnie jest nieruchoma jak noc. Wygląda jak martwa, ale żyje, bo widać, że oddycha. John Cole kręci głową. Nic nie ma, żadnego śladu, mówi. Musimy ją ocalić. Jest wszystkim, co mamy, musimy ją uratować. Rozpina stanik sukienki. Na dole są złote monety wszyte w szew przez panią Dinwiddie, a jedna z nich jest okrutnie wgnieciona. Boże Wszchemmogący, mówi John Cole. Boże Wszchemmogący.

Mamy dużo szczęścia, że te muły wcale nie są mułowate i trzymają się nas, bo muszę się teraz przebrać i znów wciągnąć spodnie. Przekonuję się jednak coraz bardziej, że mężczyzna może nosić spodnie, a i tak być kobiecy. Och, człowiek ma prawdziwy śmietnik w głowie, żeby jakoś odnaleźć się w życiu. O tym też się przekonuję. Muły, które kupiliśmy w Muskegon, też są wielce skomplikowane. Boethius Dilward nie musiałby ich poganiać kijem. Powinny być uparte jak osły, a są wierne jak psy. Natura to nie wszystko – to pewne i jasne. John Cole wygląda tak, jakby mógł kogoś zabić bez mrugnięcia powieką, ale zajmuje się Winoną jak matka. Groźne jest to, że dostała kulę z karabinu, który mocno pluje pociskami, nawet jeśli sam pocisk odbił się od monety. Będzie miała wielkiego siniaka na brzuchu i wciąż nie odzyskała przytomności.

Przechodzą nas dreszcze na myśl, że ktoś się do nas podkrada, więc tak czy siak musimy jechać. Wyglądało na to, że Szpicbródka oberwał całkiem nieźle, może nawet kulę w brzuch, co nie pozwoli mu galopować na dobre, ale nie wiemy tego na pewno. Na jego miejscu zesrałbym się, żeby nas dopaść. Czy nie przedziera się przypadkiem przez kłujące zarośla jak żądny krwi aligator? Cholerne jeżyny i trujący bluszcz, i jeszcze pewnie grzechotniki i mokasyny, a do tego mróz. Cholerne ciemności i przerażające Tennessee z mordującymi podróźnych chłopakami.

Musimy się śpieszyć i dojechać do Lige'a. Na szczęście Winona



dochodzi do siebie. Umarłam? – pyta się. Nie, jeszcze nie, odpowiada John Cole.

Winona mówi, że wsiądzie na muła – pewnie tak, bo zacznie ją boleć później. Jakby ktoś wrażał jej niewidzialną włócznię w bok, taki będzie ów ból od odbitej kuli. Wkrótce wszystko ją rozboli. Winona ma dopiero trzynaście, czternaście lat, więc dlaczego jest taka odważna? Skąd masz ten pistolet? – pyta się jej John Cole. Beulah dał mi go na drogę, odpowiada. Gdyby pan Lincoln miał ją u swego boku, prędzej wygrałby wojnę. Cholernie brudną cholerną wojnę, ale chyba trzeba je toczyć. W Ameryce strzelają do wszystkiego, co złe, mówi John Cole, i do wszystkiego, co dobre. Powszechnie opłakiwany pan Lincoln jest tego najlepszym cholernym przykładem. John Cole wyprowadza swojego muła i muła Winony, ja biorę jucznego i mojego.

Dostaną owsa, te muły, jak przeżyjemy. Dochodzimy do ciemnego gościńca, w oddali wstał księżyc, który rzuca blade promienie na zamarznięty gościniec. Mróz skrzy się srebrzyście.

Można by pomyśleć, że jest jak w bajce, wszystko takie niezwykle. Dosiadamy uważnie mułów, a John Cole zerka zatroskany na naszą grzeczną dziewczynkę i każe jej jechać przodem, żeby widział, czy w ciemności nie spada z muła. Nic mi nie będzie, odpowiada Winona. Hej, Thomas, kryj tyły na wszelki wypadek, mówi John Cole. Rozkaz, odpowiadam. Więc jedziemy przez całą noc i nawet nie marzymy o tym, żeby się położyć i zasnąć. Nocne niebo przejaśnia się jak zwykle bez zapowiedzi. Świeci wysoko księżyc, jasny jak lampa za zakurzoną szybą. Człowiek się czasem zastanawia, jak jest tam w górze? Niektórzy powiadają, że księżyc jest jak moneta – taka jak ta, która ocaliła Winonę. Wielki srebrny krążek, taki jak księżyc, jest pewnie trochę wart.

Niektórzy powiadają, że można go pochwycić, jak się wyciągnie tak daleko rękę. Musi być jakiś sposób, tak czy siak. Mróz wrzyna się nam pod kapelusze i kołnierze. Chłodne zimne światło księżyca. Drzewa srebrzą się w jego świetle niczym wierni srebrnego księżyca. Wszystkie stworzenia i błakające się po świecie dusze z Kentucky i Tennessee śpią, śpią pewnie nawet drzewa. Nie śpi tylko księżyc,

czuwa jak sowa na łowach. Słyszymy sowy pohukujące nad zamarznętymi moczarami od zachodu. Nawołują do siebie pośród plątaniny drzew. Czuję nagle dziwną lekkość. Dziękuję pośpiesznie i bez namaszczenia Bogu, że Winona przeżyła. Muły drepczą z nami z przymulonym wdziękiem i słyszać tylko stukot ich wybrednie stawianych kopyt. I zwykłe nocne odgłosy. Coś trzaska w lesie, coś się przedziera – niedźwiedź albo łoś.

Albo wygłodniałe wilki przemierzają watahą zarośla. Niebo jest teraz jak bite srebro, a księżyc zmienia odcień, żeby pokazać, że to zauważył. Ma teraz lekko miedzianą barwę. A ja mam serce przepełnione Winoną i Johnem Cole'em. Jak to się stało, że Winona jest z nami? Nie wiem.

Przeżyliśmy wiele jatek, John Cole i ja. A teraz mimo wszystko czuję spokój i taką swobodę, jakich nigdy przedtem nie czułem. Strach już mnie opuścił i lekko mi na sercu. Myślę sobie tak: John Cole jest za duży na tego muła. Myślę o wszystkich miastach i miasteczkach, w których nie byłem; nie wiem nawet, kto tam mieszka, nikogo tam nie znam i nikt nie zna mnie. Ta, John Cole jest za duży na tego muła. Jakby muł i John Cole nie pochodzili z tego samego świata. Potem John Cole naciąga kapelusz na oczy. Nic wielkiego. Opuszcza rondo kapelusza w świetle księżyca. A wokół ciemne drzewa. I sowy. To nic nie znaczy. Będzie ciężko odnaleźć się w świecie bez niego. Tak myślę. W tej części kraju widuje się spadające gwiazdy co dwie albo trzy minuty. Widać przyszła ich pora. Szukają siebie, jak wszystko inne na świecie.

Winona pochylała się coraz niżej i niżej, bardzo cierpiała, a o świecie jej twarz pobieliała z bólu, więc ściałem dwie mocne gałęzie, połączyłem je trzecią i wymościlem to wszystkim, co mieliśmy zbędnego, przykryłem ją swoją sukienką i ciągnąłem na tych indiańskich noszach za mułem. Ważyła tak mało, że dla muła była jak listek. Ani razu nie jęknęła, choć mogłaby jęczeć do woli, jakkolwiek na to spojrzeć. Ja na jej miejscu jęczałbym za dwóch, powiem wam.

Uderzenie kuli to prawie to samo co śmierć. Wierzcie mi.

Lige Magan napisał w liście, żeby ominąć po cichu miasteczko Paris, objechać je lasami od zachodu, a gdy z nich wyjedziemy,

trafimy na potok i ścieżkę wzdłuż potoku, którą trzeba skrócić na zachód, co też uczyniliśmy.

## Rozdział 18

Jadąc tą ścieżką na zachód, domyślamy się z miejsca, na czym polega potrzeba i kłopot Lige'a. Piękny strumień płynie jak nieskończenie długa zamarznięta broda. A obok pole za polem znękanego gruntu. Wysokie poczerńiałe chwasty i gnijące, zebrane do połowy zbiory. Pożółkła ziemia, przerażone niebo ciągnące się ku otchłani, a na horyzoncie pnie i szpikulce nieznanym czarnych drzew. Potem pełznące daleko wzgórza i uparty las, a dalej pewnie góry z jarmułkami śniegu. Brakuje ludzi do uprawy tych pól – to jasne. Nikt od dawna nie dał im uroczystego klapsa obróbki. Nie wyglądają porządnie, nie wyglądają nawet po wojskowemu. Podjeżdżamy wolno do domostwa, z którego wychodzi stary Lige z błogosławioną siwizną na głowie, szczerząc się z długim pocętkowanym białym cygarem w ustach. Jest bez kapelusza, włosy pachną mu dymem.

Dziwnie wygląda w cywilnych łachach, to pewne. Chorąży Magan. Który niósł chorągiew regimentu. Zszedł po schodach na ubitą ziemię i ujął nas za ręce. Zwilgotniały mu, na Boga, oczy. Hej, Lige, jak leci? Dobrze, dobrze.

Opowiadamy mu o Winonie i tym ze spiczastą brodą, a Lige mówi, że go zna. To nie żaden pułkownik, ale służył w wojsku kurzych nówek, zgadza się. Ci chłopcy razem z nim są pod jego komendą. Przemierzają okolice, siejąc spustoszenie i wieszając czarnych. Powiedzieliśmy, że po drodze dane nam było ujrzeć jego dokonania. Zgadza się, mówi Lige. Jeśli przeżył, możemy się go spodziewać ponownie, dodaje. Tach Petrie, tak na niego wołają. O ile się nie mylę.

Mamy teraz zupełnie inne zmartwienia na głowie niż jakiś Tach Petrie i jego możliwe zejście z tego świata lub zmartwychwstanie. Lige ma w domu miłą kobietę, co się nazywa Rosalee, i ta Rosalee od razu zajmuje się Winoną. Sama ją podnosi i wnosi do domu. Wiatr zwiewa moją sukienkę z noszy na ziemię. A czyja to suknia? – pyta się Rosalee. Pani Cole?

A gdzie ona? Nie mamy na to odpowiedzi. Ta Rosalee kładzie Winonę na stole rozstawionym na kozłach przy płonącym kominku. Usiłuję sobie przypomnieć, kiedy widziałem tak uszczęśliwionego Lige'a. Chyba mu ulżyło. Rosalee ma brata, który pracuje z Lige'em.

Tennyson Bouguereau. Oboje są uwolnionymi niewolnikami, a Tennyson obrabia pięć akrów za udział w zbiorach. Zanim tu przyjechaliśmy, mieli tylko zapowietrzającą się kobyłę do orania.

Muł jest tutaj wart tyle co trzy konie, mówi Lige. Muł jest na wagę złota. Jest uszczęśliwiony, widząc aż cztery muły. Mówię mu, że moim zdaniem to najlepsze muły, jakie stapały po ziemi.

Opowiedziałem mu o jucznym mule i mule Winony, które same z siebie poszły za nami. Jasna cholera, mówi Lige. Kto by pomyślał, że coś takiego jest możliwe. Pytamy się go, czy ma wieści od Starlinga Carltona i czy wie, jak mu się powodzi. Lige odpowiada, że wie o wszystkim, co się dzieje na zachód od rzeki North Platte, i że równiny, najogólniej mówiąc, zeszyły na psy. Panoszą się na nich Siuksowie. Widziano wśród nich Najsampierw Schwytał Konia, który ma nowy szczep. Wszystko trafia szlag. Mówi, że słyszał, iż Dan FitzGerald wrócił do domu z Andersonville i pojechał rąbać drzewa na Alasce. To naprawdę dobra wiadomość, mówię. Jestem zaskoczony. Myślałem, że już po nim. Ta, mówi Lige, udało mu się.

Jesteśmy trochę jak osadnicy. Musimy poznać to miejsce: Tennessee. Zupełnie przypadkowo w moje ręce trafia ranna turkawka. John Cole znajduje ptaka ze złamanym skrzydłem w lesie. Teraz John Cole przypomina najbardziej nornicę, która węszy po okolicy.

Zdarzają się dni, że nie słyhać ani jednego dźwięku. Gdy na ponurą ziemię opadają długie woale światła. Czasem robi się tak cicho i spokojnie, jakby świat już się skończył. W takie jedno bezgłośnie południe John Cole podkrada się ku mnie, cholera, z drewnianą skrzynką. Siedzi przy mnie przez pewien czas i gada, a ja słyszę jakieś szuranie i stąpanie w tej skrzynce. Wpatruję się w nią. To zabawne, jak John Cole rozbudza moją ciekawość. Opowiada o nowej operze w Memphis: że powinniśmy pojechać i obejrzeć ją na własne oczy. Ma taką długą brodę, że wygląda jak rebeliant. Mógłby walczyć pod Appomattox pod generałem Lee albo kimś gorszym. Wygląda jak

pierdolony pułkownik kurzych nóżek, ale nie mam zamiaru teraz mu o tym mówić.

Bo poza wszystkim jest piękny. Mija czas, a on zachwyca się śpiewaczkami jeżdżącymi po kraju jak królowe, a potem rozkłada ramiona i podnosi głowę, jakby chciał powiedzieć: Chyba się zastanawiasz, co ci przyniosłem? Fakt, trochę. Więc otwiera pokrywę skrzynki i ze środka wystercza taka główka z zakrzywionym dziobem i paciorkowatym okiem. Pyta się mnie, czy się nią zaopiekuję. Powiedziałem mu, że tak, czemu nie. Jak chcesz jej dać na imię? – pyta. Chyba generał Lee, bo w tych czasach jesteś do niego podobny. A ty nie jesteś zbyt miły, odpowiada. Generał Lee wyskakuje ze skrzynki i przejmuje dowództwo. Potem sra na stary stół.

A potem przez cały styczeń wypalamy ziemię Lige'a. Zakładamy grządki na siewki tytoniu, a potem przykrywamy je zwojami płótna, żeby nie zmarzły. Potem śnieg trzyma nas w domu, a Tennyson śpiewa stare pieśni, a Rosalee jak szalona towarzyszy mu na tarze. Lige wytrzasnął skądś skrzypki i nigdy żeście nie słyszeli takiego przytupywania! Winona, już zdrowa, ma największego z nas wszystkich fioła i kręci się, i przytupuje jak miedziany płomień.

Lige wyjął soloną wołowinę, a muły stoją w wielkiej suszarni na tytoń, tak uszczelnionej, że pewnie im się zdaje, że są na Taipi. Opowiadamy im o naszych występach u pana Noone'a, przez co muszę włożyć koronkowe majtki i pantofelki na koturnie i pokazać im, co robiliśmy. Zamiast peruki mam snopek słomy, więc wszystko odbywa się w żartach. To przedstawienie na dwie świece, mówi Lige i zapala drugą, żeby lepiej widzieć. Światło z kominka sprawia, że mój cień na ścianie wydaje się wielki. Nie wiem, co czują, ale Tennyson jest chyba wstrząśnięty i oszołomiony. Nie wyglądam już tak jak kiedyś, ale mdłe światło jest dla mnie łaskawe. Myślę, że gdyby zajrzał tu ktoś obcy, miałby się nad czym zastanawiać. Dwoje Murzynów i stary farmer się gapią. Na niepojętą – to pewne – damę. Czuję dziwną radość.

Śnieg topnieje, więc zabieramy się do orania, jakby od tego zależało nasze życie, a to poniekąd prawda. Z czterema silnymi mułami w zaprzęgu orzemy czterdzieści akrów w tę i z powrotem trzy

razy. Wytyczamy ziemię pod sadzonki i przenosimy je na pole: jeden dziabie ziemię kołkiem, drugi wsadza roślinę, a trzeci podlewa ją i nawozi. Tennyson śpiewa afrykańskie pieśni, a gdy chowamy się pod drzewami na południowy posiłek, Lige czasem gra na skrzypkach, a nuty płyną do lasu, gdzie wyrywają ptaki ze snu. Nigdy nie pracowałem tak długo i ciężko i nigdy nie spałem tak dobrze. Potem bronujemy ziemię między sadzonkami i chodzimy przez całe dni skibami, obrywając górne łodygi, kwiatki i walcząc ze szkodnikami. Winona jest bezlitosna dla zawisaków. Tłustych zielonych gąsienic. Nadchodzi lato, wieje gorący wiatr.

Cienkie koszule, bez przerwy brudne ręce i pot. A między nami wszystkimi rodzi się przyjaźń, jak w drużynie w wojsku. Tatuś Lige'a posłał Rosalee do szkoły, przez co ta wymądrza się w wielu sprawach jak Sokrates. Rosalee i Winona przytyły galancie w pasie, a my, nie wiem, ale pewnie mielibyśmy pociechę z Tennysona w niejednej bitwie. Strzela prawie tak samo dobrze jak Lige, który strzela najlepiej. Stawia sobie gałązkę na płocie i rozłupuje ją z odległości pięćdziesięciu stóp. Tego normalnie nie da się zrobić. Potem przychodzą zbiory: listek po żółtym listku przywiązywane do tyczek i zanoszone do suszarni, gdzie się pali w piecu, przez co mułom wydaje się, że są w piekle. Iskry wylatują drzwiami i nosimy coraz to więcej drewna. Jakby suszarnia była kotłem parowym pędzącej dokądś lokomotywy. Gdy listki są odpowiednio suche, otwiera się wierzeje suszarni, żeby je przewietrzyć i spulchnić dobrym jesiennym powietrzem.

Potem kładzie się je warstwami i prasuje, a potem zwija w bale. A na końcu wywozi na targ do miasteczka Paris, skąd jadą wielkimi wozami do Memphis. A Lige dostaje zapłatę i pijemy przejrzystą jak szkło whisky małymi szklaneczkami. Biegamy po Memphis napaleni jak dzicy i robimy rzeczy, których potem nikt nie pamięta, i wracamy do domu. I chwalimy świat za te wszystkie dobre rzeczy. Lige kupuje kilka koni. I znów jest listopad, a żadna uprawna roślina nie wymaga większej troski i nie oddaje więcej w zamian niż tytoń. Lige płaci w złocie, bo tak się należy. Bo Południe dusi się banknotami. Nadającymi się przeważnie na podpałkę.

Kwiaty przyciągają pszczoły, a złoto bandytów. Takie są reguły. Prawo. Chyba wiedzą, kiedy się wraca do domu z zapłatą. Więc trzymamy broń w pogotowiu, a Lige idzie na rękę własnym łekom i na wszelki wypadek trzyma przy sobie dwie strzelby. Zawsze jesteśmy uzbrojeni i gotowi. Mróz znów ściął farmę, a długie chwasty zwieszają się do czarnego strumienia. Niedźwiedzie szukają gawry na zimę. Ptaki, które nie lubią chłódów, znikają i tylko drozd pilnuje królestwa. Jesteśmy dumni z Winony, jesteśmy dumni z pracy, a na końcu z siebie.

Bo wróciliśmy z Johnem Cole'em do pełni sił. Jesteśmy silni i twardzi. Mamy pogodne oblicza niczym dwa pola oczyszczone ogniem. Rozmawiamy często w pieleszach z gęsiego puchu o tym, co dawniej przeżyliśmy.

Leżymy obok siebie, gapiąc się na pajęczyny pod sufitem. Wracamy do tego, co się wydarzyło, i przywołujemy doniosłość tych chwil dla terażniejszości. Uważamy, że trochę już widzieliśmy.

Tak czy inaczej. John Cole zastanawia się, co jeszcze moglibyśmy zrobić dla Winony. Mówi, że potrzebny jej jakiś fach. Śpiewanie w minstrelsach nie jest fachem. Gdzieś muszą być jakieś szkoły dla takich jak ona. Wczesną jesienią chciał zapisać ją do szkoły, ale szkoła w Paris w Tennessee nie przyjmuje indiańskich dziewcząt. A ona jest najlepsza ze wszystkich dziewcząt w Ameryce, złości się John. Cholerny świat o kamiennym sercu. Cholerny świat ze świńskim łbem. Ślepi ludzie. Nie widzą, jaka ona jest?

Tach Petrie pojawia się w wygodnej dla siebie porze. Tak chyba było. Chyba musiał wyleczyć rany. Wstajemy któregoś ranka i widzimy go daleko na polu pod osłoną starych drzew.

Stoimy w kuchni Rosalee, pijąc kawę. Poprzedniego dnia padał grad tak wielki, że zabiłby psa, ale nie zostało po nim ani śladu. Tach Petrie w czarnym ubraniu, z karabinem na przedramieniu wyglądał na osamotnionego. Łodygi tytoniu wciąż wysterczają z ziemi, czekając na ogień. Niedługo trzeba będzie podpalić pole i zacząć długą pracę od początku. Ale to nas nie zraża.

Pamiętam, że pomyślałem, że wiem, że to Tach Petrie, ale skąd mogłem to wiedzieć z takiej odległości? Pamięć płata figle. Postąpił o



kilka kroków, a z jego lewej i prawej strony wstało dwóch innych. Wstawali jak upiory. Może sprawdzali ziemię. Mogli zakraść się od strumienia, ale wybrali pole. Jest wcześnie i możemy spać, ale Tach Petrie woli trzymać się poza zasięgiem strzelb. Zna ten zasięg, jakby miał łąkę mierniczą w oczach. Kule go nie dosięgną albo zsuną się po jego kurcie jak żołędzie. Lige mówi, że to tchórz, ale tego przejrzystego mroźnego ranka nie wyglądał mi na tchórze. Mamy dwa karabiny i nasze dwa muszkiety, a Rosalee i Winona mają je nabijać w razie potrzeby. Karabiny są szybsze i mają magazynki. Lige i Tennyson biorą po jednym i mierzą ponad lufami, a siedzą w starych fotelach i z tyłu wyglądają jak dwóch chłopców, którzy zasnęli z pochylonymi głowami w ramionach ojca. Ale mierzą do Tacha. Lige, o czym wie cały świat, jest strzelcem wyborowym i nie ma w nim cienia wątpliwości. Trzech ludzi umrze i nie będą to ci, których kocha czy lubi. Cholerne, głupie kurze nóżki, rzuca.

Przeegrali wojnę i tę też przegrają. Ale za plecami Tacha Petriego podnosi się jeszcze pół tuzina innych straceńców. Lige podnosi głowę znad lufy. Nie mówi ani słowa. Sprawdź z tyłu, rzuca do Rosalee. Wyjrzyj przez szparę i sprawdź, czy nie zachodzą nas z obu stron. Stukocząc obcasami, Rosalee pędzi na tyły domu. Strach wypełza z ciemności jak wygłodniały karaluch. Czuję skurcze żołądka. Nie wiem, czy nie wyrzycam kawy. Celujemy z muszkietów do dwóch przybocznych Petriego, ale brakuje nam rezerw, by sprowadzić śmierć na tych nowych. Chroni nas jednak dom. Byliby chyba uszczęśliwieni, mogąc nas dzisiaj zabić. Tamten wieczór w lesie musiał im chyba dokuczać. Do głowy przychodzą mi głupie myśli, że powinienem przebrać się w sukienkę. Głupia głowa z głupimi myślami. Tach Petrie nadchodzi. Jest w tym coś wojskowego. Jego ludzie padają na ziemię i czołgają się dla osłony pośród zwalonych drzew, płotów i bierwion. Pewnie są już w zasięgu. Wraca Rosalee i mówi, że nie zauważyła nic podejrzanego. Zamknęła tylne drzwi na sztabę. Wstawiła okiennice w okna. Ostatnio mocno padało i strumień wylewał, więc między domem a potokiem jest pewnie grzęzawisko. Nikt nie podejmie się podejścia z tamtej strony. Faktycznie, mówi Lige. Nikt prócz tego diabła i mordercy ludzi. Rosalee Bouguereau kładzie dłoń na piersi.

To prawda, to prawda. Teraz szerokie pola przed domem wyglądają jak puste. Gdzie są ci chłopcy? Robi się zimno i nie można rozpalić ognia. Podnieśliśmy okna, żeby przez nie strzelać, więc do domu wpycha się lodowaty wiatr.

Dach nad werandą ocienia nasze pozycje i mamy nadzieję, że fronton domu wydaje się zwyczajny i ciemny. Jeden ze straceńców się podrywa i kica jak zając do nowej kryjówki. Pada na ziemię. Po nim następny. Wygląda na to, że bawią się jak dzieci w podchody. Lige podpiera pysk wylotem lufy i przekrzywia głowę, stoi nieruchomo jak na malunku. Nie, nie zacznie strzelać, póki nie ujrzy przynajmniej trzech, wtedy da znak, że się obudziliśmy. Nie mają o niczym pojęcia. Mamy taką nadzieję. Ale Lige tak czy inaczej strzela. Pięknym, długim i czystym strzałem, który zrywa kapelusz z głowy biegnącego razem ze skalpem, co widać z daleka jako wielki rozprysk krwi. Tamci zapadają ciężko w ziemię, ale Tennyson namierzył któregoś i strzela. Człowiek, który rozszczepia gałązkę z odległości pięćdziesięciu stóp, nie ma większych problemów z trafieniem kogoś, kto biegnie. To już dwóch, myślimy. Odpowiadają ogniem, ale strzelają na oślep. Potem zapada krótka cisza i widzę, jak trzej dobiegają do suszarni tytoniu. Chowają się za węglem. Nadciąga długa ciemna chmura z utrudniającym mierzaniem, rozmazującym kolory i kształty deszczem. Świat staje się nagle brudnoczarny i widać tylko czerwone smugi farby na szopach. Pogoda i czas to dobre rozpuszczalniki. Wiemy z miejsca, że ktoś będzie się musiał pokazać i stanąć na ich czele. Z podchodów i czekania nic dobrego im nie przyjdzie. Muszą zająć nowe pozycje. Wygląda na to, że czterech pozostałych rozpierzchnęło się daleko od siebie. Ci trzej przy suszarni nie wyglądają zza węgła, co oznacza, że skradają się, żeby zająć nas od tyłu. To należy do mnie, tak mi podpowiada wojskowe doświadczenie. John Cole wie, co chcę zrobić. Pojmuje to bez słowa. Pochylam się i przemierzam dom, podnoszę sztabę na tylnych drzwiach, a Rosalee zamyka je za mną, słyszę skrzypienie sztaby. Mam do przebiegnięcia mały kawałek przez odkryty teren. Chcę obieć wielką suszarnię i spodziewam się ujrzeć tych pełzaczy. Mam muszkiet i samopowtarzalny pistolet Lige'a, więc nie jestem goły.

Czuję chłód i spokój, jakbym wybierał się na pstrągi. Kryjące się pod ciemnymi kamieniami, przez co nie wolno hałasować na brzegu. Biegnij, biegnij, biegnij. Słyszę za sobą salwę, potężną wymianę ognia między domem a polem, świszczą kule. To mi dodaje skrzydeł. Gdzie są te skurwiałe sukinsyny? Z kurew syny podkradają się, tylko dlaczego ich matki nie powiedziały im, że nie wolno zabijać ludzi? Wyzieram zza węgła suszarni. Widzę całą trójkę, odwróconą do mnie bokiem pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Znów zrywa się deszcz, który paruje im z łbów i pewnie z mojej głowy. Stoją pod wiatr, który smaga ich niczym mój sprzymierzeniec. Tylko jeden ma długi czarny płaszcz, reszta wygląda na zziębniętych jak sieroty. Strzelam do tego w płaszczu z muszkietu, rzucam muszkiet na ziemię i wyciągam pistolet, strzelam do drugiego.

Zdaje się, że go ranię, ale teraz wystarczy tylko wypłoszyć trzeciego i po wszystkim. Potężny ogień z domu, ale nic nie widzę. Nie podpisywałem żadnego kontraktu z Panem Bogiem, więc nie jestem Jego żołnierzem, ale modłę się, żeby strzegł i pilnował Winony. Człowiek stoi pośrodku strzelaniny i myśli tylko o Winonie. John Cole umie się o siebie zatroszczyć. Jest sprytny. Lige i Tennyson też. A Rosalee jest dorosła i mądra. Tylko Winona jest w kwiecie dziewczynstwa, a my za nią odpowiadamy. Ten, za którym pędzę – widzę go teraz wyraźniej. To jakiś włóczęga w łachmanach, z mętными oczami. Zostawił za sobą jakieś dawne życie. Może w Irlandii, Bóg wie gdzie. Zostawił za sobą dawne życie i znalazł się tutaj, gdzie pędzi na niego jakiś szaleniec. Strzelam do niego dwa razy, ale ten włóczęga jest szybki i ukrył się za korytem.

Ma mnie na widoku jak kaczkę, więc rzucam się za jakąś osłonę. Wielki pordzewiały kawał żelaza, pewnie ze starego kotła. Kule włóczęgi odbijają się od żelaza, jedna, dwie, i dźwięczą harmonijnie. Deszcz z Tennessee ustaje tak nagle, jak się zaczął, i można by przysiąc, że pan Noone albo jego niebiański brat podniósł ciężką kurtynę nad tą sceną śmierci. Wszystko zalewa jasne światło z Tennessee. Potop bieli i srebra. Dom prowadzi ostrzał jak cały korpus wojska, a między szopami i suszarnią zauważam biegnącego Tacha Petriego, machającego ręką do swoich ukrytych ludzi. Nie sprzątnę go

pistoletem z miejsca, w którym jestem. Muszę wziąć szturmem cholerne koryto i kryjącego się za nim wieprza. Cóż, Boże dopomóż w tej próbie, myślę sobie. Zagram w te karty. Rzucę na stół największy atut Życia. Dopomożesz mi Panie Boże, co nie? Wyskakuję zza kotła i rzucaam się ku korytu. Czuję kulę rozszarpującą mi ramię.

Albo ucho. Trudno orzec. Może głowę. Padam. Cholerny idiota. Pistolet wypada mi z ręki i ślizga się po klepisku. Mój wróg wyłania się zza koryta i pędzi pochylony ku mnie. Nie ruszaj się, nie ruszaj się, woła. Syczy i klnie. Stawia mi but na dłoni i mówi: Jak się ruszysz, nie żyjesz.

Rusz ręką o cal i jesteś trupem. Wierzę mu. Patrzą na jego smagłą, zgorzkniałą, wpatrzoną we mnie gębę. Straszne oczy, pokryta bliznami twarz. Zszywał go jakiś najgorszy krawiec na świecie. Znów słychać strzały, potem nagła cisza, potem jakieś głosy. Ruszysz się i nie żyjesz, powtarza. Dziwi mnie to, że jeszcze mnie nie załatwił. Dlaczego mnie nie zabija? Ale ludzie są dziwni, a zabójcy jeszcze dziwniejsi. Znów zaczyna się kanonada, widzę w szczelinie biegnących mężczyzn, może Tach Petrie i jego ludzie przypuścili atak. Strzelają i strzelają, a potem się nawołują. Dziwnie się czuję, leżąc na tyłach suszarni, z cofającym się jak zaprzęg koni niebem nad głową, jakbyśmy znaleźli się w jakiejś oazie spokoju. Ja i ten mrużący oczy gnój. Tak to się skończy, bo nie chcę żyć bez Winony i Johna Cole'a. Znów głośnie strzały i znów cisza. Mój strażnik zerka w lewo, żeby się przekonać, co się dzieje. Nie ma bladego pojęcia, tak samo jak ja.

Hej, Tach, woła. Tach Petrie? Odpowiedź nie nadchodzi. Tach Petrie, do cholery? I wtedy wydarza się cud. Zza szop wyłania się jakiś człowiek. Inny człowiek, ani nasz, ani ich. Wielki, poważny, zwalisty mężczyzna o spoconej twarzy. O wylupiastych oczach wołu pod ciężkimi powiekami. Znam tę twarz. Mój strażnik nawet go nie widzi. Gruby przybysz wypala. Odpada połowa twarzy mojego strażnika. Jego krew kapie mi na głowę, miesza się z moją krwią. Jezu Przenajświętszy Chryste. Skąd on się tu wziął? Starling Carlton.

Nawet się ze mną nie wita, tylko idzie prosto w szczelinę między szopami a suszarnią i zaczyna stamtąd strzelać. Ścieram krew z oczu, dzwoni mi w uszach, ale podnoszę się i staję za jego plecami,

wyglądam i widzę na werandzie wyprostowanego Tennysona, który mierzy i strzela przez pola do postaci uciekających w stronę zarośli i zagajników. Rosalee stoi przy nim z pudełkiem naboji, a Tennyson przerywa tylko po to, żeby przeładować spencera. Strzela jak prawdziwy żołnierz, strzela i Starling, a Tennyson pewnie myśli, że to ja. Jeden ze straceńców prawie dobiegł do domu, ale leży martwy z rozrzuconymi rękoma, inny padł bliżej pola i wygląda jak czarna plama farby na szronie. Padający wcześniej deszcz zamarznął na ziemi i to wszystko, co można dodać. Farmę ogarnia dziwny spokój, choć echo wystrzałów jeszcze grzmi w głowie: popróbowaliśmy chwil ostatnich, przed samą śmiercią, ale śmierć zrejterowała. Chcę się dowiedzieć, co się wydarzyło w domu i dlaczego John Cole nie strzelał z werandy. Skąd się tu wziął nasz stary niedojdowaty przyjaciel, to następne pytanie. Z ucha leje mi się krew, dzwonienie się nasila, a potem chyba się przewracam. Ale nie padam na ziemię, Starling łapie mnie w locie, podciąga i przekłada sobie moje ramię przez szyję. Cholerni Irlandczycy, mamrocze, nigdy nie mogłem ich zdzierżyć.

## Rozdział 19

Obchodzimy ze Starlingiem suszarnię od tyłu, bo nie chcemy, żeby Tennyson nas zastrzelił na deser. Więc wchodzimy do domu od tyłu. W środku Lige Magan klęczy nad Johnem Cole'em. Najpierw myślę, że go zabili, ale John Cole ma tylko zamknięte oczy, gdy wchodzimy.

Potem otwiera je i widzi Starlinga. Jezu, mówi, co tu robicie, sierżancie? Pojawił się jak anioł, oznajmiam. Jeśli on jest aniołem, to nie idę do nieba, rzuca Lige Magan. Skąd żeś się tu wziął, do cholery, Starling? – pyta Lige. Z uda Johna Cole'a leje się krew. Jakim cudem trafili go w udo, pojąć nie potrafię. Chyba że przez szparę w ścianie z bali. Jezu, Johnie Cole, wołam, mocnoś ranny? Widzę Winonę opartą o ścianę w kuchni. Błada jak niebo latem. Wraca Rosalee, a Tennyson chyba wciąż trzyma wartę na werandzie, bo nie wchodzi za nią. Grzebię w ranie obcęgi do podków, żeby wyciągnąć kulę, a potem Starling i Lige siadają na Johnie Cole'u, a ja przyżegam ranę dymiącym pogrzebaczem, od czego śmierdzi przypalonym Johnem Cole'em.

Jego ryku nie powstydziliby się osioł. Święty Wszechmogący Boże! – woła. Mam nadzieję, że ci zabójcy już nie wrócą, mówi Lige. Nie wrócą, bo ich powybijaliśmy, stwierdza Rosalee. Chyba większość z nich, dodaje Tennyson, który właśnie wszedł. Tak czy siak, zastrzeliłem Tacha Petriego, mówi. Dzielnie się spisałeś, chwali go Lige.

Po upływie godziny gapimy się w kawę zaparzoną przez Rosalee. Nikt nie pije. No i co, Starling, zaczyna Lige, co cię tu, do cholery, sprowadza? Starling nie należy do ludzi, którzy snują długie opowieści. Mówi, jak jest. Przyjechałem tu w innej sprawie, powiada. Nie przyjechałem tu po to, żeby ratować wam dupę, przykro mi, chłopcy. Mocno się zdziwiłem, że żyjecie sobie beztrosko pośród takich morderców i zbójów, co się do was podkradli. A potem mówi, co się stało. Najsampierw Schwytął Konia porwał panią Neale i bliźniaczki. Widziano go w krainie Wron. To wielki kraj, major i

dwustu żołnierzy ścigali go przez wiele dni. Lecz ani śladu Siuksów. Zaraz po tym do fortu zjeżdża niemiecki kupiec z wiadomością od Najsampierw Schwytał Konia. Zabił kobietę, mówi, i dziecko o ciemnych włosach. Chce odzyskać córkę siostry i daje w zamian drugie białe dziecko. Potem, mówi, podpisze nowy traktat, a na równinach zapanuje spokój. Starling mówi, że twarz majora wyglądała tak, jakby ją pobielili.

Nigdy nie widział kogoś tak bladego i dziwnego na twarzy. A kto jest dzieckiem jego cholernej siostry? – pyta się Lige Magan. Ta tu indiańska dziewczuszka, odpowiada Starling. Więc, ciągnie, major pyta się, gdzie ją znaleźć, na co mówię, że wiem, bo jest z Johnem Cole'em i Thomasem McNultym w Tennessee. Więc jedź do tego Tennessee i powiedz im, żeby ją przywieźli, mówi major, proś ich na wszystkie świętości, żeby to zrobili. John Cole jęczy na łóżku. To najgorsza rzecz, o jakiej słyszałem! – zawodzi. Jasna cholera! Potem Starling Carlton coś krzyczy, a John Cole odpowiada mu krzykiem. Wywracają mi się bebechy. Winona podchodzi do Johna Cole'a i kładzie mu dłoń na ramieniu leżącym na zmiętej pościeli. Muszę wrócić, mówi. John Cole wbija w nią wzrok i milczy. Słyszy chyba siłę jakiejś pradawnej sprawiedliwości w jej głosie. Jest biały jak ogryzek jabłka. Nie pozwolę ci, rzuca. Pani Neale była miła i dobra, mówi Winona. Jestem jej to winna. Jesteś dobrą dziewczynką, Winono, charczy John Cole, Bóg to widzi, ale nigdzie nie pojedziesz! Pojadę, mówi Winona, muszę. Nie, nie pojedziesz!

Wszystko rozstrzyga się następnego ranka, gdy Winona i Starling Carlton znikają. Wzięła konia z pola. Musieli wyjechać przed brzaskiem. John Cole nie może się ruszyć, więc biorę innego konia od Lige'a i ruszam za nimi. Mają przewagę jakichś sześciu godzin. Dopadnę ich.

Przez jakiś czas pędzę jak wszyscy diabli, ale potem zwalniam, żeby nie zapowietrzyć konia. Jest koniec grudnia, nie najlepsza pora na wyprawę do Wyomingu, jak teraz mówią na tamtą okolicę.

Po trzech dniach wjeżdżam do Nebraski. Wydaje mi się, że tu i ówdzie widzę ich ślady, odciski końskich kopyt w cienkiej warstewce śniegu, mam wrażenie, że to ich wierzchowce, ale to mógł być

ktokolwiek. Pytałem w Missouri każdego mijanego po drodze farmera, czy nie widział grubasa podróżującego ze squaw. Starlingowi się śpieszy, to pewne. Po czterech dniach już wiem, że go nie dogonię, i złoścuję się, że zapada noc, ale kładę się spać. Taka już jest ludzka natura. Po drodze muszę strzelać, co się da, głównie ptaki i króliki, ale mam też suszoną wołowinę. Któregoś popołudnia widzę daleko przed sobą wielką, niską i cienką chmurę unoszącą się, jak mi się zdaje, nad czarnym tumanem. Stado bizonów, dziwnie poprawia mi to nastrój. Są ich tysiące, ale za daleko na południe, żebym popróbował szczęścia. Wielka rzeka Platte płynie gdzieś na północ ode mnie, a ja dobrze wiem, że w ostatnich latach na jednego bizona przypada jeden Irlandczyk kładący kolejowe tory. Mówią, że w tej okolicy grasują wszędzie wściekli czemuś Paunisi, więc prawie się boję zapalić zapałkę i ogrzać się przy ognisku, choć nocą można zamarznąć na śmierć. Mam nadzieję, że Starling umie znaleźć wodę i jedzenie, jeśli nie dla siebie, to po to, żeby Winona przeżyła. Potem nadciąga zamieć. Straszna zamieć z wiatrem tak ostrym, że mógłby golić brody. Widzę tylko księżyc własnego kompasu. Wieje śniegiem przez pięć dni i nocy, a kiedy przestaje, wcale nie jestem mądrzejszy. Zauważam ze zdziwieniem porozrzucane tu i ówdzie farmy i domy – w zachodniej Nebrasce, gdzie kiedyś rosło tylko morze trawy! Wjeżdżam na szeroki szlak, ale o tak późnej porze roku nikt nie przemierza prerii wozem zaprzęgniętym w woły. Jeśli w ogóle ktokolwiek to robi. Nowe tory kolejowe ciągną się w nieskończoność, ale kolej milczy jak skały. Cała ziemia jest srebrzystobiała, a wrednie ciemne niebo wisi wysoko. Ani żywego ducha. Śnieg na dwie stopy, co nie podoba się nieszczęsnemu koniowi. Trafiam na mały cmentarzyk, gdzie leżą Chińczycy i Irlandczycy. Spłachetek ogrodzony drewnianym płotkiem, pogrążony w zimowej ciszy. Tej nocy robi się wielka wrzawa od błyskawic i grzmotów, dalekie wzgórza malują się czarno jak przypalony chleb, muszę spętać konia i przypaść do jakiejś skały. Grzmi tak głośno, że wszystkie marzenia wylatują mi z głowy.

Ulatują też wspomnienia. Chcę tylko odzyskać Winonę. Czuję wżerającą się w serce rozpacz jak po największej stracie. Ale chcę



odzyskać Winonę.

Kiedy wreszcie dojeżdżam do fortu, jest mi trochę lżej. Wartownik wpuszcza mnie bez słowa. Idę prosto do dowództwa, do majora, nie troszcząc się o Starlinga. Muszę iść tam, gdzie podejmuje się decyzje. Tak to działa. Wchodzę i staję przed majorem. Ma wychudłą i pobladłą twarz. Nie przypomina człowieka, którego znałem. Wstaje zza stołu, podchodzi do mnie i ujmuję moją prawą dłoń. Nie odzywa się. W zmarszczkach na wyschniętej twarzy widać czerwone smugi, jak wymalowane. Nie jest z nim dobrze. Jakby połknął żywego grzechotnika, który wyżera go od środka. Uderza go w wątpia raz po raz, a major nawet się nie skrzywi. Mówi coś o wdzięczności. Mówi, że wszystko jest już ustalone na następny dzień i że rozesłał posłańców.

Jeśli chcę podpisać kontrakt na dziewięćdziesiąt dni, on to załatwi, a po wszystkim go anuluję.

Nie mogę znaleźć ani pół cholernego słowa, żeby wyjaśnić mu, po co przyjechałem. Pewnie myśli, że przyjechałem ze Starlingiem. Na stole majora stoi dagerotyp pani Neale, zrobiony pewnie wtedy, kiedy się z nią ożenił. Może zdjął ją wówczas stary Titian Finch. Widzi, że patrzę na zdjęcie. W jego oczach zapala się dawny błysk. Mówi coś o Angel, swojej córce, a ja odpowiadam, że nie mogę uwierzyć, że pani Neale nie żyje. Tak, nie żyje, stwierdza, i Hephzibah też. To znaczy, ciągnie, masz rację. Oddycham i żyję tylko dzięki temu, że kapitan Carlton obiecał, że was przywiezie. Modlę się do Boga, żebyśmy jutro odzyskali Angel. Odziliśmy Winonę w mundur dobosza, powiada, żeby pokazać, jak bardzo ją cenimy. A ja nie umiem znaleźć słów, które życzyłyby sobie usłyszeć z mych ust John Cole. Gapię się na majora, a potem salutuję i wychodzę. Powrót do fortu przywołuje stare wspomnienia. Wracają dawne cienie i głosy. Kawalerzyści, których kiedyś znałem, straszliwy śpiew i piekielny charakter sierżanta Wellingtona. Każdy żywot przynosi chwile szczęścia wbrew obrzydliwym Parkom. Przez myśl przelatuje mi wielu ludzi, począwszy od tych, których darzyłem podziwem, aż do tych, którymi gardziłem. Z wyjątkiem tego znękanego majora. Właśnie o to mi chodzi. Że to najuczciwszy człowiek, który nie potrafi znieść

niesprawiedliwości.

Muszę znaleźć Winonę i sprawdzić, co u niej. Dwa tygodnie ze Starlingiem Carltonem wyczerpałyby i Świętego Pawła. Sam jestem tak głodny, że zjadłbym głowę Świętego Jana Chrzciciela, ale najpierw muszę odszukać Winonę. Starling jest dowódcą szwadronu A i tam ją znajduję. Siedzi przy piecu w nowym mundurze i klę się na Boga, że przez chwilę myślałem, że to chłopiec. Upchnęła czarne lśniące włosy pod kepi. Ale zrywa się i pędzi ku mnie.

Najukochańszy dobosz w dziejach całej armii. Jak cię traktował ten Starling? – pytam. Przez całą drogę nie odezwał się ani słowem, odpowiada Winona. Ani słowem? Wydawał mi tylko rozkazy: gdzie mam usiąść, gdzie się położyć. Niech go szlag, co za osobliwy i przeklęty typ, mówię. Na co wtacza się Starling we własnej osobie – idzie tak, że trzęsie się pod nim drewniana podłoga.

Przystaje, żeby zmiarkować, o co mi chodzi, i wyciąga rewolwer. Cofnij się od niej, rzuca, albo cię zastrzelę, zdradziecki judaszu. Jezu Chryste, Carlton, mówię, daj se siana. Nie wchodzę z tobą w zwadę.

Pełen przedziwnych złych przeczuć idę do kwatermistrzostwa wyfasować mundur kaprala. Przebieram się od razu pomiędzy półkami, a pisarz kwatermistrza jak zawsze robi, co może, żeby dopasować mundur na takiego strzyżyka jak ja; podaje mi pas i ekwipunek, buty zostawiam swoje. Nie mam zamiaru cierpieć w wojskowych kamaszach. Zbrojmistrz wydaje mi karabin i pistolet. Wiążę koszulę, poprawiam jajka i nie wiem, co we mnie wstępuje. Jakby nie było tych wszystkich lat, jakby opadły, bo czuję się tak jak pierwszego dnia w koszarach z Johnem Cole'em. Jak w St. Louis przed tysiącem lat. Oczyma duszy widzę, jak z dziurą w udzie leży na łożu boleści w Tennessee. A potem widzę chłopaka w łachmanach, którego poznałem pod krzakiem w Missouri. Kręci mi się w głowie od tych wszystkich Johnów Cole'ów.

Prawdopodobnie dopuszczam się zdrady najdroższego mi człowieka. Pewnie tak, pewnie tak. I modlę się jednocześnie o rzeczy, których nie umiem nazwać i które noszę zapomniane z tyłu głowy.

Ten niemiecki kupiec krząta się jak mucha na nawozie. Poprowadzi nas na miejsce spotkania. Nie wiem, w czym ten chytry mały i łysy

człowieczek w zagranicznym kapeluszu upatruje zarobek przy tej sprawie. Mówią, że ma udziały w nowym węźle kolejowym Laramie, położonym sto mil stąd na południe, ale nie chce mi się w to wnikać. Ma na sobie nieprany od potopu garnitur w białe prążki. Ktoś mówi, że nazywa się Henry Sarjohn, co na moje ucho nie brzmi po niemiecku. Pan Sarjohn lubi żuć tytoń, który pieni mu się w gębie. Rozmawiając z majorem, odwraca się raz po raz i spluwa. Czekają nas dwa dni konnej jazdy i jak widzę, nie zabieramy działa. Obecnie w formie stacjonuje pięć w pełni obsadzonych regimentów, gdyż strach przed Siuksami przedarł się wreszcie do rządowych serc. W sześćdziesiątym ósmym podpisali nowy traktat, ale kolej odbiera im ziemię. Z chęcią wyruszyłbym w pole z pięcioma tysiącami żołnierzy. Ale Najsampierw Schwytał Konia godzi się tylko na dwa szwadrony do tego fandango. To dwustu żołnierzy, a jego wataha rozrosła się podobno do trzystu. To nie przeszkadza majorowi. Chce odzyskać córkę. Pewnie uważa, że jeśli jej nie odzyska, liczba żołnierzy w polu nie ma większego znaczenia. Z przyjemnością da się wtedy zabić. Widać to po nim. Jest zdesperowany i zamknięty w sobie. Jak samobójca na moście, który ma zamiar skoczyć. Pewnie należałoby się go obawiać. Starling Carlton dosiada wielkiego siwka, jest najmroźniejszy dzień w roku, a on i tak się poci. Pot leje mu się za kołnierz i wisi małymi sopolkami na brwiach. To najbardziej nienormalna kanalia w całym chrześcijaństwie. Jedziemy w ariergardzie szwadronów, Winona trzyma się blisko nas. Jesteś pewna? – pytam się jej. Jesteś pewna? Z łatwością możemy stąd uciec, wyprowadzę nas, tylko daj mi znak. Jestem pewna, uśmiecha się do mnie po swojemu. Jasna cholera, mówię. Nie dali ci werbla do tego munduru? – pytam. Nie, nie dali, odpowiada. I śmieje się w głos. Ja się nie śmieję, w ogóle się nie śmieję.

Jeśli wciąż mam serce, jest od dawna złamane.

Próbuję zgłębić ten plan. Oddamy Winonę wujowi i odbierzemy Angel Neale. A co stanie się później z Winoną? Myślą, że przebierze się w sukienkę Siuksów i znów zacznie mówić po ichniemu? Zdaje się, że nie przejmują się specjalnie losem Winony. Wiem, że nie. Starling Carlton jest zakochany w swoim przeklętym majorze i zrobi wszystko,

co w jego mocy, żeby udzielić mu wsparcia. Oczywiście, że tak. Major jest najsprawiedliwszym z ludzi stąpających po ziemi, ale wydrażonym do cna przez ostrze rozpacz. W szwadronie wciąż służą tacy, których pamiętam z dawnych lat, a ja czuję się dziwnie w granatowym mundurze. Nieduży Sarjohn jedzie z przodu i kolebie się na mule, jakby wiedział, co robi. Dobrze znane wzgórza w zimowych koronkach i szalu. Ziemia umie pocieszyć nawet w najczarniejszej rozpacz. Ponura prawda wygląda tak, że jest i będzie dla nas jak matka.

Starling Carlton dowodzi moją starą kompanią, a ja mam swoją kaprałską robotę. Szwadronem A dowodzi dziwny jegomość o żółtawej twarzy, niejaki kapitan Sowell. Ma policzki jakby wyrąbane z drewna i długie bokobrody jak niegdyś kawalerzysta Watchorn.

Mężczyzna, jak powiadają, musi mieć gęsty, kłujący zarost po obu stronach nosa. Starling Carlton nie ma ochoty ze mną rozmawiać, więc się go o nich nie pytam. Wątpię, żeby mi ufał, ale niczego nie kombinuję, z wyjątkiem tego, żeby Winona była bezpieczna. Polecono jej jechać obok majora, który dosiada pięknej karej klaczy. Jak się widzi takiego konia, człowiek od razu wie, że przez całą Nebraskę i Wyoming jechał na żalosennej chabecie. Sierść klaczy majora lśni w srebrzystośnieźnej poświacie. Od dawna nie jechałem z majorem, ale znów czuję w sercu stare oddanie. Nagle opadają mnie najczarniejsze smutki. Za straconymi niegdyś towarzyszami. Za poległymi w bitwach. Za zamordowaną panią Neale, najłagodniejszą z kobiet. Gdzieś za tym wszystkim są i inne sprawy. Dawno zapomniane zjawy moich bliskich ze Sligo. Sligo. Pewnie nie myślałem o nim od dobrych dziesięciu lat. Widzę przed oczami zanieczyszczoną suknię matki. Zniszczony przez śmierć fartuszek siostry. Wychudzone zimne twarze. Mój ojciec rozciągnięty niczym kawałek rozsmarowanego masła. Plama. Zmiażdżony wysoki cylinder.

Człowiek przeważnie wie, że nie jest najbystrzejszy z ludzi. Ale czasem mgła zwykłych myśli unosi się w nagłym powiewie rozumu i widzi się wszystko tak jasno jak pod bezchmurnym niebem. Popęlniamy błąd za błędem i nazywamy to mądrością, ale tak nie jest. Powiadają, że jesteśmy chrześcijanami czy kimś tam, ale to

nieprawda. Powiadają, że jesteśmy stworzeniem wyniesionym przez Boga ponad inne, ale każdy, kto stąpa po ziemi, wie, że to bezwstydną kłamstwo. Jedziemy tego dnia naprzeciw Najsampierw Schwytał Konia, by nazwać go mordercą w milczącym osądzie. Ale to my pierwsi zabiliśmy mu żonę i dziecko. Pierwszą Winonę. I wielu innych krewnych. Wyrwaliśmy tym równinom naszą własną Winonę. Przysposobiliśmy ją na rodzoną córkę. Ale nią nie jest. Kim jest teraz? Szarpana w dwie strony i odziana teraz w mundur dobosza kawalerii Stanów Zjednoczonych, roześmiana. Spełniając prośbę najboleśniej zranionego majora, jest w głębi duszy pogodna, bo żona majora była dla niej dobra. Winona, królowa tej przejmującej strachem krainy. Cholera, kapralom nie wolno płakać! A John Cole leży w naszym łóżku w domu i zastanawia się, co robię. Czy nie zdradzam go, nie łamię danego słowa? W świecie nie chodzi tylko o to, żeby ciągle za czymś gonić. Trzeba też się czasem zastanowić. Ale nie mam głowy do myślenia o tym wszystkim. Śnieg, który składa się głównie z ciemniejszych otworów w bieli, wiatr... wszystko to pada na mą czarną rozpacz. Szwadrony z niemieckim pyszałkiem na przedzie... Nikt nigdy nie widział takiego zarozumiałca jak ja.

Najsampierw Schwytał Konia zrazu się nie pokazuje. Jego chłopcy czekają na nas z tyłu głębokiego wąwozu. Na urwistych stokach rosną drzewa, ciekawe, jak się tam znalazły. Ciemne choiny strzelające ku niebu niczym wieczny ogień. U podnóża brzezina: srebrzyste drzewa jak druhny na weselu. Siuksowie są jacyś inni, nie mają nigdzie piór, a włosy jakby przycięte u fryzjera. Poprzebierali się we wszystkie łąchy sprzedawane przez białych. Głównie szmaty. Tu i ówdzie napierśnik z cienkiego stalowego drutu. Nie pomogli nam w wojnie, więc nikt się nimi specjalnie nie przejmuje. Ostatnie traktaty niczego nie rozwiązały. Major siedzi wyprostowany w siodle i rozgląda się wokół, jakby wypatrywał córki. Wśród Indian i żołnierzy panuje dziwna atmosfera. Jakby miało zacząć się jakieś przedstawienie w sali pana Noone'a. Kawalerzyści zerkają po sobie, nikomu nie podoba się lśniący nowiutka broń, której nie brakuje Indianom.

Mają nawet kordy i pistolety. Choć wyglądają jak włóczędzy. Nicponie. Do ich ojców należała cała ta ziemia, a nas tutaj nie było.

Teraz przemierza ją sto tysięcy Irlandczyków, Chińczyków uciekających przed okrutnym cesarzem, Holendrów i Niemców, chłopaków ze wschodu. Rozlali się po szlakach niczym niekończące się stado. Każda ze stojących przed nami twarzy wygląda, jakby ją policzkowano. Raz i drugi. Ciemne twarze wyzierające spod tandetnych kapeluszy.

Żebracy. Bankruci. Tak o nich myślę. I wtedy z zagajnika w głębi wąwozu wyjeżdża Najsampierw Schwytał Konia. Nie widziałem go od wielu lat. Ma na sobie wojenny pióropusz i właściwy strój. Musiał się postarać na to spotkanie. Ma dumną i zagniewaną twarz, jak Pan Jezus w świątyni. Dosiada przepięknego rumaka, lecz nie zadaje sobie trudu, żeby trzymać wodze. Wygląda na to, że Sarjohn mówi w języku Siuksów. Gadają przez chwilę. Major siedzi spokojnie w siodle, jakby dokonywał przeglądu wojska na placu apelowym. Widzę tylko jego potylicę. Ma czysty, zadbane mundur. Ordynans wygiął mu elegancko rondo kapelusza. Pewnie spał na mundurze, żeby go wyprasować. Major nie porusza się nawet wtedy, gdy rząd Indian faluje, otwiera wąską szczelinę, przez którą wyprowadzają jego córkę. Wie, że ma przed sobą gniazdo os i nieroztropnie jest je kopać.

Sarjohn cofa się po Winonę, jedzie z nią Starling Carlton, wymiana dokonuje się na wąskim pasie suchej zimowej trawy. Najsampierw Schwytał Konia obraca rumaka i kopie go w boki gołymi piętami. Nie ma butów jak żołnierze Konfederacji. Winona podąża za nim kłusem.

Reszta Indian odpływa nagle jak jeden mąż, jakby powietrze wyparło wodę. Zostaje Angel Neale. Nie ma więcej niż osiemdziesięć lat. Ogniste choiny i mała dziewczynka. Przebrali ją za małą squaw. Major spina konia i pochyla się ku córce. Podnosi ją jak zgubę z ziemi i sadza za sobą na siodle. Każdy, kto chce, może usłyszeć, jak dziewczynka płacze. Potem wykonujemy zwrot i wyruszamy w drogę powrotną.

## Rozdział 20

Stare smutki pływają we krwi niczym druga natura, a nowy smutek przyprawia o obłąd sklepienia rozumu. Wywołuje pod nimi zgiełk. Opuszczam Winonę. Już nigdy, jak mi się wydaje, nie ujrzę Johna Cole'a. Gdzie znaleźć słowa, żeby to wszystko opowiedzieć? Człowiek liczący przez całe życie zera nie przyjmuje jedynki w odpowiedzi. Tamtej nocy przejechaliśmy połowę drogi do fortu i postawiliśmy namiot oficerski, który wkrótce rozświetliło światło lampy.

Wokół nas zimne i ciemne równiny, wartownicy śpiewają cicho swe pieśni, jakby przygaszeni wnoszącą się nad nimi nocą i miliardami migoczących i niemigoczących gwiazd. Szwadrony kładą się do snu i są ukontentowane po ludzku i po żołniersku. Wojsko dokonało wielkiej rzeczy, ocaliło serce majora. Widzę, jak major rysuje coś po mapie, z córeczką u boku. Na polowym stoliku stoi kieliszek wina, załamuje światło jak unoszący się nad blatem klejnot. Od czasu do czasu major zerka na dziewczynkę. Cieszę się, widząc tę scenę. Ale w głowie mam zgiełk.

Po dwóch dniach od powrotu do fortu major odesłał córeczkę do nowego kolejowego miasta, oddalonego o sto mil na południe. W eskorcie młodego porucznika i dwóch kawalerzystów. Mają jej pilnować przez całą drogę do Bostonu, gdzie oddadzą ją pod opiekę rodziny matki. Krąży plotka, że major przejdzie w stan spoczynku, złoży dymisję i wróci do cywila. Chyba ma już dość suszonych warzyw. Co ja, u Boga Ojca, mam począć, orzec nie potrafię. Daję młodemu porucznikowi wiadomość, aby przesłał ją telegraficznie do Johna Cole'a.

„Opóźnienie Stop Wkrótce więcej Stop Winona bezpieczna Stop”.  
Trzy kłamstwa za siedemdziesiąt pięć centów.

Starling Carlton należy teraz do korpusu oficerów, więc niełatwo go przydybać. Ale jest tu też taki chłopak, Poulson, kapral jak ja i pochodzi z Jackson. Był, jak to mówili na wojnie, zdrajcą Południa, bo walczył dla Unii. Miły chłopak z grzywą rudych włosów, tak gęstą,

że z trudem trzyma się na nich czapka. Nie jest zbyt elegancki, ale porządny. Z kolei kapitan Silas Sowell traktuje podwładnych po bożemu. Bo sam jest pobożny i nie lubi przeklinania, więc rozmowa z nim nie jest łatwa. Usiłuję wybadać, co mnie ewentualnie czeka. Choć poruszam się po omacku. Major Neale chodzi czerwony na pysku, a kawalerzyści mówią, że leje w gardło whisky. Chyba szuka lekarstwa. Odzyskał córkę, ale wciąż ma dwa groby jak ciężły wyrzut sumienia. Fort znacznie rozrósł się w tych czasach. Żony i markietanki, bez liku znękanym Indian. Tysiące koni i chłopaków, którzy się nimi zajmują. Wrony wciąż pracują jako tropiące wilki dla wojska i są w tym doskonali. Jednego wieczoru piję w ich obozowisku, żeby wybadać, czy czegoś nie wiedzą. Dobrzy, towarzyscy ludzie. Przez całą noc prześcigają się w żartach.

Długich, nieprzyzwoitych, wielopiętrowych dowcipach. Opowiadanych w połowie po wroniemu, a w połowie po angielsku. Więc nie da się ich zrozumieć. Ale nic nie wiedzą o Winonie.

Następnego dnia ledwo żyję, ale coś się zaczyna dziać. Alarm bojowy we wszystkich czterech regimentach, pełna gotowość. Żołnierze są musztrowani od pobudki. Szwadrony stają w szyku, konie parskają i przebierają nogami. Na czele tej brygady staje major, bo pułkownik wyjechał do San Francisco. Tak mówi Poulson. Ale dokąd jedziemy? – pytam. Nikt nie wie, odpowiada, rozkazy przyjdą później. Do obrony fortu zostaje tylko jeden regiment. Cała reszta wylewa się przez bramy. Kolumna za kolumną kawalerii. Niebieski wąż długości jednej ósmej mili. Mamy pięć nowych kartaczońnic Gatlinga i całą baterię dwunastofuntowych napoleońskich jednorogów. Ale pogoda nie sprzyja kampaniom. Ziemia jest twarda i goła i nawet na równinach nie będzie trawy. Więc musi to być jakiś szybki wypad i powrót. Nikt tego nie wie. Gorzej, że wciąż jest z nami ten niemiecki szczur Henry Sarjohn. Nie wygląda na uszczęśliwionego i jedzie z opuszczoną głową. Poulson mówi, że major go nie lubi, a ja powiadam, że nawet matka Sarjohna musiała mieć z tym kłopot. Jedziemy tym samym szlakiem co poprzednio i nie wiem, czy bać się, czy cieszyć. Wygląda na to, że zmierzamy do wąwozu z choinami i brzezina, tego samego, który odwiedziliśmy za pierwszym razem.



Zapada noc, ale major prowadzi nas dalej. Pokonujemy drogę w zimnym świetle gwiazd. Usiłuję wybadać Poulsona, ale ten nic nie wie.

Muszę więc spróbować ze Starlingiem. Podjeżdżam do niego. Hej, Starling, wiesz, dokąd zmierzamy? Nie odpowiada. Patrzy przed siebie, choć zerknął na mnie z ukosa. Wstaje nieszczery księżyc i płonie słabo. Jak lampa, w której kończy się nafta. Tuż po wschodzie słońca wjeżdżamy do tej samej zwężającej się ku końcowi doliny. Przeprowadzamy się przez przełęcz u wylotu. Dalej jest stok pokryty szarymi głazami i cętkami śniegu. Przed nim potok błyszczący w pierwszych promieniach słońca. Poniżej nas wioska Najsampierw Schwytał Konia. Co to ma być, w imię Ukrzyżowanego?

Najsampierw Schwytał Konia musi się przygotowywać do podpisania traktatu, bo wywiesił jankeską flagę. Powiewa na szczycie największego tipi w samym środku wioski.

Kawaleria faluje, zwijając i rozwijając szyki. Rozstawiono baterie, odwrócono szybko kartaczożnice Gatlinga. Od wioski dzieli nas niecałe dwieście jardów i jeśli rozpoczną ostrzał, nie zostanie tam kamień na kamieniu. Winona! Winona! Przypuszczam, że siedzi w tym największym namiocie. Major wydał rozkazy, kapitanowie stają na czele szwadronów, wszyscy są na swoim miejscu. Widać stąd poruszających się Indian, poranne ogniska rozpalane przez squaw. Niektórzy z nich wstają i patrzą na nas przez dolinę. Są bardzo zaskoczeni, tak jak i ja.

Szczep musi liczyć z pięćset dusz, wnosząc po rozrzuconych wigwamach i tipi. Potok za nimi zasnuwa się lekką mgiełką. Potem ziemia unosi się do krawędzi lasu, ciemnozielone połacie, a dalej piętrzą się wysoko czarne góry z czapami śniegu na szczytach. Nad kawalerią zapada cisza i cisza zapada nad wioską, nad lasem i nad górami. Całe stworzenie popada w zadumę i nie wie, co powiedzieć. Poulson staje u mojego boku i zerka na mnie. Major Neale jedzie na koniu wzdłuż naszych szyków. Wykrzykuje rozkazy do każdego pięćdziesięcioosobowego oddziału.

W tym samym czasie z wioski wybiega jakichś dwudziestu wojowników. Nie są uzbrojeni. Biegną ku nam. Najsampierw

Schwytął Konia biegnie na przedzie. Zdjął flagę i biegnie razem z nią. Wymachuje naszymi barwami, jakby to były słowa. Major Neale dojeżdża do naszego oddziału. Gotuj się do szarży, rzuca, rżnijcie wszystko w pień. Nie zostanie tu kamień na kamieniu. Wyróżnić wszystkich. To nie są słowa, które mógłby wypowiedzieć major. Podjeżdża do niego kapitan Sowell i rozpoczyna dyskusję z przełożonym. Dla żołnierza to najgorszy widok.

Bitwa jest złem samym w sobie bez krzyków oficerów. Oczy wszystkich kawalerzystów, czterech tysięcy żołnierzy, wpatrują się ze zdumieniem w to, co się przed nimi rozgrywa.

Najsampierw Schwytął Konia dobiega do kolumny wojska. Krzyczy, a major krzyczy na kapitana Sowella. Nie słyszymy, co odpowiada kapitan.

Cała brygada kawalerii drży w oczekiwaniu. Po wiosce biegną już wojownicy ze strzelbami. Z tyłu uciekają kobiety i dzieci. Zagonione squaw dogaszają tłące się ogniska. Piski i krzyki dobiegają do naszych uszu. Kapitan Sowell nie ma wyboru, musi dołączyć do szwadronu. Odzywają się kartaczownice, strzelają do uciekających kobiet. Widzimy, jak padają, jakby były z innego świata. Napoleońskie jednorogi odzywają się niższym tonem, pisk i w wiosce wybucha tuzin granatów. Żołnierzom nie pozostaje nic innego, jak zrobić to, co im przykazano. Ktoś rozkazał rzeź, muszą wypełnić rozkaz. Jeśli tego nie zrobią, zostaną rozstrzelani. Najsampierw Schwytął Konia zawahał się. Macha do wojowników, nakazuje odwrót. Biegnie tak rączo jak młodzi. Młóci nogami bylicę. Major podnosi enfielda, mierzy, strzela. Wielki Najsampierw Schwytął Konia pada, zabity przez niedowierzanie. Wyróżnić wszystkich bez wyjątku, powtarza komendę major. Co do jednego! Szarżujemy jak wylewająca rzeka.

Czy ktoś wyjaśni wam przyczynę tego, co wydarzyło się owego dnia? Z pewnością nie Thomas McNulty. Tego ranka w żołnierzach doszło do głosu wszystko, co w ludziach najdziksze. W tych, których znałem wcześniej, i w tych, których poznawałem od kilku dni.

Rzucamy się na wioskę jak wataha kojotów. Wojownicy chwytają za broń i wybiegają z wigwamów. Kobiety zawodzą i nawołują. Żołnierze klną na czym świat stoi jak najprawdziwsze demony. Pal i

pal. Widzę Starlinga Carltona na czele szwadronu, cwałuje z uniesioną na wroga szablą. Morda czerwona jak otwarta rana. Wielki bebecch, dobrze trzymający się w siodle i niebezpieczny. W pozie morderczego tancerza. Wszędzie wokół siła, potęga i zgroza. W sercu każdego żołnierza. Strach przed śmiercią, przed spóźnionym strzałem.

Przed kulą trafiającą w miękkie ciało. Wyrznąć ich wszystkich. Rozkaz, jakiego nigdy dotąd nie słyszeliśmy. Szarżuję z całym szwadronem, a gdy wpadamy pomiędzy tipi, zeskakuję z konia. Nie mam najmniejszego pojęcia, co robię, wiem tylko, że muszę dostać się do środka wioski.

Modłę się do duszy Przystojnego Johna Cole'a, żeby Winona siedziała w tym wigwamie. Jeśli jej tam nie ma, czeka mnie wieczne potępienie. Biegnę pomiędzy tipi, czując dziwną lekkość. Jakby ktoś przyprawił mi skrzydła, których nie mam. Dobiegam do wielokolorowego wigwamu wodza i rzucam się do wejścia. Jest większy, niżli mi się wydawało, wypełniony chłodnym porannym światłem. Nagle ktoś na mnie wskakuje i przywiera do mnie. W wigwamie siedzi z tuzin kobiet, ale tą przyssawką na mnie jest Winona. Chwała Bogu, mówię, trzymaj się blisko mnie. Musimy się stąd wydostać. Thomas, szepcze Winona, uratuj mnie, proszę. Zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy. Nawet nie patrzę na pozostałe Indianki. I tak nie mógłbym im pomóc. Wpatrują się we mnie zaskoczone, na ich twarzach maluje się niepokój. Wszędzie wokół słychać strzały, świst i przekleństwa kul. Kule świszczą przez wigwam i wylatują po drugiej stronie. Przez dwie sekundy, które spędzam w środku, przewracają się dwie albo trzy kobiety. To lud Winony, a ja mam w głowie pożogę. Miłość chwyta mnie za gardło. Nie do nich, powiadam, lecz do niej. Nie dbam o to, że nie jest moją córką, znam to palące wszystko inne uczucie.

Wysuwam się na zewnątrz, osłaniając sobą Winonę. Ale dokąd, na rany Chrystusa, mam iść? Może znów na stok? Może tam, gdzie stoją gatlingi? Na szczęście dla mnie Winona wciąż ma na sobie mundur dobosza. To mnie dziwi, ale tego dnia wzywam na pomoc i Boga, i diabła, wszystko mi jedno. Towarzyszyło nam dwóch doboszów na kucach, ale nie widziałem, żeby szarżowali. Bo to nie była właściwa

szarża. Ale mundur może nas ocalić. Nawet jeśli flaga nie ocaliła wodza. Bóg świadkiem, że żołnierze nie strzelają do granatowych kurt. Jesteśmy już na obrzeżach wioski, gdzie toczy się wściekły i hałaśliwy bój. Tyle samo trupów co żywych. Nie przypatruję się temu, ale widzę wszystko, co się wokół dzieje, jakbym miał sto par oczu.

Kawaleria przejechała się na koniach przez wioskę, tnąc na oślep i strzelając do woli. Nie widzę ani jednego kawalerzysty na ziemi, zabitego czy rannego. Teraz posiadali z koni i zabijają pistoletami i szablami. Dlaczego wojownicy nie odpowiedzieli ogniem? Może zabrakło im cholernych kul? Może już nic nie mieli? Klnę na siebie w głębi duszy i przysięgam sobie, że to moja ostatnia bitwa. Jeśli tylko wydostanę stąd Winonę. Widzę przed sobą wielkiego Starlinga Carltona, stoi pięć stóp od nas. Kapitanie, wołam, pomóż nam, pomóż nam, proszę. To córka Johna Cole'a. To nie jest jego córka, ryczy Starling. Starling, to jego córka! Błagam cię, stań z drugiej strony i pomóż mi. Czy ty nic nie rozumiesz, McNulty? Wszystko się zmieniło. Mamy zrobić, co nam rozkazano! Mamy wyróżnić ich wszystkich, nikt nie wyjdzie stąd żywy. Ale to jest Winona, znasz przecież Winonę! To indiańska squaw. Nie widzicie, kapralu? Ci ludzie zabili panią Neale. Ci ludzie zabili córeczkę majora. Odsuń się, Thomas, zgładzę ją. Dostaliśmy rozkaz i klnę się, że go wypełnię. Jest ogromny, jakby spuchł jeszcze bardziej. Jest jak żmija, która zaraz uderzy. I zalewa go biblijny potop potu. Hej, Noe, gdzie twoja arka? Stary Starling Carlton chce zatopić świat. Kocham tego człowieka. Przeszliśmy razem przez tysiąc rzezi. Teraz unosi swą dumę: lśniącego smitha and wessona. Przy pasie ma śliczny karabin Spencera. Dostał wszystko, o czym marzył. Starling Carlton – jest nikim i jest całym światem. Każdą duszyczką ulepioną przez Boga. Podnosi elegancki pistolet. Zaraz wystrzeli. Widzę to po nim. I chwytam, dobry Jezu, za szablę jak chirurg za swój lancet, ostrze śmiga przez trzy stopy i jego górna połowa trafia w wielki łeb Starlinga, tnie, wbija się, aż mu pękają oczy, i nie ma czasu wystrzelić, bo pada... mój stary pomyłony przyjaciel. Przepycham się mimo trupa, nie odwracam się za siebie, tylko tacy obłąkańcy jak Starling rozglądają się za drugim wężem albo mordercą gotowym zabić Winonę.

Biegniemy ile tchu w piersiach pomiędzy wigwamami i stajemy na zamarzniętej trawie. Rozglądam się za koniem, ale musiał uciec w cholere i trudno go winić. Musimy wspiać się wyżej, za baterie. To jedyne bezpieczne miejsce. Chwytam Winonę za rękę i biegniemy jak dwaj żołnierze. Prawdę powiedziawszy, jestem od niej niewiele większy. Kule świszczą nam za plecami, ale to tylko rykoszety. Żaden Indianin już nie strzela. Ani jeden. Gdy dobiegamy do linii kartaczożnic Gatlinga, mijamy trupa Najsampierw Schwytał Konia. Mordercy pani Neale i Hephzibah, którego lud zapłacił za to najstraszliwszą cenę. Jaka w tym kryje się uświęcająca łaska, jaki za tym stał Bóg, orzec nie potrafię. Ani trochę.

Wygląda na to, że tego dnia wszyscy diabli sprzysięgli się przeciw nam. Wyrznać wszystkich. Nikt nie wyjdzie stąd żywy. Wszystkich wyrznięto. Nie został nikt, by opowiedzieć tę historię. Czterystu siedemdziesięciu. A gdy żołnierze przestali zabijać, rżnęli dalej. Wyrzynali sromy kobietom i doczepiali je sobie do kapeluszy. Wyrzynali moszny chłopcom, żeby suszyć je na kapciuchy. Obcinali głowy i członki, żeby nikt nie dotarł na wieczne łowy. Wrócili na wzgórze cali pokryci krwią i flakami. Umazani wąsami żył. Uszczęśliwieni jak diabły po diabelskiej robocie. Rozradowani, nawoływali do siebie. Skapani w rzeźnickiej chwale. Nigdy nie słyszał tak obłąkanego śmiechu. Rubasznego, sięgającego gór, sięgającego nieba rehotu.

Poklepywali się po plecach. Wymieniali słowa potworniejsze od przelanej krwi. Ani śladu wyrzutów sumienia. Rozkosz i życie pełną piersią. Najbardziej pożądana jatka. Życiowa werwa. Siła i poryw serca. Kulminacja wojaczki. Dzień wymierzania sprawiedliwości.

Ale podczas powrotu przez równiny opadło ich straszne zmęczenie i zapanowała przedziwna cisza. Muły ochoczo ciągnęły działa. Poganiacze trzymali je za uzdy. Kawalerzyści, którzy odzyskali konie, jechali z opuszczonymi głowami. Wystarczyła byle dziura, byle potknięcie konia, żeby spadali z siodła jak żółtodzioby. Nie mogli jeść na postoju. Nie pamiętali nawet modlitwy. Zabijanie boli w sercu i bruka duszę. Kapitan Sowell był zły jak stary Zeus, chory jak struty pies. Z nikim nie rozmawiał, nikt nie śmiał się doń odezwać.

Innym milczącym stworzeniem była Winona. Trzymam ją blisko siebie. Nikomu nie ufam. Przekreślono jej lud i bliskich, przez to przeszliśmy. Zeskrobano go drucianą szczotką jak brud i zeschniętą krew z żołnierskich kurt. Drucianą szczotką przedziwnej, nieprzejednanej nienawiści. Majora. Tak samo byłoby, gdyby wojsko opadło moich najbliższych w Sligo i pocięło ich na kawałki. Kiedy dawno temu do Irlandii przyплыł stary Cromwell, powiedział, że wybiję wszystkich. Powiedział, że Irlandczycy to diabelskie robactwo. Że oczyści kraj, żeby mogli się w nim osiedlić przyzwoici ludzie. I stworzyć raj. Teraz, jak przypuszczam, taki sam raj zakładamy w Ameryce. Dziwne, że tylu Irlandczyków bierze w tym udział. A może tak toczy się ten świat? Nie ma sprawiedliwych. Winona jako jedyna nie poszła w ogień. Widziała najgorsze, widziała je zresztą wcześniej. Przez to ucichła i jest tak cicha, że cisza zimy to przy niej wrzawa.

Brakuje jej słów. Muszę trzymać ją blisko siebie. Muszę wrócić do Johna Cole'a i trzymać ją blisko. Pytam ją wprost, co mam zrobić. Pytam ją trzy razy – na próżno. Próbuje po raz czwarty.

Tennessee, Tennessee, odpowiada.

## Rozdział 21

Na równiny spada głęboki ocean śniegu i przykrywa oddalone o dwa dni jazdy na północ pobojuwisko. Przykrywa aż do wiosny zabitych Siuksów. Kilku zabitych kawalerzystów zabrano przed śniegiem i pochowano szybko na cmentarzu. Trębacze odtrąbili mroźne pożegnania. Mróz chwycił wyżyny i niziny żelaznymi obcęgi. Przygniótł do ziemi drzewa i skuł lodem potoki.

Przykuł pewnie niedźwiedzie do ścian w gawrach. Z położonego dalej Terytorium Montany nadchodzi polarny wilk, polarny lis, a niektórzy mówią, że i polarny niedźwiedź. Prowadzący na południowy wschód szlak całkiem się zatarł, a wraz z nim wszystkie rysy i zadrapania wykonane ludzką ręką. Pokój nie nastąpił dlatego, że śnieżyce gniotą wściekle ziemię, a niebo się błyska i spuszcza pioruny, ale gwałtowna wojna ustała.

Po forcie krążą najdziksze plotki. Muszę czekać, aż major anuluje mój kontrakt, nim wyruszę w drogę. Więc Winona mieszka teraz w nieogrzewanej kwaterze majora, którą kiedyś zajmowały jego najbliższe. Przypuszczam, że doszedł do wniosku, iż ostatecznie musi ją chronić.

Winona zdejmuje mundur dobosza i wkłada na powrót podróżną sukienkę. Major mówi, żeby wzięła sobie z rzeczy jego żony wszystko, co na nią pasuje, bo jemu i tak to się nie przyda. Mówi to bez żalu, co sprawia, że sam mam minę żałośniejszą od mordy buldoga. Wszystko to jest dziwne i pożałowania godne. Potem, gdy z Kalifornii wraca pułkownik, robi się jeszcze dziwniej.

Tak się składa, że kapitan Silas Sowell jest jego zięciem, więc zostaje wysłuchany. A kapitan Sowell wciąż jest wściekły i chodzi z poczerwieniałą z wściekłości twarzą. Harry Sarjohn też jest wściekły, bo jego renomę wśród Indian trafił szlag. Obaj są jak tornado. Dowiaduję się o tym od Poulsona, mojego przyjaciela. Plotki, plotki wstrząsają fortem. Marzę, żeby wsiąść do dyliżansu do nowego miasta. Zatrzymuje się przed bramą, ma niecierpliwy sześciokonny

zaprzęg i rozklekotaną kabinę. Wojsko odśnieża drogę, więc to dobry środek transportu. A odśnieża ją po to, żeby przywozić do fortu zapasy z bocznic kolejowej. Wygląda na to, że zima będzie długa i tęga. Nie możemy z Winoną dać się zamknąć w forcie. I nagle jak grom z jasnego nieba nadchodzi wiadomość o aresztowaniu majora. Kapitan Sowell twierdzi, że człowiek ten oszalał i jest winny rażącego nadużycia uprawnień. Mściwa żałoba sieje zamęt wśród Siuksów. Byli gotowi podpisać nowy traktat, jak pokazywała wywieszona w wiosce flaga. Najsampierw Schwytał Konia miał pojechać do Waszyngtonu wraz z innymi wodzami z równin. Teraz to wszystko zostało narażone w oburzający sposób na szwank. Tak się sprawy mają. To był morderczy zamach, fakt. Nie miał nic wspólnego z czymkolwiek poza rozpaczą majora – to najbardziej prawdopodobne.

Dziwny zwrot w pogłoskach – śmierć Starlinga Carltona wpływa w tej historii na nowo.

Odważny kapitan został znaleziony martwy, a Harry Sarjohn twierdzi, że widział kawalerzystę, który go zabił. Szablą. Sarjohn nie *kennt* tego kawalerzysty, ale być może potrafiłby go rozpoznać. Człowiek ten nigdy się do nas nie zbliżał. Ale to pokrętny typ. Znalazł szablę, tak?

Niech to cholera. Można by pomyśleć, że powinien się cieszyć, iż ocalałem Indiankę, bo całe to jego miauczenie przecież tego dotyczy. Ale ma być apel na placu. Cóż, ma do obejrzenia sporo twarzy. Ale nie mam zamiaru ryzykować. Muszę ocalić Winonę, muszę. Więc idę do fortecznego cyrulika, porządnego człowieka, którego znam z dawnych czasów, nazywa się George Washington Bailey. Jest czarny i to najlepszy golibroda, jaki kiedykolwiek ostrzył brzytwę.

Proszę, żeby mnie ogolił do gołej skóry, co często robił, i zgolił mi każdy przekłety włos z policzków. Mam długie włosy jak południowcy, powiadają, choć wcale nie są długie, wydają się długie w oczach mężczyzn. Potem przechodzę przez niegościnnie, omiatany wiatrem plac i idę budzić Winonę. Dyliżans odjeżdża o czwartej. Mamy dwie godziny. Nie wracam nawet po podróźny bagaż, muszę zostawić siodło i konia. Winona też. Nasze konie będą teraz służyć w wojsku. Niech im się wiedzie. Nie brakuje nam pieniędzy, żeby



wrócić do domu – to najważniejsze. Wchodzę od tyłu do kwatery majora. On sam kwateruje teraz gdzie indziej – w anclu. Więc chyba mamy szczęście; we wszystkim można dopatrzeć się łutu szczęścia, nawet w tym zamieszaniu. Przychodzą mi do głowy różne bzdurne myśli, na przykład taka, że dla Starlinga musieli wykopać wielki grób. Za nic w świecie nie chciałem, żeby ten łach kiedykolwiek zginął, teraz wychodzi na to, że sam go zabiłem. Jedna mała śmierć w dniu zabijania.

W kwaterze majora jest cicho i zimno, Winona nie rozpałała w piecu ani nic. Mówię jej, że w końcu wyjeżdżamy, ale najpierw musi mi pomóc znaleźć cholerną sukienkę, a potem musi mi pomóc się umalować. Winona wie, gdzie jest sypialnia majora, ale wejście do niej jest jak włamywanie się do sarkofagu. Wolałbym tego nie robić, ale nie mam wyboru. Wszystkie rzeczy pani Neale zostały na miejscu. W eleganckiej szafie wisi rząd sukni. Mam wrażenie, że okradamy ją za życia. Wkładam sukienkę i niech mi Bóg wybaczy, ale muszę znaleźć pończochy. Mogę nie brać majtek i reszty, bo spódnica sięga do kostek, ale i tak je biorę. Nie kradnę nikomu żadnej cholernej bielizny, bo przecież nieszczęsna pani Neale naprawdę nie żyje. Upinam wysoko włosy na czubku głowy i wybieramy z Winoną niezbyt frymuśny kapelusz z ptaszarni uskrzydłonych nakryć głowy. Naciągam kapelusz na uszy. Przez cały czas czuję się jak złodziej. Do czego to doszło, żebym łupił zmarłych! Muszę przyznać, że Winona widzi to inaczej. Lubiła panią Neale, może nawet ją pokochała? Jej suknia jest dla niej jak pamiątka. Sadowi mnie przed toaletką i zabiera się do pracy. Wszystko wygląda jak w Grand Rapids przed przedstawieniem, ale z pewnością nie jesteśmy w Grand Rapids. Robi mi makijaż, poczernia oczy kohlem, maluje wargi, przygląda mi się krytycznie i pudruje wszędzie. Wyglądam jak dziesięciocentowa kurwa na szybki numer. Tym razem nie będzie scenicznych świateł, więc trzeba to zrobić porządnie.

Rozciera kohl na powiekach, więc wyglądam, jakby mnie pobił narzeczony. Nieważne. Ściera trochę szminki. I, na Boga, jesteśmy gotowe, nie możemy już nic więcej zrobić. Winona chowa przybory toaletowe do podróźnej torby, a ja muszę ukraść brzytwę majora. Nie

wiem, jak długo potrwa ta podróż w przebraniu, ale nie mogę pokazywać się w drodze jako kobieta z brodą.

Na niebie pełno chmur ciężkich od śniegu. Olbrzymia, tłusta i ciemna chmura opiera się o dachy. Jakiś oddział wraca z patrolu, kopyta koni stukają na zamrzniętej ziemi. Ci chłopcy byli poza fortem kilka dni, wyglądają na zziębniętych i zmęczonych. Ale są nienagannie umundurowani i nawet ogoleni. Ta robota naprawdę jakoś uszlachetnia – uderza mnie taka myśl, choć nigdy w ten sposób nie myślałem. I nigdy w takiej sytuacji. Czuję dziwną miłość do tych chłopaków, kipi we mnie jak ławica pstrągów na tarle w strumieniu. Oddali piękną młodość żołnierskiej tułaczce. I dostają za to parę blaszek. To się nie zmieniło. Wyjeżdżają wprost w największy zamęt i nie mogą liczyć na chwałę. Jadący na czele porucznik salutuje mi z siodła, a ja niemal odpowiadam mu tym samym, niech mnie szlag. Muszę trzymać ręce w mufce. Tak, ukradłem jeszcze mufkę i palto, jakbym za mało nagrzeszył. Winona wzięła grubą pelerynę, która mogła należeć do którejś z córek. Peleryna jest na nią za mała, wystają spod niej jej długie ręce, ale z pewnością chroni nieco przed zimnem. Wychodzimy przez bramę, wartownik sztywnieje na baczność i też salutuje. Nie pamięta mojej twarzy, ale uznaje zapewne, że wszystkie kobiety zasługują na to, żeby oddać im honor. Poć się gorzej od Starlinga. Dylizans już stoi, choć wygląda bardziej jak karetka. Kapka pasażerów już siedzi w środku. Woźnica nie chce wpuścić Winony do kabiny, więc Indianka musi wspiąć się na kozioł, a ja razem z nią.

Sukienka tylko przeszkadza we wspinaniu. Pani może wejść, rzuca woźnica. Tylko nie Indianka.

Nieważne, odpowiadam, usiądę tutaj. Widzę już, jak kaprale myszkują po forcie. Jakbym napił się złej whisky i halucynował. Kaprale, wszędzie kaprale. Na służbie porządkowej, przysięgam. Wszyscy, wyobrażam sobie, szukają mordercy Starlinga Carltona. Patrzę prosto przed siebie. Rusz ten cholerny dylizans! Wielka chmura poddaje się i sypie śniegiem, wokół wirują płatki. Cały ten świat pobudek, wszy i szabel znika, a dylizans szarpie i jedzie.

Jazda na brudnym koźle przez sto mil nie jest zdrowym pomysłem.

Możemy zejść na dół, żeby się pożywić, ale potem znów nami rzuca. W kółko i raz za razem, aż człowieka ściska w żołądku i oddaje świeżemu powietrzu w Wyomingu porcję solonych śledzi. Trzy pozostałe ofiary z kabiny dyliżansu wyją bezgłośnie od morskiej choroby. Jeden to zwiadowca poszukiwaczy złota, mówi, że węszy za kruszcem w dzikich okolicach. Powodzenia, bo niedługo Indianie zrobią z ciebie gulasz. Drugi też jest zwiadowcą, ale kawalerii, znam go, trafił niedawno do cywila. Winona, szcękając zębami, rozmawia z nim w swoim własnym języku. Pytam ją, o czym rozmawiają, na co odpowiada, że o śniegu. Rozmawiacie o pogodzie? – pytam. Tak jest, proszę pana, odpowiada.

Na stacji wielka lokomotywa wydmuchująca chmury pary i dym. Wygląda jak żywe stworzenie. Coś, co nieustannie wybucha. Potężne muskularne ciało, czterej silni mężczyźni sypią węgiel pod kocioł. To dopiero widok! Pociągnie cztery wagony na wschód, mówią, że odjedzie o czasie. Lekki całun śniegu syczy na osłonach kotła. Chciałbym powiedzieć coś dobrego o wagonie trzeciej klasy, ale jest w nim cholernie zimno i wilgotno, więc siadamy z Winoną wtuleni w siebie jak koty. Jest tak ciasno, że nie ma gdzie palca wściubić, bo nasi współpasażerowie podróżują z całym dobytkiem. W wagonie są nawet kozy, a kozy, jak wiadomo, cuchną. Mężczyzna obok mnie siedzi okutany w stertę palt. Nie wiem, jakiej jest tuszy, bo w ogóle go nie widać spod warstw materiału. Kupiliśmy w Laramie jakąś zapiekankę i kosz tego słynnego kukurydzianego chleba. Słynie z tego, że dostaje się od niego skurczów żołądka.

Powiedziano nam, że po drodze będzie ze sto przystanków, ale pociąg mimo wielkiej masy porusza się płynnie jak tancerz. Z przodu ma pług usuwający śnieg z torów, przez co wygląda jak statek prujący przez spienione bałwany. Odrzucony pługiem śnieg spada na dachy wagonów i razem z sadzą i duszącym dymem wpada do środka przez nieprzeszkłone okna. To nowy rodzaj luksusu, jak przypuszczam. Przedzieramy się jednak ręczo przez krainę, którą konno musielibyśmy pokonywać przez wiele dni, a pociąg mknie niczym spłoszony bizon. Za dwa albo trzy dni dojedziemy do St. Louis. To zwyczajny cud. Jedziemy tak szybko, że zostawiamy, jak mi się zdaje,

rozum za sobą i tylko nasze znękanne ciała pędzą w przód. Oszołomione i zmarznięte. Gdybyśmy mieli dosyć pieniędzy na pierwszą klasę, klęę się na Boga, że kupiłbym do niej bilety, nawet jeśli byłyby to ostatnie nasze oszczędności. Na przystanku wszystko drży, kupujemy jedzenie, a wielka lokomotywa pije, stęka i trzęsie się razem z nami. To naprawdę musi być żywa bestia, ta dziewczyna. Rozmawiamy z Winoną przez cały czas. Najbardziej chce wrócić do Johna Cole'a. Fakt, w Johnie jest coś takiego, co niesie ukojenie. Przez te długie lata, które spędziliśmy razem, stał się dla mnie święty. Nigdy nie pomyślałem o nim źle, po prostu nie mogę. Więc w gruncie rzeczy nie wiem, jaki jest. Bo ciągle jest kimś nowym, kim nieustannie się raduję.

Każdego dnia znajdujemy jakieś zaciszne miejsce i wyciągamy brzytwę. Zapomniałem ukraść paska do ostrzenia, więc brzytwa trochę zacina. Mam zacięcia i drobne ranki na obu policzkach i wyglądam, jakbym dostał ospy. Winona wszystko pudruje. Najbardziej nieprawdopodobne jest to, że marzniemy, mokniemy, boli mnie cała twarz i reszta, a mimo to im dalej jesteśmy od śmierci, tym jestem szczęśliwszy. Tak to wygląda. Winona też się rozluźniła i nawet potrafi się śmiać. Jest przecież wciąż dziewczynką i powinna śmiać się regularnie. Powinna się bawić, a może jest już za duża? Bo zachowuje się jak dama i doskonale to potrafi.

Wyglądamy jak matka z córką i właśnie o to chodzi. Dziękuję za to Bogu. Bo pewnie w głębi duszy sam wierzę, że jestem kobietą. Przypuszczam, że tak. W każdym razie czuję się kobietą bardziej niż kiedykolwiek mężczyzną, choć przez niemal całe życie walczyłem. Ci Indianie w sukienkach musieli wskazać mi drogę. Przepasywali się jak mężczyźni i szli na wojnę. To coś, co tkwi w człowieku i czemu nie sposób się sprzeciwić. Może wstąpił we mnie duch mojej siostry, gdy umarła przed wielu laty. Leżała nieruchoma jak morszczyń wyrzucony na brzeg.

Sterczące chude nogi. Pomięty fartuszek. Nigdy przedtem nie widziałem czegoś takiego i nie podejrzewałem, że można tak cierpieć. To prawda i na zawsze pozostanie prawdą. Więc może wniknęła wtedy we mnie i uwiła sobie we mnie gniazdko? To byłoby ogromne

pocieszenie, jak worki złota w darze. Serce podpowiada mi, że tak. Gdy pytam się dlaczego, otwiera się otchłań, a ja jestem tylko świadkiem stanu rzeczy. Jestem giętki jak kobieta i napięty jak mężczyzna.

Mam jak mężczyzna połamane wszystkie członki i jak kobieta zrośnięte. Kładę się spać z duszą kobiety i budzę się z nią. Nie przypuszczam, żeby to się kiedykolwiek zmieniło. Może urodziłem się jako mężczyzna i wyrosłem na kobietę? Może ten chłopiec, którego spotkał John Cole, był już dziewczynką? John Cole nigdy nie był dziewczynką, to pewne. To wszystko może być niebotycznym złem. Nie wiem, bo o tym nie czytałem. Może nikt nie napisał o tym prawdy?

Nigdy wcześniej nie słyszałem o czymś takim, póki nie zobaczyłem tego na scenie we własnym wykonaniu. W teatrzyku pana Noone'a było się tym, na kogo się wyglądało. Ale aktorstwo nie jest szalbierstwem. Jest dziwną, zmieniającą wszystko magią. Myśli się inaczej i staje się kimś nowym. Teraz, gdy pędzimy koleją, a Winona leży na mojej piersi, wiem tylko, że jestem zwykłą, ale za to spełnioną kobietą. Nawet jeśli tylko w owiewanej wichurą głowie. Nawet jeśli mam biust z upchniętych w stanik żołnierskich onucy.

W St. Louis wiele się zmieniło od dawnych czasów. Na nabrzeżu ogromne magazyny, wielkie jak wzgórza. Pojawili się tu wszyscy wyzwoleńcy, wyrosli jak zniwo, a wzdłuż rzeki widuje się niemal wyłącznie czarne, brązowe i żółte twarze. Imają się każdej pracy. Wciągają, zahaczają, sznurują. Ale nie wyglądają już jak niewolnicy. Ich majstrowie są czarni i ryczą z głębi czarnych płuc. Nikt nie pogania nikogo batem, jak to bywało drzewiej. Nie jestem do końca pewny, ale wydaje mi się, że tak jest lepiej. Ale nie dostrzegamy z Winoną między nimi ani jednej indiańskiej twarzy. Nie czekamy, aż ujrzymy białe myszki w tych zgoła nowych wizjach. Pędzimy przez miasto, żeby nikogo nie urazić, choć mówiąc szczerze, St. Louis popadło w ruinę, gdy kończyła się wojna, i wciąż widać tu i ówdzie zburzone ostrzałem domy, choć trwa odbudowa. Mam wrażenie, że ścierają się tu dwa światy. Czy jestem Amerykaninem? Nie wiem.

Na statku zajmujemy z Winoną miejsce – wraz z innymi ludźmi z

nizin – w piątej klasie. Bardzo się cieszę, że popłyniemy rzeką. Stara Missisipi jest przeważnie dobrze wychowaną dziewczyną o miękkiej i gładkiej skórze. Coś tak starego jest wiecznie młode! Rzeką nigdy się nie marszczy, nie fałduje, a jeśli tak, to znaczy, że jest burza. Płyniemy spokojnie przez kilka dni, choć lasy wzdłuż brzegów skuwa lód i wszędzie widać białe zimowe ozdoby. Po znieruchomiałych drzewach wspinają się pnącza, osiada na nich szron i można by pomyśleć, że lasy roją się od lodowych węży. Potem zaczynają się ogromne przestrzenie farm i pól bawełny, czekające na zbłąkane słońce, a dalej wypalone ogniem pola tytoniowe. I niebiosa, które Bóg tak lubi ukazywać, choć nie może, więc udziela im cudownego jasnoblękitnego blasku. Wciąż się rozglądam z obawy przed pogonią, ale na tych potężnych wodach odnajduję spokój.

Moja dobra Winona, uleczona z obrazów rzezi, rozkwita na nowo, rozmawia, jest jak kwiat, którego nie powstydziliby się wiosna. Ów słynny kwiat, który rozkwita na mrozie.

Cudowne dziecko o mile pachnącym oddechu, o unoszącym się nad nią zapachu życia i urody. Przypuszczam, że ma już z piętnaście lat, ta moja córka, ale kto to może wiedzieć. Nazywam ją córką, choć wiem, że nią nie jest. Więc powiedzmy „moja podopieczna”, „moja wychowanica”, twór osobliwego instynktu gdzieś z głębi mnie, kradnącego iskrę miłości z niesprawiedliwego świata. Wnętrze jej dłoni jest jak dwie mapy domu, wszystkie linie wiodą do niego jak stare szlaki. Jej piękne delikatne dłonie o zwężających się ku górze palcach. Ich dotyk jak słowa.

Córka nie córka, ale ktoś, komu matkuję najlepiej, jak umiem. Czyż to nie moje jedyne powołanie w tej pustoszonej przez śmierć dzicy? Chyba tak. Tak musi być. W piersi wzbiera mi szalona duma, że sprowadzam ją do domu. Wysłaliśmy z St. Louis depeszę o naszym powrocie, gdyż wcześniej nie śmiałem wzbudzać w nikim nadziei. Oczyma duszy widzę, jak John Cole odbiera telegram i wstaje, i czeka z drżącym sercem na jej przyjazd. Stoi na werandzie, wypatrując nas jak wędrownych ptaków. Będziemy musieli iść pieszo od Memphis spory kawałek drogi, gdyż połączenia dyliżansowe nie działają jeszcze jak należy. Ale dojdziemy, nawet jeśli powoli, przyglądając się

farmom i czując krok za krokiem bliskość domu. Bez względu na wszystkie czyhające wokół niebezpieczeństwa, bez względu na kryjące się wokół zło dotrwamy do chwili spotkania. Tak sobie myślałem. Szeroka rzeka umykała spod płaskiego dna.

Chóralne pieśni pasażerów, milczenie grających w karty. Wszystkie prace na parowcu wykonują czarni, jakby wieźli te rozgrzeszone białe dusze do raju. Coś się skończyło, a my jesteśmy pomiędzy. Uroki pływania po rzece.

Dopływamy do Memphis. Wiem, że cały śmierdzę. Mam obesrane i obszczone majtki.

Tak musi być. Przespaliśmy się w pensjonacie, umyliśmy do czysta, a następnego ranka, gdy zbieramy się do wyjścia, czujemy powitalne uściski wszy, które znów wylazły na nasze czyste członki. Mieszkają w szwach naszych sukni, a teraz niczym imigranci na starym oregońskim szlaku rozpełzają się po Ameryce naszej skóry.

Potem długi spacer na mrozie do Paris. Potem farma w oddali. A na końcu John Cole biorący nas w ramiona.

## Rozdział 22

To John Cole tłumaczy Rosalee i Tennysonowi, że muszą chodzić w sukience. W naszym własnym łóżku opowiedziałem mu o wszystkim, co się wydarzyło, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów oraz spraw najważniejszych. Opowiedziałem mu wszystko i opisałem smutny koniec Starlinga Carltona. John Cole mówi, że w ludzkiej naturze często zmagają się ze sobą trzy prawdy. Każda z nich walczy z inną. Taki jest świat, dodaje. Lige Magan kochał tego spoconego bydlaka i bardzo boleje nad tym, że Carlton nie żyje, ale John Cole nie mówi mu, kto go zabił. John Cole walczyłby u boku Starlinga Carltona i często to robił, poświęciłby dlań życie, ale wedle jego najskrupulatniejszych szacunków to, co Starling chciał zrobić Winonie, było ze wszech miar złe. Plugawe i złe jak wszyscy diabli. John Cole mówi Lige'owi, że nie wiemy, co się wydarzy, ale najlepiej będzie, jak Thomas McNulty zniknie.

Rosalee nic sobie z tego nie robi. Tennyson chyba się tym nie przejmuje. Ale rozmawia ze mną jak z kobietą. Jest bardzo uprzejmy, uchyla kapelusza, gdy mnie spotyka. Dzień dobry pani, tak do mnie mówi. Dzień dobry, panie Bouguereau. I tak to wygląda. Turkawka wciąż tu mieszka i jest coraz dorodniejsza. John Cole karmi ją okruchami z obiadu. To nie przestępstwo.

Siedzimy w domu do wiosny, a na dworze szaleją wszystkie zwykłe demony i choleryczne burze. John Cole zagonił Winonę do nauki i kupił dwie książki, żeby było mu łatwiej: *Współczesną korespondencję listowną amerykańskiej damy i dżentelmena w odniesieniu do interesów, obowiązków, miłości i małżeństwa* oraz *Poprawną gramatykę języka angielskiego*.

Będzie pisała i mówiła jak cesarzowa. Pod suszarnią zbierają się zasy. Przykrywają proste groby Tacha Petriego i jego chłopców, wykopane na ich najdłuższy sen. Przykrywają śpiące korzenie wszystkich spraw. Banitów, sieroty, anioły i niewinnych. Przykrywają wieczne lasy.



A potem z lasu, gdy zbliża się wiosna, słyszymy drugą leśną turkawkę. Generał Lee przekrzywia główkę. Ku-ku-ry-ku, już szuka towarzysza, nim zrobi się za późno. Wypuszczę go, jak tylko zrośnie mu się na dobre skrzydełko. Ku-ku-ry-ku. Szukają siebie nawzajem jak spadające gwiazdy. Jak sowy z Tennessee. Jak każde cholerne stworzenie.

Gdy w końcu nadchodzi wiosna, docierają do nas wieści z dalekiego Wyomingu. Kapitan Sowell zginął w nieznanymi okolicznościach, a ponieważ nikt poza nim nie podtrzymał oskarżeń, major Neale został uwolniony. Przeszedł, jak słyszymy, w stan spoczynku i wrócił do Bostonu.

Do diabła z takim wojskiem, które go zamknęło – tak myślę. Nie wiemy, co dalej z wysuniętymi przeciw niemu oskarżeniami, nie wiemy, co dalej ze śledztwem w sprawie śmierci nieszczęsnego Starlinga. Może słowa Niemca niewiele się liczą. Patrzymy na to z każdej strony, jak Generał Lee, gdy się czemuś przygląda, i mamy nadzieję, że wieści te są dobre. John Cole jest wszakże wielce stropiony, bo ma wrażenie, że ten Silas Sowell miał trochę racji. Indianie nie są robactwem, które trzeba wygnieść ze szwów tego świata. Świadkiem może być jego stara prababka, którą nosi w sercu i którą nieustannie ma w pamięci. Która mieszka w kambuzie Johna Cole'a. Gdybym nie był kiepskim strzelcem wyborowym, nie mielibyśmy tych wszystkich kłopotów, mówi Lige Magan. Nie chciałem zastrzelić tej dziewczynki. To było dawno temu, stwierdza John Cole, dawno, dawno temu. Upłynęło od tamtej pory wiele cholerniej wody w rzece pod cholernymi mostami, których wtedy nie było. Ale major nie kazał mi strzelać, krzyczał, a ja go słyszałem, więc nie wiem, dlaczego to zrobiłem, mówi Lige. Zapomnij o tym wszystkim, mówi John Cole. Nie mogę, bo myślę o tym każdego dnia i każdej nocy, mówi Lige, tak właśnie jest. Nie wiedziałem, mówię. Ta, powtarza, każdego dnia i każdej nocy.

W tym roku wysiejemy pszenicę i kukurydzę, żeby dać ziemi odpocząć od tytoniu. Rok przez to będzie krótszy. Żadnego suszenia w suszarni, przebierania i całej reszty. Podciągam wysoko spódnicę, jak każda wiejska dziewczucha, i pracuję obok mężczyzn. Winona jeździ

wozem do miasta po to i owo i wygląda na to, że mieszkańcy Paris przywykli do jej widoku. Przestali widzieć w niej Indiankę, a zaczęli widzieć Winonę. John Cole miarkuje, że ten chłopak za ladą w pasmanterii czuje do niej miętę. Mówi, że nie byłoby źle, gdyby weszła w handel. Jeszcze nie wychodzi za mąż, odpowiadam jak każda szanująca się matka. A potem ni z tego, ni z owego Winona dostaje posadę u tego cholernego prawnika Briscoe'a. Kaligrafuje najlepiej w całym hrabstwie, mówi Briscoe. Przyjeżdża dwukołowym gigiem, żeby się z nami spotkać. Nie wyglądamy chyba najgorzej. Białe małżeństwo i stary wiarus. Mili czarni. Tak to widzi Briscoe.

Pewnego letniego wieczoru siedzimy z Johnem Cole'em na werandzie, wpatrując się w wydłużające się cienie. Lige śpi w fotelu. Obłąkane lelki gwizdzą w kółko jedną i tę samą piosenczkę. Winona ślęczy w kuchni nad księgami Briscoe'a. Dziwne, ale jak się tak siedzi, czuje się, że ktoś nadjeżdża, zanim się go zobaczy. Są daleko na ścieżce nad potokiem, a potem się pojawiają – jakichś dwunastu jeźdźców. Kryje ich zapadający zmierzch, choć na zachodzie wielkie słońce jeszcze nie zgasło, wciąż drży na popielatym niebie. Niebo nad naszymi głowami ma blady kolor skorupki jajka. Trzeba przyznać, że świat jest naprawdę piękny. Jeźdźcy jadą miarowo. Jadą tak, jakby znali drogę. Wkrótce widzimy, że to kawaleria. Mają kurty, które kiedyś sami nosiliśmy, i karabiny w pochwach przy siodłach. Dwóch oficerów i banda kawalerzystów. Niech mnie kule biją, jeśli w oddali to nie kapral Poulson. Tak właśnie mówię Johnowi Cole'owi. Lige Magan porusza się przez sen i zaraz się budzi. Nic nie mówi. Wzdłuż werandy leżą jak zwykle nasze strzelby, leżą tak, żeby nikt ich nie widział. Chorąży i dwóch kaprali nie robią w portki na widok wojska. Są coraz bliżej. John Cole wstaje, jakby chciał ich powitać. Opiera się o słupek werandy, spokojnie i elegancko. Poprawia kapelusz. Jest gorąco i ma przepoconą na piersi koszulę. Mam nadzieję, że się ogoliłem i umalowałem jak trzeba.

Przesuwam palcem po policzku, żeby sprawdzić. Tak czy inaczej, pod daszkiem werandy jest już ciemno. Lelki milkną. Grzmi daleko nad wzgórzami. Ta burza, miarkuję, do nas nie dojdzie. Jest za daleko. Muszę się powstrzymać, żeby nie powitać Poulsona, bo

pod swoją obecną postacią go nie znam. Stukot kopyt, zbliżają się głośno konie. Nie znam większości kawalerzystów, może jednego czy dwóch, ale słabo. Nie umiem sobie przypomnieć.

Dobry wieczór, odzywa się kapral Poulson do Johna i Lige'a Magana. Pani również, zwraca się do mnie, unosząc kapelusz. Co was tu sprowadza, kapralu? – pyta go Lige słodko jak kwakier. Jesteśmy tu w sprawie dezertera, odpowiada Poulson. Przyjechaliśmy z St. Louis. To chorąży Magan, a to pani Cole, mówi John Cole, a ja jestem kapral Cole z waszego, zdaje się, regimentu. Zgadza się? Właśnie was szukamy, panowie, mówi Poulson, ale tylko panów.

Naszym smutnym zadaniem jest odnalezienie dezertera, kaprala Thomasa McNulty'ego.

Powiedziano nam, że może być tutaj, razem z panami. Znałem kaprala McNulty'ego i wiem, że to dobry żołnierz, ale nie wypełnił kontraktu. Znacnie, panowie, karę. A więc, myślę, nie chodzi im o Starlinga Carltona. Cholerny major nie anulował mojego kontraktu, zanim go aresztowali.

Więc widzieliście go tu, panowie, czy nie? Może gdzieś tu pracuje czy co? Bóg mi świadkiem, że nie chcemy was deranzować. Ale służba to służba. Mamy listę blisko trzydziestu żołnierzy, którzy czmychnęli. Pułkownik chce zrobić z tym porządek. Inaczej nie da się prowadzić wojen.

Nie da, wtóruje mu John Cole. Zaprowadzę was do dezertera. Aż podskoczyłem, słysząc te słowa. Czy chce mnie wydać? Zadrzeć mi spódnicę i pokazać jaja? John Cole schodzi po schodkach z werandy, a kapral Poulson zsiada z konia. Jestem bardzo wdzięczny za pomoc, mówi. Nic wielkiego, odpowiada John Cole. Mam zarepetować broń? – pyta Poulson. Nie, nie, odpowiada John Cole, nie będzie grandził. I prowadzi ich przez szopy na tyły, na mały cmentarzyk. Zatrzymuje się przy którymś grobie porośniętym zeschlą letnią trawą. Kiwa głową do Poulsona. Tu leży, mówi. Kto? – pyta Poulson. Kapral McNulty, którego szukacie. Leży w tym grobie? – pyta Poulson. Zdaje się, że tak, mówi John. Jak zginął? Napadli na nas bandyci.

Leżą w tych trzech grobach. Thomas zabił ich wszystkich. Broniąc domu. Tak, to McNulty, jakiego znam, mówi Poulson, porządny

człowiek. Przykro mi, dodaje, ale Bóg mi świadkiem, że jego śmierć wybawia nas od paskudnego obowiązku. To prawda, stwierdza John Cole, to prawda.

Nie oznaczyliście grobu? – pyta Poulson. My wiemy, kto tu leży, jak mi się zdaje. Chyba tak, mówi Paulson, chyba tak.

Z domu wychodzi Winona, straciła widowisko, bilansując księgi Briscoe'a. Gdy widzi żołnierzy, na jej twarzy maluje się przerażenie. Ale tu wojsko zachowuje się potulnie, co trochę ją uspokaja. Dajemy im nocleg w suszarni, a rano już ich nie ma. Masz głowę na karku, John, stwierdza Lige. Ja sięgnąłbym po broń i spróbował takiego rozwiązania.

Zatem Thomas McNulty, o ile wiemy, został oficjalnie uznany za zmarłego. Przeżył krótkie trzydzieści lat i usnął snem wiecznym. Tak myśleliśmy o tej sprawie. Było mi dziwnie smutno, gdyż rozważałem jego czyny, wojaczkę, zmaganie się z życiem. Wspominałem jego trudne początki w Irlandii, przybycie do Ameryki, kłody rzucone mu pod nogi, przez które przestępował. I to, że ocalił Winonę i kochał Johna Cole'a. I to, że był lojalny w przyjaźni wobec wszystkich. Jedna maleńka duszyczka spośród milionów. Leżałem tej nocy obok Johna Cole'a, myśląc o swojej śmierci i o tym, że stałem się kimś zupełnie nowym. John Cole musiał myśleć o tym samym, bo mówi, że musimy pojechać do kamieniarza w Paris i zamówić nagrobek: „R.I.P. T. McNulty”. I postawić go za suszarnią. Na wszelki wypadek.

Nadeszła pora, by uwolnić Generała Lee. Wypuściłem turkawkę następnego dnia, bo było lato, a lato to dobra pora, żeby spróbować szczęścia wśród drzew. Wyleciała prosto z kosza, w którym mieszkała. I pofrunęła do lasu prosto jak strzała. Nie mogła doczekać się wolności.

Zrośnięte skrzydełko dobrze jej służyło.

Zdaje się, że jest taki adres, który brzmi Szczęsne Bałamuctwo. Dokładnie w tym miejscu, w którym mieszkamy w Tennessee. Bo po kilku dniach zajeżdża do nas listonosz z listem wysłanym z Paris. Nadawcą jest kapral Poulson. Czytam pismo i zanoszę je do Johna Cole'a, który czyści kocioł w suszarni, bo w przyszłym roku będziemy sadić tytoń. Wytarł sobą całą sadzę z kotła, bo jest czarny jak węgiel.

Ręce ma czarniejsze od wiaderka na opał, więc każe mi przeczytać cholerny list. Na dworze jest upał, który wnika nawet do ciemnej suszarni, a mnie jest zimno. Ale czytam list. Najgorsze jest to, że widnieje na nim moje nazwisko jako adresata.

Kapral Thomas McNulty. Szanowny kapralu McNulty, pisze Poulson. Wyrządź mi, proszę, tę łaskę i przyznaj, iż uważasz mnie, Henry'ego M. Poulsona, za największego naiwniaka w całym chrześcijaństwie, bo myślisz, że nie widziałem na własne oczy tej nieogolonej damy, którą się stałeś. Cóż, zabrałem moich chłopców, bo widziałem również na własne oczy broń ukrytą na werandzie i klnę się na Boga, że Twój przyjaciel, pan Magan, widzi mi się na strzelca wyborowego z naszego regimentu. Widziałem Cię w walce, widziałem Twoją odwagę i wiem, że od dawna służyłeś w armii naszych stanów, tak jak ja walczyłem dla Unii, choć jestem chłopakiem z Południa. Wiem, że poświęciłeś życie walce o wolność przeciw złu. Nie było zatem moim zamiarem uczynienie z Twych przyjaciół banitów, którymi by się stali, gdyby otworzyli ogień do żołnierzy na służbie. Proszę Cię zatem, a nawet z całego serca błagam, abyś zechciał wciągnąć spodnie i przyjechał jak mężczyzna do miasta, gdzie czekamy, aby Cię capnąć.

Z takiego oto powodu, że musisz odpowiedzieć za swoje czyny, co bez wątpienia dopuszczasz. Pozostaję, Panie, Twoim pokornym i unizonym sługą, Henry Poulson, kapral.

Dobrze pisze listy, stwierdza John Cole. Tylko co, do cholery, mamy zrobić? Chyba pojedę tam i zrobię, co mi każe, mówię. Co? Nie. Nie zrobisz tego, rzuca John Cole. Muszę to jakoś naprostować, stwierdzam. Nie przyjechali tu po mnie z powodu nieszczęsnego Starlinga.

Mogę poprosić majora Neale'a, aby wziął mnie w obronę. Podpisałem krótki kontrakt, który miał unieważnić, ale go aresztowali. Został oczyszczony, więc opowie się za mną. To zwykłe nieporozumienie. Przekonają się. Raczej cię powieszają, rzuca John Cole. Dezerterów przeważnie rozstrzelują, poprawiam go. Kurze nóżki rozstrzelują, granatowi wieszają, upiera się John Cole. Tak czy inaczej, nigdzie nie pojedziesz. Ale nie zrobię banitki z Winony,

mówię. Jak zostanę, Poulson tu przyjedzie. To kończy rozmowę. Moglibyśmy uciec, proponuje John Cole, całą naszą trójką. Nie, proszę pana, nie moglibyśmy, odpowiadam. Na jedno by wyszło. Jesteś ojcem, Johnie Cole. Kręci czarną głową. Z której sypie się sadza jak czarny śnieg. Co ty gadasz, zaczyna, chcesz teraz odejść i zostawić nas tutaj samych? Nie mam wyboru. Żołnierz może prosić oficera o wzięcie go w obronę. Założę się o siedem srebrnych dolarów, że major to zrobi.

Dobra, mówi, muszę skończyć ten kocioł. Wiem, odpowiadam. I wychodzę z ciemności suszarni na słoneczny żar. Można by przysiąc, że Pan Bóg napalił pod jakimś kotłem. Słońce chwyta mnie za twarz jak ośmiornica. Jestem już martwy i bez tego. W ogóle nie pokładam wiary w tym obłąkanym majorze. Potem słyszę za sobą głos Johna Cole'a. Wracaj najszybciej jak się da, Thomas. Mamy mnóstwo roboty i nie damy rady bez twoich rąk. Wiem, mówię. Niedługo wrócę.

Zrób tak, do jasnej cholery, rzuca.

Z żalem, a nie ze złością zdejmuję sukienkę i wkładam męskie odzienie. Wygładzam sukienkę i szczotkuję ją przez chwilę, a potem odwieszam do starej sosnowej szafy, która należała do matki Lige'a Magana. W szafie wciąż wisi jej robocza sukienka. Myślę, że Lige zagląda do tej szafy, jak chce ożywić w pamięci matkę. Przypomnieć sobie czasy, gdy trzymał się fałd jej spódnicy. Cóż, muszę przyznać, że łzy płyną mi po policzkach. Nie jestem obojętny.

Nie jestem z kamienia. Szlocham jak głupi, gdy w drzwiach staje Winona. Stoi w progu jak księżniczka na obrazie. Wiem, że stanie się dumną kobietą. Wściekłe słońce z podwórka przeszło do salonu, a teraz usiłuje wdrzeć się do sypialni. Otula jej drobną postać delikatną białą poświatą. Winona. Ukochane dziecko. Tak to wygląda. Czuję się najpodlej. Muszę jechać do miasta, mówię. Chcesz, żebym cię odwiozła? – pyta. Nie, dam sobie radę. Wezmę gniadosza.

Niewykluczone, że pojedę później dyliżanssem do Memphis. Więc rano odbierzesz konia.

Przywiążę ją przed pasmanterią. Dobrze, odpowiada. Co będziesz robił w Memphis? – pyta.

Kupię bilety do opery, do której chce pójść John Cole. To odważny

plan, mówi ze śmiechem, bardzo odważny. Bądź dobrą dziewczynką, proszę. Chyba będę, odpowiada.

Więc jadę do miasta. Ta mała gniada klacz świetnie chodzi. Ma najlepszy chód ze wszystkich moich koni. Stukocze kopytami stuk-stuk-stuk o suchą ziemię. Piękne życie. Byłem boleśnie zakochany w tym moim trudzie w Tennessee. Bardzo lubiłem to życie. Wstawanie o pierwszym brzasku, chodzenie spać o zmierzchu. Takie życie mogłoby trwać bez końca. A na końcu można by powiedzieć, że było sprawiedliwe. Że wypełniło się je należycie. Wszystkie codzienne obowiązki, na które tak często plujemy niczym na odpadki. Ale są wszystkim, co jest, i w nich kryje się pełnia. Tak uważam. John Cole, John Cole, Przystojny John Cole. Winona.

Stary dobry Lige. Tennyson i Rosalee. Ten gibki gniadosz. Dom. Nasze bogactwo. Wszystko, co miałem. Dosyć.

Jadę dalej. Dobry dzień na wieszanie, jak powiadają.

## Rozdział 23

Poulson nie jest złym człowiekiem. Ale coś się zmienia, gdy wśród gromady mężczyzn pojawia się jeden w kajdanach. To chyba prawda. W Paris mają karetkę przerobioną na więzienną, pojedziemy nią do St. Louis, a stamtąd pociągiem w wojskowym wagonie do Kansas City. Wszystko to zajmie parę dni i na początku nawet żartuję z chłopakami, ale te kajdany nakazują mi w końcu milczenie. Poulson mówi, że osądzą mnie w Fort Leavenworth. Pytam się go, czy major Neale wie o tym cokolwiek, na co odpowiada, że nie ma pojęcia, ale sąd z pewnością weźmie pod uwagę moją nienaganną służbę. Mam na to ogromną nadzieję. W tamtej chwili uświadamiam sobie, że może mi się poszczęści, i nagle przychodzi mi do głowy, że może wrócić jeszcze kiedyś do Tennessee. Jeśli nigdy nie mieliście takich przeczuć, nie umiem wam opisać, jak to jest, gdy głowa staje się arbuzem pełnym cukru i wody. Pytam się go, czy wyśle mój list, na co odpowiada, że nie widzi przeszkód. Dodaje, że pewnie tak czy inaczej skontaktują się z majorem, bo był przecież moim dowódcą w chwili dezercji. Domniemanej dezercji, mówi.

Dezercji! A jaka jest kara, jak mnie skazają? – pytam. Przeważnie rozstrzeliwują, mówi.

W wagonie żołnierze grają głównie w karty i żartują, chcą się nawzajem rozweselić i pośmiać, jak to wszyscy żołnierze, a pociąg pędzi do Kansas City.

Gdy dojeżdżamy do Fort Leavenworth, nie zapatruję się na wszystko już tak *optymistycznie*, jak to powiedział jeden gość. Kajdany wżarły mi się w nadgarstki, a łańcuchy na nogach nie pozostają daleko w tyle. Zaczynam uważać, że lepiej byłoby uciec z Johnem Cole'em i Winoną. Byłem odważny na początku, ale teraz już nie jestem. Czuję zmęczenie w kościach, a Poulson i chłopaki chcą już zdać siodła i ekwipunek i iść się zabawić. Zasługują na to. Mają za sobą szmat drogi i nie zrobili nic złego. Poulson mówi, że dostaje trzydzieści dolarów za pojmanie dezentera. Dobra cena. Zdaje mnie



jak dodatkowy ekwipunek, a potem siedzę w nowej kwaterze jak świeżo kupiony pies i chce mi się wyć. Ale nie wyję. Wycie nie ma przyszłości.

Zastanawiam się, czy mogę napisać do Johna Cole'a, żeby przyjechał tu z Lige'em i odbił mnie z ancla. To gigantyczny fort i pełno w nim kawalerii i innych wojsk oraz surowych rekrutów, a także całej tej biblijnej trzódki, która żyje z wojska. Mój proces odbędzie się za parę tygodni, tak mi mówią, i do tego czasu mam cieszyć się życiem i siedzieć cicho. Jasna cholera. Mówią do mnie „kapralu”, co w tych okolicznościach ma złowrogi wydźwięk. Mały strażnik pilnujący celi mówi, że nic mi nie będzie, ale zdaje się, że powtarza to wszystkim przygnębionym chłopcom.

Nie wiem, co się dzieje, bo wrzucili mnie tu jak belę tytoniu do suszarni. Więc gdy nadchodzi wielki dzień, czuję wielką ulgę, widząc majora Neale'a na sali trybunału, gdzie mnie przetaczają, żeby osądzić. W sali stoi długi lśniący stół, a kiedy wchodzę, kilku oficerów i major Neale gawędzą sobie z jakimś kapitanem. Jak się okazuje, to „przewodniczący” sądu wojskowego. Dalej okazuje się, że jestem kapralem T. McNultym, szwadron B drugiego regimentu kawalerii. Tak przynajmniej mówią. W tej chwili nie wspominam im o Thomasinie.

Odczytują oskarżenie, czekam, aż oficerowie cofną nieco nogi, bo do tej pory wyciągali je swobodnie przed sobą. Papiery szeleszczą i coś w tej sali maleje. Zdaje się, że ja. Dezercja.

Potem opisują, co przez to rozumieją, i pytają, czy oskarżony przyznaje się do winy, a jakiś człowiek odpowiada za mnie, że nie. Potem major Neale wstawia się za mną i tłumaczy, że zwerbował mnie do służby krótkoterminowej, podczas której dzięki mojej między innymi determinacji ocalono jego córkę. Coś w tym rodzaju. Potem wspomina o swoim aresztowaniu i – gniewnym głosem – o kapitanie Sowellu, więc pytają go o kapitana Sowellu i w sali zaczyna się poruszenie. Jakby ktoś wpuścił atrament do szklanki z wodą. Major odpowiada, że nic mu nie wiadomo o kapitanie Sowellu prócz tego, że zginął. Z wyraźnym wysiłkiem wprowadza ciężką lokomotywę na poprzednie tory i oznajmia, że za sprawą tego, co go spotkało, był

zmuszony zaniedbać wypełnienie dokumentów, które odsyłały kaprala McNulty'ego do cywila w zwykły sposób. Stwierdził, że kapral McNulty ryzykował własnym życiem, aby pomóc mu w potrzebie, i robił wszystko, aby dodać mu otuchy w najczarniejszej godzinie. Dopiero wtedy zauważam, że coś stało się ze skórą majora. Jest czerwona jak odnóża kraba. Nie dlatego, że jest zaambarasowany, ale z tej przyczyny, że nie miewa się, moim zdaniem, dobrze. Wówczas przewodniczący trybunału pyta, czy ktoś może potwierdzić zeznania majora, na co ten odpowiada, że nie wie. I pogarsza sprawę jeszcze bardziej, dodając wściekłym tonem, że to kapitan Sowell oskarżył go z jeszcze jednym świadkiem o okrucieństwo w kampanii przeciwko Siuksom, która kosztowała życie jego drogiej żony, jednej z córek i wtrąciła drugą córkę, Angel, w indiańską niewolę. Gdy to mówi, robi się purpurowy na twarzy, więc to nie tylko choroba.

Kapitan Sexton – dopiero teraz słyszę dokładnie nazwisko – jest rozzłoszczony nie mniej od majora, gdyż nie podoba mu się ani trochę gniewny ton świadka. Przyjechałem tu aż z Bostonu, żeby wesprzeć mojego kaprala i potwierdzić jego niewinność, lecz to nie ja jestem tu oskarżonym. Nigdy nie twierdziłem, że pan nim jest, majorze, mówi przewodniczący. Niech to wszyscy diabli, rzuca major, właśnie takie odniosłem wrażenie. I wali pięścią w stół. Podskakują papiery i szklanki. Kim był ten drugi człowiek, który przeciwko panu świadczył? – zapytał sędzia, a major odrzekł, iż był to jakiś cholerny Szwab o nazwisku Sarjohn. Doprawdy? – dziwi się kapitan, znam tego człowieka, jeśli ma pan na myśli Henry'ego Sarjohna. Owszem, mówi major. Ha, Henry Sarjohn jest porucznikiem zwiadu tu, w Fort Leavenworth, ciągnie sędzia, i cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak wezwać go na świadka. I zawiesza posiedzenie sądu do czasu wezwania Sarjohna. Jezu Przenajświętszy Chryste.

Nie byłbym mniej zatrwożony, gdyby przewodniczący oznajmił, że chce wezwać na świadka samego Belzebuba. Jedynym człowiekiem, którego nie chciałem więcej widzieć na tym bożym świecie, był właśnie Sarjohn. Dlaczego, do wszystkich diabłów, musi służyć akurat w tym forcie? Ale wezwano by go tak czy siak, nawet gdyby

znajdował się na księżycu. Szlag. Więc przez kilka kolejnych dni żywię się więzienną polewką i wysrywam więzienną polewkę.

Człowiek ma najszlachetniejsze myśli, które lęgną mu się w głowie jak ptactwo, ale życie w ogóle nie zwraca na to uwagi. Jest jak myśliwy, który strzela do ptactwa. Potem znów wszyscy zjawiają się w sali trybunału, włącznie z Niemcem. Henry Sarjohn, klę się na Boga, ma obecnie stopień porucznika, a jak powiadają, zwiadowcami w tym forcie są przeważnie Metysi, synowie irlandzkich ojców i indiańskich matek. To podobno zabawne, choć nie wiem dlaczego. Major Neale nie bierze udziału w rozprawie, do czego jak mi powiedzieli, ma prawo jako oficer w stanie spoczynku, więc przewodniczący pyta Sarjohna o jego wersję wydarzeń: o to, co się, do cholery, stało z Sowellem. Mały Niemiec nie wie, co się stało, i nie ma własnej wersji wydarzeń.

Mieli wnieść sprawę przeciwko majorowi Neale'owi, po czym znaleziono zabitego Sowell, a sąd oddalił postępowanie. To wszystko, co wie na ten temat. Potem wlepia we mnie gały jak gawron. Pochyla głowę. „Szlag by cię trafił” – o mało nie rzuciłem mu w gębę, chociaż mi nie wolno. Jego oddech cuchnie śmiertelną zgnilizną. Potem mówi: Ten człowiek zabił kapitana Carltona. Kogo? – pyta prawdziwie zaskoczony przewodniczący trybunału. Kapitana Starlinga Carltona, widziałem to na własne oczy, odpowiada Niemiec, i szukam go od tamtej pory.

Wiedziałem, że go rozpoznam, jak go tylko zobaczę, a oto i on. To było za wiele dla sądu i za wiele dla mnie. Odprowadzają mnie do celi i udają się na naradę, a po kilku dniach wnoszą przeciwko mnie kolejne oskarżenie, tym razem o morderstwo. Sąd uznał, iż jestem winny jego popełnienia. Tak powiedzieli.

Chyba byłem winny. Nie wiem, ilu kochało Starlinga Carltona, lecz nawet jeśli niewielu, sam się do nich zaliczałem. Ale podniósł rękę na Winonę. Nie miałem innego wyjścia, bez względu na to, jak długo i jak często się nad tym zastanawiam. Kapitan Rufus Sexton oznajmia, iż sąd uznał mnie za winnego, więc mam pozostać w łańcuchach do czasu, aż nadejdzie właściwa pora, żeby rozstrzelać mnie za moją zbrodnię. Nikt nie znajduje nic na moją obronę, bo kto mógłby coś

znaleźć?

Nadeszły straszne dni. Pozwalają mi napisać do Johna Cole'a i powiadomić go o moim losie, a on przyjeżdża z Tennessee, lecz jako skazaniec z celi śmierci nie mam prawa się z nim zobaczyć. Czuję wielki ból z tej przyczyny, ale skoro mam Johna Cole'a w *sobie*, w ostatecznym rozrachunku to bez różnicy. *Wyobrażałem* sobie, że mówi mi miłe rzeczy, i *wyobrażałem* sobie, jak mu odpowiadam, że jest najlepszym człowiekiem, którego kiedykolwiek znałem. Nie miałem zamiaru opuścić tego świata, nie mówiąc mu raz jeszcze, że go kocham, nawet jeśli John Cole nie może tego usłyszeć.

Zgorzknienie pożera zgorzkniałego. Lecz jeśli mam zostać mordercą, z przyjemnością zabiłbym tego Szwaba. Mówię to tylko dlatego, że to najprawdziwsza prawda. Niektórzy mogliby powiedzieć, że ten człowiek wykonywał tylko swoje obowiązki zgodnie ze swoim sumieniem. Ja powiem tylko, że to cholerny szkodnik, który miesza się do cudzych spraw, i tak to zostawię. Kto zabił świętej pamięci kapitana Silasa Sowellę? – zastanawiam się. Nikt nie wie i twierdzą, że nikt się nie dowie. Jak powiedział John Cole, miał takie, a nie inne zapatrywania, które należy uszanować. Nie można wyjść w pole i mordować każdego, kto się nawinie, niczym rzeźnicy króla Henryka. Tak nie powinien wyglądać świat wedle Bożego planu.

Wydano wyrok, a za oknem mojej celi zrobiło się lato. Na ścianie wisi wysoko olbrzymi klejnot słońca. Pamiętam, że zdarzało mi się jechać konno w takim upale i marzyć o następnych dniach, które przyniesie życie, i nic więcej. Co piątek słyszę, jak wyprowadzają skazańców.

Rozstrzelają mnie o świcie, muszkietami, jak zadekretowano. Nadejdzie dzień beze mnie, a po nim noc, a potem cała nieskończoność dni i nocy. O ile zdążyłem się zorientować, życie to nic innego jak trud i cierpienie. Wszystko kręci się wokół tego. Już dzieci uczą się wirować w tańcu wokół każdej przeszkody, by na końcu umiały zatańczyć chwiejnego kontredansa starości. Ale.

Starałem się przyjrzeć, jak do tego doszło, w jaki sposób całe moje życie przywiodło mnie do tego punktu, starałem się wypatrzeć

chwilę, w której zboczyłem z obranego kursu, ale niczego takiego nie dostrzegłem. Bo co ja naprawdę zrobiłem? Ocaliłem Winonę. I to przynosi mi pocieszenie. Gdybym potrafił ją ocalić bez rozplątywania szablą głowy Starlinga, zrobiłbym to.

Napisałem do Johna i napisałem do Poety McSweny'ego, żeby się pożegnać, ale list do niego wrócił z wiadomością od naszego starego towarzysza pana Noone'a, który napisał, że McSweny odpoczywa w spokoju i że jest mu bardzo przykro, iż mnie też wkrótce to czeka, choć, rzecz jasna, inaczej to sformułował. John Cole napisał do mnie taki list, od jakiego pękłoby serce wisielca, i dołączył do niego słynne w całym hrabstwie pisanie Winony. W kopercie od niej znalazłem zasuszony polny kwiatek. Kaligrafia! Farma Magana, Paris. Trzeci czerwca 1872 roku.

Drogi Thomasie, bardzo nam Ciebie brakuje w Tennessee. Jeśli tylko armia pozwoli Ci wrócić, zabijemy cielaka opasa, tak mówi Lige Magan. Zabronował najbliższej położone pola i mówi, że brakuje mu Twojego podejścia do tych przeklętych koni. Pozostało mi niewiele czasu do pisania, gdyż John Cole śpieszy się z listami do miasta, więc powiem tylko, że Cię kocham. Bardzo za Tobą tęsknię. Pęka mi serce. Twoja kochająca córka, Winona.

Jakoś dawałem sobie radę, dopóki nie przyszedł ten list.

Nie wiem za dokładnie, ale wszystko wskazuje na to, że mam jakieś czterdzieści lat. To trochę za wcześnie, żeby stąd odejść, ale na wojnie zginęło tylu młodszych! Widziałem mnóstwo zabitych młodych. To żadne pocieszenie, póki samemu nie trzeba się zbierać w drogę. Wiem, że w więziennych rozkazach żołnierzy do rozstrzelania widnieje już mój numer i że prędzej czy później przyjdzie na mnie pora. Cóż, ten dzień jest coraz bliżej. Do drzwi celi przybili wydrukowany rozkaz. Nie macie pojęcia, jak człowiek oblewa się potem po czymś takim. Mam serce ciężkie od bólu i tęsknoty, co nie powinno przydarzać się chrześcijanom. Nawet szczur przemykający pod ścianą współczuje ci w takich razach. Człowiek jest nic niewart we własnych oczach. Nie jest wart centa Lindenmuellera. Mam głowę przepelnioną strachem i lodowate stopy.

Potem wyję. Przychodzi strażnik. Nazywa się Pleasant Hazelwood i

chyba jest sierżantem. Nie ma po co miauczeć, mówi. Kołyszę się jak pijany w przód i w tył. Przerazenie wypala mi wnętrzności jak tuzin meksykańskich chili. Krzyczę do niego. Dlaczego żaden Bóg mi nie pomoże? Żaden Bóg i żaden człowiek, mówi strażnik. Rzucam się na ścianę jak ślepy szczur.

Jakby była w niej jakaś szczelina. Wszystko ze mnie odeszło. Stoję i dyszę ciężko. Żadna bitwa nie jest od tego gorsza. Sierżant Hazelwood podchodzi blisko i naciąga trzaskające knykcie, a potem chwyta mnie za ramię. Widziałem tysiące takich jak ty, mówi. Nie jest tak źle, jak myślisz. Uprzejmy stary bałwan, w dodatku brzydki jak łoś. Anioł zesłany do mnie pod postacią grubego dozorca, który śmierdzi gównem i cebulą. Ale to nie pomaga. Nie do końca. Diabeł ofrankował mój los i nie ma w nim miejsca na Boga. Jak mam się z nim pogodzić, jeśli go nie ma? I znów wpadam w gwałtowną rozpacz jak kamień rzucony w nurt.

Jednego wieczoru po capstrzyku mam gościa. Wiem, że to nie John Cole, ale sierżant Hazelwood powiadamia mnie o odwiedzinach. Mówi, że chce się ze mną zobaczyć jakiś dżentelmen. Nie znam zbyt wielu dżentelmenów, jeśli nie są oficerami. I oczywiście wchodzi major Neale.

Nie jest już, rzecz jasna, majorem, prawda? Wchodzi w przepięknym garniturze, uszytym na miarę przez jakiegoś bostońskiego krawca. Wygląda znacznie lepiej. Przez te kilka miesięcy powrócił do zdrowia. Mówi mi, że Angel świetnie sobie radzi w szkole, a on chce, żeby poszła na studia, żeby sprawić przyjemność jej matce. W porządku, mówię. Ma ze sobą stertę papierzysek.

Odwiedził wszystkich żołnierzy, z którymi byliśmy w tej bitwie, i każdy zeznał, co wie i co widział. W końcu, mówi, trafia do kaprała Poulsona. Który widział prawie to samo co Niemiec Sarjohn, ale z pewną różnicą. Zeznaje, że kapral McNulty osłaniał indiańską dziewczynę.

W starym Starlingu Carltonie gotowała się krew i nic nie przemawiało mu do rozumu, bo uparł się zastrzelić Indiankę. Oczywiście, że tak, myślę, bo wypełniał twoje cholerne rozkazy, stary lojalny sukinsyn... Ale, rzecz jasna, nie mówię tego na głos. Poulson

zeznaje, że to widział, ale trzymał gębę na kłódkę, póki major go o to nie zapytał. Tak to wygląda w wojsku. Cokolwiek chcesz powiedzieć, milcz – tak na wszelki wypadek. Więc major Neale jedzie do Waszyngtonu i przedstawia tam sprawę. A potem jedzie do dowódcy armii Missouri. Cóż, mówi, przechodząc do sedna, nikt nie jest w stanie anulować tego wyroku. Prawo na to nie pozwala. Gdy słyszę te słowa, gaśnie we mnie ostatnia iskierka nadziei. Ale, powiada, mogą zamienić wyrok śmierci na sto dni ciężkich robót, po których odzyskasz wolność. Mówi, że jeśli nie przeszkadza mi tłuczenie kamieni przez pewien czas, to mogę się zdecydować. Odpowiadam: Panie majorze, proszę pana, dziękuję panu, bardzo panu dziękuję. Nie dziękuj mnie, mówi, dziękuj sobie.

Ocaliłeś moją córkę, jedyną, która mi została, walczyłeś w wojnie wiernie jak pies, a twoja służba pod moją komendą zawsze stanowiła wzór do naśladowania. Odpowiadam, że jest mi przykro z powodu śmierci jego żony, na co mówi, że i jemu jest z tego powodu przykro. Kładzie mi prawą dłoń na ramieniu. Nie myłem się od miesiąca, ale wcale mu to nie przeszkadza. I mówi, że nigdy o mnie nie zapomni i jeśli kiedyś w przyszłości będzie mi się mógł na coś przydać, wiem, gdzie go szukać. Cóż, nie mam pojęcia, gdzie go szukać, ale nic nie mówię, bo wiem, że ludzie zwracają się do siebie w ten sposób z uprzejmości. Nie pytam też głośno: Czy to pan zabił Silasa Sowellę? Mówię natomiast, że ogromnie się cieszę, że będę mógł wrócić do Tennessee, gdzie mieszkają teraz moi bliscy, a on powtarza, że z przyjemnością jeszcze się ze mną spotka.

Więc przez sto dni tłukę wielkie głazy na drobne kamienie. W czasach głodu w Sligo wielu mężczyzn imało się takiej pracy, żeby zarobić parę pensów na jedzenie dla rodzin. Nosiło to nazwę „robót publicznych”. Cóż, publicznie czuję ogromną ulgę. Jestem uszczęśliwiony, rąbiąc kilofem, a moi więzienni towarzysze nie mogą się temu nadziwić. Ale czy może być inaczej? Wracam do Tennessee. Nadchodzi dzień końca mego trudu, dostaję jakieś ubranie i stawiają mnie na drodze przed więzieniem. To łachmany, ale zasłaniają mi wstyd – ledwo, ledwo. Uwalniają mnie jak turkawkę. W uniesieniu zapominam, że nie mam ani grosza, ale się nie przejmuję, bo wiem,

że po drodze mogę liczyć na ludzką uprzejmość. Ci, którzy nie będą chcieli mnie okraść, dadzą mi jeść. Tak to wygląda w Ameryce. Nigdy nie czułem w sercu takiej radości jak w tamtych dniach włości na południe. Nigdy nie miałem w sobie tyle energii, takiego ognia i werwy. Jestem człowiekiem, który nie tylko umknął śmierci, ale i sobie samemu – niepogodzonymu. Niczego tak nie pragnę, jak dojść wreszcie na farmę i ujrzeć Johna Cole'a i Winonę, którzy wychodzą mi naprzeciw. Cała droga powrotna iskrzy się pięknem lasów i pól. Napisałem, że wracam i niedługo będę. Tak to było. Czekał mnie tylko krótki spacer przez przyjemne dla oka stany Missouri i Tennessee.



Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska, Joanna Maciuk  
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Jędrzej Polak  
Redakcja: Grzegorz Krzymianowski  
Korekta: Piotr Królak, Dawid Beczkiewicz

Projekt okładki: Tomasz Majewski  
Zdjęcia wykorzystane na okładce: © Kirn Vintage Stock/Corbis via Getty Images;  
© Walter Mori/Mondadori Portfolio via Getty Images

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. (22) 828 98 08  
faks (22) 395 75 78  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-6014-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**virtualo**